

DOUGLAS
LAIN

—

MĘCZYŻNA
ZE STUMIŁOWEGO
LASU

—



MĘŻCZYŻNA
ZE STUMIŁOWEGO
LASU

DOUGLAS
LAIN
—
MĘŻCZYŻNA
ZE STUMIŁOWEGO
LASU
—

Przekład
Piotr Geriant



Tytu oryginału: BILLY MOON
Text Copyright © 2013 by Douglas Lain
Published by arrangement with Tom Doherty Associates,
LLC.
All right reserved.

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.,
2015
Copyright © for the Polish translation by
Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redakcja: Magdalena Wójcik
Korekta: Lidia Wrońska-Idziak
Projekt okładki: Urszula Gireń

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7976-264-4

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Tobie, Duchu Roku 1968, książkę tę poświęcam.
Powróciłeś na krótko w roku 2011.
W moim oknie zawsze pali się świeczka na Twoją cześć.*

Podziękowania

Powiniennem w tym miejscu wyrazić wdzięczność dwóm, nieżyjącym już osobom, choć to, czy zechciałyby moje podziękowania przyjąć za życia, pozostaje kwestią otwartą.

Pierwszą z nich jest nie kto inny, tylko Chris – Christopher Robin – we własnej osobie. Prawdziwemu Krzysiu Milne’owi udało się wyrosnąć z roli bohatera książek swego ojca i zamienić w postać, którą sam stworzył. W dwóch tomach wspomnieniowych: *Zaczarowane miejsca* i *Ścieżka wśród drzew*, opowiedział o tym, jak trudną przeprowadził walkę, by określić kształt samego siebie i swego życia poza światem Puchatka. Wszyscy, których interesuje to, jak naprawdę wyglądała relacja między Christopherem Robinem a A.A. Milne’em, powinni sięgnąć po te książki. Ja zaś w każdym przypadku zachęcam i was, drodzy czytelnicy, do przeczytania obu opowieści Krzysia, bo każda z nich jest po trosze i o was, i o mnie.

Tą drugą, nieżyjącą już osobą, zasługującą na moją wdzięczność, jest francuski radykalny myśliciel Guy Debord. Jego maestria w stosowaniu techniki *détournement*[\[1\]](#), praktyki artystycznej polegającej na wykorzystywaniu utworów literackich czy dzieł sztuki

w taki sposób, by nowy utwór przeinaczał, przekreślał ich sensy, pozwoliła mi stworzyć przekorną postać Krzysia ze Stumilowego Lasu.

Są i inne osoby, wobec których mam ogromny dług wdzięczności. Warto z pewnością przypomnieć tu Lisę Goldstein, która w powieści *The Dream Years* stworzyła zdekomponowany obraz surrealizmu z początku dwudziestego wieku, przenikający się z obrazem strajków robotniczych w maju 1968 roku.

I nie tylko o niej warto wspomnieć. Henri Lefebvre, Françoise Sagan, Ralph Rumney, Robert Silverberg, Jean Luc-Godard, France Gall, Brian Jones i Daniel Cohn-Bendit – dla nich wszystkich powinno znaleźć się miejsce w moich podziękowaniach. W powieści znaleźć można także ślady idei Karola Marksa, Louisa Althussera, Raoula Vaneigem i Slavoj Žižka.

Towarzyszyli mi także M.K. Hobson, Eileen Gunn, Cameron Pierce, Alyx Dellamonica, Kris O’Higgins, Jim Frenkel i Joan Vinge (która wiele lat temu nauczyła mnie pisać), a to z pewnością nie wszyscy, którzy zasłużyli na wspomnienie w tym miejscu.

Na koniec chciałbym podziękować mojej żonie, Miriam, która cierpliwie dodawała mi odwagi podczas całego przedsięwzięcia.

[1] W powieści występującej pod nazwą dekompozycji. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Część pierwsza

W której Krzysio nie udaje się uciec od pluszaków,
Gerrard zwiedza muzeum policji,
a u Daniela zostaje zdiagnozowany autyzm.

1959-1965

1.

Christopher miał już trzydzieści osiem lat, ale wciąż nie był w stanie uwolnić się od swoich pluszaków. Co gorsza, bezpański zwierzak z sąsiedztwa, krótkowłosey kot brytyjski, właśnie ostrzył sobie pazury o drzwi wejściowe jego księgarni. Chris podniósł wzrok i zobaczył, że kot nie zdobi smugami szkła, ale zostawia ubłocone ślady na tabliczce, która wisiała tak, żeby przechodnie mogli przeczytać napis ZAMKNIĘTE. Zgrzytliwy dźwięk pazurów przypominał mu skrzypienie zepsutego ręcznego zegarka.

Był 2 października 1959 roku, Chris wstał wcześnie. Zawsze wstawał wcześnie, by nacieszyć się samotnymi chwilami spędzanymi rankiem w księgarni. Lubił czekać, aż odezwie się czajnik, gotujący wodę na herbatę, patrzeć na mgłę nad rzeką Dart i słuchać ciszy, która zdawała się emanować z metalowych regałów pełnych książek. Tuż przy kasie leżała otwarta powieść Nevila Shute'a *Ostatni brzeg*. Przekartkował ją. Było to coś o wojnie nuklearnej i radioaktywnej chmurze, szczegóły go nie interesowały. Zostało mu tylko dwadzieścia minut, nim wstanie Abby, nie zamierzał ich marnować na kolejną literacką apokalipsę.

Chris wstawał coraz wcześnie i wcześnie, coraz

więcej czasu spędzał nad arkuszami księgowymi, śledząc zapisy rachunków i troszcząc się o tego bezdomnego kocura z sąsiedztwa. Hodge – takie nadał mu imię – w rzeczywistości był burasem i ani trochę nie przypominał rasowego kota brytyjskiego krótkowłosego. Zadowalało go życie w pobliżu księgarni i smakowało to, czym Chris karmił go za promenadą: tłuste okrawki pieczeni i kawałki ryby. Spotykali się w końcu już niemal od pół roku. Ostatnio Hodge stał się bardziej wymagający. Pozwalał sobie nawet, od czasu do czasu, na wejście do wnętrza księgarni.

Kiedy odezwał się czajnik, Chris wlał wrzątek do porcelanowego dzbanka w niebieskie kwiatki, poczekał aż poranna herbata się zaparzy, a potem wlał ją do filiżanki, dodając śmietankę i cukier. Dopiero wtedy zareagował na dźwięk rozlegający się przy wejściu, ale Hodge akurat zmienił zdanie. Gdy Christopher otworzył drzwi, kot odszedł i przepadł wśród zielska. Widocznie wcale nie chciał wejść do środka, może po prostu potrzebował jego towarzystwa w szarości poranka. Trudno powiedzieć.

Chris wrócił do sklepu, powoli przemierzając główną nawę i zatrzymując się tu i ówdzie, by sprawdzić, które książki stoją ciągle na swoim miejscu i które stoją tam najdłużej. Kiedy doszedł do lady, zanotował ich tytuły. Sprawdził zapiski z poprzedniego dnia i stwierdził, że lista starych książek się nie zmieniła. Ryży

J.P. Donleavy'ego i *Outsider* Colina Wilsona były od wielu lat bestsellerami, ale Devon prawdopodobnie przestał się bać, że ich zabraknie, więc kurz zbierał się na trzech egzemplarzach każdej z nich.

Znów pokazał się Hodge, w oknie, z boku. Siedział na śmietniku pod biało-zieloną markizą i znów drapał pazurami, zostawiając następne błotne ślady.

Christopher jeszcze raz wyszedł przed sklep, przeszedł po promenadzie za róg sklepu, gdzie stał śmietnik. Wyciągnął rękę, chwycił kocura pod brzuch tak, że łapy dyndały mu w powietrzu, i zaniósł do księgarni.

– Zdecyduję za ciebie – powiedział Chris.

Wychowywanie kota mija się z celem. Możesz go karcnąć, możesz nawet próbować porządnego lania, w najlepszym razie osiągniesz tyle, że zostaniesz podrapany. Kot może i zwieje pomiędzy regały, rzucając ci obrażone spojrzenie albo udając całkowitą obojętność, ale i tak nigdy nie zachowa się lepiej. Bo koty po prostu robią, co chcą.

Za ladą stał stos kartonów z nową dostawą książek dla dzieci, ale Chris zawahał się chwilę przed ich otwarciem. Zanim rozpakował pierwszą paczkę, przypomniał sobie, jak wyglądał jego sklep, Księgarnia Portowa, przed nadejściem pierwszych książek. Przypomniał sobie puste półki, od których odbijało się światło słoneczne, przyjemnie rozjaśniając wnętrze sklepu. Nie było w nim nic poza blaskiem,

cieniem i zapachem morskiej soli.

Otworzył pierwszy karton i poczuł, jak zalewa go dobrze znana fala złości.

– Abby, do jasnej cholery, przecież dobrze wiesz, że nie sprzedajemy tu *Kubusia Puchatka* – krzyknął, zwracając się do paczek z książkami. Jego żona była na górze, jeszcze w łóżku, a może już w łazience. Od kiedy powiedziała mu, że jest cięży, spędzała w toalecie mnóstwo czasu, znacznie więcej, niż się tego mógł spodziewać. Gdziekolwiek była, z pewnością nie mogła go usłyszeć, a jednak miał ochotę wrzasnąć raz jeszcze, znacznie głośniej. Westchnął głęboko.

Wszedł na górę i znów zaczął krzyczeć:

– Czy my mamy wejść w spółkę ze Slesingerami i Disneyem? Czy mamy zacząć sprzedawać w księgarni lalki, misie i płyty, te wszystkie puchatkowe gadzety? I może w ogóle przestać sprzedawać inne książki? Mam się przebrać za czterolatka, żeby ściągnąć turystów? I będziesz wołać na mnie Krzyś?

Nikt już nie nazywał Chrisa „Krzysiem” ani „Billym Moonem”. To imię było jak relik, w tej wersji nadał mu je ojciec, kiedy jako mały chłopiec Chris nie potrafił wymówić poprawnie swego nazwiska i oświadczył, że cała rodzina będzie nosić nazwisko Moon. Po wielu latach wszystkie dziecięce imiona Chrisa – Billy, Christopher Robin, Krzyś – przepadły. On sam podczas drugiej wojny światowej zaciągnął się na ochotnika do wojska i w ten sposób strząsnął z siebie całe

dzieciństwo. A przynajmniej miał taką nadzieję.

– Znów wpuściłeś kota? – Abby stała na szczycie schodów w koszuli nocnej. Zaciskała palce na nosie, tłumiąc kichnięcie.

Czyżby urósł jej brzuch? Chris pomyślał, że widzi zmianę, delikatną wypukłość pod wybrzuszeniem jedwabnej koszuli.

– Znalazłem *Kubusia Puchatka* – oznajmił.

– Naprawdę uważasz, że klienci nie powinni natykać się na żadną z książek twojego ojca w naszej księgarni?

– Nie zamierzam sprzedawać tu tego miśka.

– Jesteś zupełnie jak twoja matka. – Abby odwróciła się i zniknęła za rogiem, a Chris wrócił do paczek i wyłożył trzy egzemplarze *Chatki Puchatka* na półkę. Całą resztę zostawił w pudle, okleił taśmą i wpisał na naklejce adres swego dostawcy. Odeśle mu to.

Otworzył następną paczkę, w której znalazł książki Dr. Seussa. Przeciągał palcem wzdłuż ich grzbietów, gdy układał egzemplarze na wózku. Znów popatrzył na *Kota Prota*, przyglądając się czerwonym i białym paskom na kapeluszu i parasolu, który zwierzak trzymał w łapie, na ryzykownie usytuowane akwarium i przypomniał sobie, a może dopiero uświadomił, jak wygląda prawda dotycząca burego kocura, któremu dawał jeść – ta prawda dziwnie go poruszyła, niczym niezwykle *déjà vu*.

Bo Hodge nie był ani rasowym kotem brytyjskim, ani nawet zwykłym burasem, był po prostu pluszową

maskotką. Abby kupiła tego czarnego, wypchanego słomą kotka z syntetycznego futra do dziecięcego pokoju, dla chłopca, którego oczekiwała. Hodge został wyprodukowany przez fabrykę Merrythought, Christopher zdjął go z półki, na której go zostawił.

Pod palcami poczuł pęknięcie. Tak, jakby samo chciało zwrócić na siebie jego uwagę. Czy Abby kichnęła, czy chciało jej się kichać z powodu tej zabawki? Chris popatrzył zza kasy na drzwi wejściowe, a widząc na nich ślady drapiących pazurów i ubłoconych łap Hodge'a, poszedł po ścierkę. Kiedy już umył frontową szybę i zatroszczył się o boczne okno księgarni, wypłukał szmatę w kuchennym zlewie, starannie ją wyżał i powiesił pod zlewem, żeby wyschła. Znów podszedł do drzwi i przekręcił tabliczkę tak, by napis, że sklep jest otwarty, stał się widoczny dla przechodniów.

Hodge czekał na niego przy kasie. Chris podniósł go i odwrócił, żeby przyjrzeć się metce.

MERRYTHOUGHT, BEZPIECZNE ZABAWKI,
MADE IN ENGLAND.

Idąc na górę, by zapytać Abby, co właściwie miała na myśli, zabrał ze sobą kota. Wetknął pluszaka pod ramię i ruszył w górę, pokonując jednym skokiem dwa stopnie, po czym przystanął, żeby się trochę ogarnąć. Zapyta ją, o co chodziło z tym kotem, zapyta, o jakiego

kota jej chodziło i tyle. Bez nerwów.

Łóżko wciąż było niepościelone, a Abby, w jednym z ogromnych ciężowych biustonoszy, jeszcze nie nałożonym, narzuconym tylko na ramiona, ale nie zapiętym, siedziała przy toalecie i szczotkowała swoje ciemne, kasztanowe włosy. Kiedy podszedł do stolika i położył kota tuż obok pudełka z pudrem, odłożyła szczotkę i zaczęła zaczesywać włosy do tyłu, układając je w kok.

– Pytałaś z powodu Hodge’a?

– Hodge’a? – powtórzyła.

– Pytałaś mnie, czy karmiłem kociego przybłędę?

– A karmiłeś?

To mu nie pomagało, więc odwrócił Abby od lustra, twarzą do siebie, zmuszając ją, żeby słuchała, gdy zapytał ponownie.

– Czy pytałaś mnie o to, czy karmiłem kota?

– Tak. A karmiłeś go?

Chris zdjął z blatu toaletki zabawkę Merrythought i wyciągnął w jej kierunku, uważnie śledząc wzrok, którym przyglądała się maskotce, poszukując w nim choćby okruchów zrozumienia.

– Tego kota? – zapytał.

Abby wzięła od niego zabawkę, obróciła ją w dłoniach i odłożyła na toaletkę. Znów zaczęła wiązać włosy. Czekał jeszcze chwilę, chcąc dać jej czas.

– Chyba nie do końca rozumiem – powiedziała. – Jakiego kota? To znaczy, tego kota?

I to było dokładnie to pytanie, na które Chris chciał odpowiedzieć, ale teraz, kiedy ona zadała je głośno, poczuł, że nie zna odpowiedzi. Jeżeli kot imieniem Hodge istniał naprawdę, to dlaczego pomylił go z tą zabawką? A jeśli ten pluszak to Hodge, to jakie zwierzę pożarło okrawki, które mu zostawił? Chris chciał jej to jakoś wytłumaczyć, odtworzył każdy swój krok od momentu przebudzenia, ale ona była zdziwiona tym wszystkim nie mniej od niego, uznał więc, że najlepiej będzie, jeśli zrobią śniadanie.

Zjedli jajka sadzone, smażone pieczarki z ziemniakami, popili herbatą. Chris posmarował dżemem tost pszenny, ale potem nic już nie mogło ich uratować, musieli wrócić do tematu. Było wciąż dosyć wcześnie, więc może zamkną na chwilę księgarnię i wyjdą na spacer? Może mogliby wysledzić tego prawdziwego kota? Spróbują odnaleźć Hodge'a i wtedy wreszcie byłby z tym spokój.

Wychodząc, zabrali ze sobą pluszaka. Chris chciał pokazać go w sąsiedztwie, ale na drewnianej promenadzie, ciągnącej się wzdłuż nabrzeża, nie było jeszcze nikogo.

Pusty był też budynek Butterwalk, ale Chris dostrzegł wewnątrz zapalone światło, podszedł więc i zawołał „kici, kici” w krużganku. Przespacerował się wzdłuż szpaleru granitowych kolumn, z nadzieją zerkając za nie i dookoła nich, ale tam też żadnego kota nie było.

Zajrzeli przez okna do Cherub Pub and Inn. Chris miał bowiem wrażenie, że jego właściciel, starszy pan nazwiskiem William Mullett, którego rodzina od pokoleń prowadziła ten przybytek, także zajmował się Hodge'em przez ostatnich kilka miesięcy. Widział kiedyś, jak William częstuje kocura surowym halibutem z restauracyjnej kuchni i nawet zastanawiał się, po co bury przybłęda zagląda do Księgarni Portowej po takim przyjęciu u Cherubina. Była pora śniadania, lokal był otwarty, więc weszli z Abby do środka. William siedział w hotelowej recepcji.

– Dzień dobry, Chris – powiedział William. Był łysem, okrągłym mężczyzną, który brał udział w pierwszej wojnie światowej, ale poza tym niewiele widział świata poza Dartmouth. – Witaj, Abby. Co was tu sprowadza tak wcześnie? Jak tam książki?

– Dzień dobry, Williamie – odrzekł Christopher. Spojrzał na Abby i znów na Williama, zastanawiając się, co właściwie chce powiedzieć, o co zapytać.

– Przyszliśmy zapytać o kota – powiedziała Abby. – Christopher ma jakiś problem z kotem.

– Brytyjskim krótkowłosym – wtrącił Chris.

William skinął głową.

– No, tak, chciałem zajrzeć do waszej księgarni. Może przyszło coś, co mnie zaciekaWi.

– Ach, jasne. Ale dziś przyszliśmy spytać o takiego bezdomnego kota. Widziałem, jak dawałeś mu jeść. Bury dachowiec albo rasowy brytyjski. Nazwałem go

Hodge.

William zastanowił się:

– Aha.

– Pytanie, czy go widziałeś? To znaczy, czy mam rację? Że dawałeś mu jeść?

– Temu kotu? – zapytał William, wskazując na pluszaka, którego trzymał Chris, więc ten uniósł zabawkę.

– Pokazałeś tego kota? Tego, którego tu mam?

– To jest Hodge, prawda?

– Uważasz, że to jest Hodge?

William wzruszył ramionami i zaczął przeglądać dokumenty leżące na ladzie. Przyjrzał się liście gości, dotknął dzwonka, a potem znów spojrzął na nich i skinął głową.

– To Hodge, no nie?

Chris delikatnie postawił zabawkę przed nosem Williama i odwrócił ją w jego kierunku tak, by stary widział jej mordkę. Sam przechylił się nad blatem recepcji i zapytał znów:

– Twierdzisz, że ta zabawka to Hodge? Że to ten sam kot, którego karmiłeś?

William podniósł czarnego kota, obrócił go kilka razy i postawił z powrotem. Wyjął z szuflady nóż do otwierania kopert i przeciął szew na kocim brzuchu. Wyciągnął źdźbło słomy.

– Nie. To nie może być on – oznajmił.

Chris powiedział, że i jemu tak się zdawało tego

ranka, i zastanawia się przez cały czas, czy był tu może jakiś inny kot. A potem zapytał, dlaczego William przeciął pluszaka.

– Pomyślałem, że sprawdzę – odpowiedział William. – Ale ty masz rację, Chris. To nie jest ten kot, którego widzieliśmy. Kupiliście to dla dzieciaka?

Nieco później tego popołudnia Chris, w płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach, wyszedł z Księgarni Portowej na spacer. Dochodziła trzecia, a że od pory lunchu w sklepie nie pojawił się ani jeden klient, postanowił zamknąć wcześniej i zobaczyć, co przyniosą mu wąskie uliczki i ścieżki Dartmouth. Musiał wydostać się na powietrze, uwolnić od zaduchu panującego wewnątrz sklepu. Był w kiepskiej formie, ale spacer mu pomoże. Przejdzie się trochę, sprawdzi, czy to, co tkwi w jego głowie, jakoś przystaje do rzeczywistości.

Zawołał kilka razy „kici, kici”, a kiedy żaden kot się nie pojawił, wziął głęboki oddech, próbując rozkoszować się wilgotnym powietrzem, zatrzymując się na drewnianej promenadzie.

Popatrzył na wodę i zmarszczył brwi, widząc jakiś śmieć dryfujący na powierzchni rzeki Dart. Poczł wewnętrzny przymus, by zejść na nabrzeże, położyć się pomiędzy niewielką czerwoną żaglówką a starą łodzią rybacką, która wyglądała na zupełnie przeżartą przez rdzę, i wyciągnąć papier.

Dopiero kiedy leżał na brzuchu na nabrzeżu, wychylony połową ciała nad powierzchnią wody, zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście coś tam w niej pływa. Sięgał coraz dalej i dalej, aż mokry papierek od cukierka znalazł się w zasięgu jego dłoni i mógł go uchwycić, przyciskając palec wskazujący do środkowego. To był jaskrawy czerwony i lśniący papierek od czekoladek Munchies.

Wróciwszy do sklepu, Chris zapalił światło i podszedł do kosza na śmieci stojącego za ladą. Sprawdził, czy kasa została porządnie zamknięta. Miał ochotę zamknąć sklep na resztę dnia i jeszcze wyjść, ale kiedy sprawdzał, czy wszystko jest jak należy, otworzyły się drzwi i wszedł klient. To był William.

– Witaj, Chris.

– William. Miło cię widzieć. Przypomniałeś sobie coś na temat kota?

– Jakiego kota, Chris? Tej zabawki? Nie, nie. Przyszedłem rzucić okiem na książki.

William wszedł do środka, podszedł do lady. Poruszając wargami, zaczął czytać *The Ugly American* Eugene'a Burdicka i oparł się o ażurowy regał.

– Hm, William!

– Co tam, chłopcze?

– Ten regał nie wytrzyma. Nie udźwignie niczego poza książkami.

Prowadzeniem księgarni rządzą pewne zasady, pewne zasady rządzą także byciem klientem księgarni, ale

William zdawał się nie rozumieć żadnej z nich. Kilka tygodni wcześniej pojawił się około drugiej, znalazł coś, co go zaciekawiło, i rozsiadł się na całe trzy godziny, które spędził, czytając *Charley Weaver's Letters From Mamma*.

Teraz też zamierzał przetrzymać Chrisa w sklepie przez całe popołudnie, żeby sobie poprzeglądać książki. Chris chciał zapytać starego o Hodge'a, ale nie bardzo wiedział jak. Być może obaj tak samo się pomylili, obaj doznali tego samego przywidzenia, tylko teraz nie potrafili o tym sensownie rozmawiać?

Czekając aż William skończy, zastanawiał się nad papierkiem od czekoladek Munchies, tkwiącym w koszu na śmieci. Ktoś wywala swoje brudy do rzeki. Ludzie nie dbają o to, co najbardziej uprzyjemnia ich życie w Devon. I musi to mieć jakiś związek z telewizją i muzyką pop. Zamyślił się nad opakowaniem, nie do końca pewny, czy wciąż jest w koszu. Próbował sobie przypomnieć, co napisano na etykietce. Coś o ciasteczkach w środku i nadzieniu toffi?

Sięgnął pod ladę, wsunął rękę do śmietnika i z ulgą wyciągnął z niego papierek. Więc wciąż tam był.

„Mleczna czekoladka z kruchym ciastkiem i karmelowym nadzieniem” – przeczytał.

William zostawił powieści i przesunął się do kącika z książkami popularnonaukowymi. Przekartkował atlas grzybów i sięgnął po raport Kinseya *Zachowanie seksualne mężczyzny*.

– To jest raczej do czytania w domu. Chciałbyś to?

Przeraziła go myśl o starym Williamie tkwiącym w jego sklepie i czytającym o erekcji, fellatio i masochizmie.

– Facet młodo zmarł, no nie? – zapytał William.

– Zależy od punktu widzenia.

– Nie mogę wziąć tego do domu. Ale by był skandal. A poza tym nie chcę, żeby moja żona wyczytała z tego, jakie mam słabe strony.

– No jasne. Więc może coś innego? Mówiłeś, że chcesz jakiś album?

William popatrzył na Chrisa nieco zaskoczony.

– Nie możesz się doczekać, żeby znów wyjść i poszukać Hodge’a, Chris?

Chris odetchnął głęboko i odpowiedział, że nie. Nigdzie się nie wybiera. Później, żeby skończyć temat, podniósł papierek do światła i znów zaczął go studiować. Wreszcie wrzucił opakowanie do kosza, wsunął kosz pod kasę, żeby nie było go widać, a potem wysunął, żeby sprawdzić, czy papierek wciąż jest w środku i czy wciąż wygląda tak samo. Wysunął kosz i wsunął. Kilkanaście razy. Tam i z powrotem. Czuł się o wiele lepiej. Za każdym razem odczuwał jakąś satysfakcję, tam i z powrotem. Ta czynność przynosiła mu ulgę, dopóki nie uświadomił sobie, co właściwie robi.

A odgrywał pewną scenę z jednej z opowiastek ojca. W pierwszej książce o Puchatku była dokładnie taka

sama scena, tylko zamiast papierka od czekoladek występował w niej pęknięty balon. W bajce osioł Kłapouchy poczuł się znacznie lepiej, gdy po pechowych urodzinach odkrywa, że może włożyć pęknięty balonik do pustej baryłeczki po miodzie. A teraz on, Chris, próbując dowieść, że jest zdrów na umyśle, robi dokładnie to samo.

– „Wkładał balonik i wyjmował go z powrotem, szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu” – powiedział Chris.

– Że co? – spytał William.

Jakim cudem dopadło to Chrisa? Czyżby odgrywał scenki z bajek swego ojca po to, żeby upewnić się, że świat naprawdę istnieje?

– Może mógłbym znaleźć na to jakąś skrytkę – powiedział William.

– Na co?

Starszy pan położył na ladzie dzieło Kinseya. A Chris znów, po raz drugi tego dnia, miał wrażenie *déjà vu*.

Biało-czerwona okładka, ciąg liter, składających się na słowa umieszczone nad tytułem: „Oparto na badaniach naukowców z Uniwersytetu Stanu Indiana” – wszystko to pasowało do wzoru z papierka od Munchies. Chris wyjął z kosza na odpadki opakowanie i rozprostował je starannie na ladzie, tuż obok czerwonej okładki książki Kinseya.

– „Mleczna czekoladka z kruchym ciastkiem i karmelowym nadzieniem” – przeczytał znowu.

– Że co?

Chris, przyglądając się tej jukstapozycji, poczuł się nieswojo, jakby dostał się pod wodę i próbował wypłynąć na powierzchnię. I wprawdzie jeszcze nie utonął, ale już dawno zabrakło mu powietrza.

– Nic – odpowiedział Chris.

– Hmm?

Chris wziął pieniądze od Williama i zapakował książkę w brązową, papierową torbę. Później wyjął z kosza na śmieci papierek od czekoladek i włożył do kasy. Chciał mieć pewność.

2.

Dokładnie wtedy, gdy Chris zmagał się z pluszowymi kotami, papierkami od czekoladek i seksualnymi zachowaniami płci męskiej z raportu Kinseya, w Paryżu pewien dziesięcioletni chłopiec, nazwiskiem Gerrard Hand, uznał, że to, co przytrafiło się mu podczas szkolnej wycieczki na komisariat w Montagne Sainte-Geneviève było snem. Odkrył tam, w tym śnie, że przeszłość ukryta jest w teraźniejszości. A stało się to w muzeum policji, na trzecim piętrze.

Ze szklanych ścian patrzył na niego namalowanymi oczami Charles de Gaulle i Gerrard był pewny, że prezydent coś wie. De Gaulle poznał tajemnicę, wiedział, co zrobił sobie tata, wiedział o tej rzeczy, o której nie chciała mówić ani mama, ani niania.

Mniej więcej tuzin dziewcząt i chłopców ze szkoły Ménilmontant tłoczył się przy windzie, w pomieszczeniu odgrodzonym kuloodporną szybą od tej części policyjnego posterunku, w której przebywali policjanci uzbrojeni w pałki i pistolety. Na białej szklanej ścianie namalowane zostały naturalnej wielkości postaci współczesnych herosów. Trzech z czwórki bohaterów – strażak, policjant i nauczyciel – było anonimowych i uniwersalnych, czwarta figura przedstawiała

Charles'a de Gaulle'a.

Gerrard przesunął się do pierwszego rzędu, żeby mieć pewność, że wsiądzie do pierwszej windy razem z jasnowłosymi dziewczynkami, ulubienicami pani nauczycielki. Jego nauczycielka, pani Mertfield, kazała reszcie chłopców poczekać na drugą windę, bo powinni w końcu nauczyć się stać spokojnie i cicho, ale Gerrard znalazł się w pierwszej grupie i wszedł do windy, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować.

Zastanowiły go słowa „Precyzja, Przejrzystość, Bezpieczeństwo”, które składały się na motto określające cechy porucznika policji w armii Ludwika XIV. Przyglądał się dokładnie wymuskanemu manekinowi w błękitnym królewskim uniformie ze złotymi lampasami.

Dzieje policjantów i policji miały podobno swój początek właśnie w tym: w kanciastym, czy może dwurożnym, kapeluszu – podobnym do tego, który upodobał sobie Napoleon – starannie umieszczonym na głowie paradnie wystrojonego żołnierza. Potem jednak Gerrard wyczytał, że możliwe były jeszcze inne początki. Policja mogła powstać też w roku 1521, kiedy utworzono pierwsze pokojowe patrole, albo też w 1224, gdy w Saint Louis pojawiła się Rycerska Straż. Hasło Rycerzy Świętego Ludwika głosiło: „Gdy on czuwa, wszyscy mogą spać spokojnie”.

Kiedy tata wrócił do domu po pierwszym pobycie w szpitalu, Gerrard był na niego naprawdę zły. Ojciec,

którego nie było przez osiem miesięcy, jawił się synowi jako ktoś w rodzaju mitycznego herosa, ale gdy wrócił do trzypokojowego mieszkania w Ménilmontant, zachwiał porządkiem codziennego życia toczącego się wśród ścian betonowego bloku. Bo teraz, na przykład, coś zupełnie innego znalazło się w centrum uwagi mamy. Pierre w piżamie rzadko wyłaniał się z czeluści sypialni, więc matka Gerrarda zanosila mu tam lekarstwa i kawę. Musiał łykać tabletki.

– Pracuję nad powrotem do rzeczywistości – powiedział ojciec – ale świat nie wychodzi mi na spotkanie w pół drogi.

Ciemne, kędzierzawe włosy ojca były zawsze tłuste, a on sam, paląc papierosa jednego po drugim, nie zwracał uwagi na popiół syjący się do kawy czy na tost z truskawkowym dżemem. Pracował kiedyś jako barman, był także malarzem, ale teraz stwierdził, że raczej do pracy nie wróci.

– Co oni ci zrobili w tym szpitalu? – spytała mama. – Kiedy znowu będziesz moim mężem i ojcem dla swojego syna?

Gerrard podziwiał szklane gabloty policyjnego muzeum, pełne kastetów i rozmaitego rodzaju noży: sprężynowych, osadzonych w kości słoniowej, ząbkowanych. Przyglądał się groźnym, trójkątnym ostrzom pierścieni wsuwanych na palce, zestawowi lin i haków, kiedy przewodnik tłumaczył im, że policja rozwijała się w tym samym tempie co reszta

społeczeństwa. A właściwie, wyjaśniał przewodnik, to praca policji i wykorzystywane w niej metody naukowe popychały społeczeństwo do rozwoju cywilizacji.

Przewodnik zabrał uczniów sprzed gablot, prezentujących narzędzia tortur, i poprowadził dalej, za róg, gdzie wisiał rząd fotografii w ramkach. Zdjęcia były umieszczone tak wysoko, że dzieciaki musiały wyciągać szyje, by cokolwiek zobaczyć.

– Widzimy tu, w jaki sposób tresuje się psy, by tropiły przestępców i ścigały kryminalistów. Proszę zwrócić uwagę na kolejność fotografii. Najpierw pies odnajduje człowieka i zmusza go do opuszczenia kryjóWKi w lesie. Potem pies goni człowieka i zmusza do znalezienia schronienia, w tym przypadku drogą ucieczki kryminalisty staje się drewniany słup, stojący na policyjnym podwórzu. I wtedy, widać to na trzecim zdjęciu, pojawia się policjant. Policjant gwizdże na psa, przywołując go do siebie i zadanie dobiega końca – wyjaśniał przewodnik.

Gerrard odwrócił się od serii zdjęć i popatrzył na przewodnika. Był to niewysoki, szczupły, młody mężczyzna, który prezentował się bardzo schludnie w grubej wełnianej marynarce, ze starannie wyczesanymi włosami. Opowiadał o historii policji, rozpoczynając od samego początku i używając słów „dawno, dawno temu”.

Policjanci występowali w tej opowieści obok królów i królowych. A wszystko zaczęło się od monarchii

absolutnej i tortur. Ta dawna sprawiedliwość działała surowo. Złoczyńcy, na przykład, byli miażdżeni i dziurawieni przez ażurowe kolczaste kraty, wieszano ich za kostki na hakach, które przekuwały i masakrowały ich ciała, albo też najzwyczajniej ucinano im głowy na gilotynie.

Jednak dopiero wtedy, gdy natknął się na system Bertillona, katalogujący i porządkujący fotografie przestępców, Gerrard odkrył, że śni, że być może cały czas pogrążony jest we śnie, nie tylko wtedy, kiedy śpi we własnym łóżku, ale także na jawie, w szkole, w policyjnym muzeum. Uważnie przestudiował twarze kryminalistów, począwszy od dziewiętnastego wieku, skupiając się na tych cechach, które pozwalały odróżnić jednego człowieka od drugiego. Jeden mógł mieć wielki nos, inny wydatną brodę.

Przypomniał sobie ostatni dzień, jaki spędził razem z Pierre'em, swoim ojcem. Odwiedzili przedmieścia Neuilly-sur-Seine i niewielki park na Île de la Grande Jatte. Tata, który wreszcie wrócił do pracy jako barman, wziął dzień wolny, wyrwał się, żeby zabrać Gerrarda i pokazać mu „światło na wyspie”. Ubrany w trzyczęściowy granatowy garnitur, w kapeluszu na głowie mógł przypominać trochę tych mężczyzn z policyjnych fotografii, choć nie miał sumiastych wąsów ani wydatnego podbródka. Miał jednak takie same puste oczy.

Kiedy wsiedli do metra, ojciec wskazał ręką na lampy

oświetlające peron i ich światło, odbijające się w płytkach sufitu nad ich głowami, i zapytał Gerrarda, ile czasu zabierze pociągowi oddalenie się od tego światła.

Gerrard w gruncie rzeczy nie zrozumiał tego pytania.

– Ale jak daleko? – spytał.

Pierre wskazał palcem zakrzywiony sufit nad peronem metra i wyjaśnił. Przebycie drogi z punktu A do B zajęłoby całą wieczność, albowiem pomiędzy nimi znajduje się nieskończona liczba innych punktów.

– To paradoks Zenona z Elei. Takiego filozofa, tylko że on, w swoim przykładzie, nie mówił o wagoniku metra, tylko o strzale. Powiedział, że strzała, kiedy leci, to właściwie zastyga w bezruchu, bo w każdym punkcie czasu powinna poruszać się do punktu, w którym jest, a także do punktu, w którym jej jeszcze nie ma. Jednak kiedy mówimy o punkcie czasu, to poruszać się nie może, bo w danym momencie ruch nie istnieje – powiedział ojciec.

– Ale jak daleko?

Kiedy dojechali, Gerrard zmrużył oczy i podniósł rękę, by osłonić się przed światłem. Oczy przywykły do mroku panującego w tunelach metra.

Na wyspie było mnóstwo ludzi, a jednak Gerrard poczuł, że jest tu dość miejsca. Otwarta przestrzeń dzieliła drzewa, mężczyźni w długich beżowych prochowcach i kobiety w butach na wysokich obcasach i długich syntetycznych spódnicach. Tata powiedział

Gerrardowi, że park może być pełen spacerowiczów i był, choć chłopiec widział ich teraz tylko jako jasne, kolorowe punkciki.

Ojciec znalazł drzewo, pod którym mogli usiąść, i otworzył butelkę merlota, przywiezioną w teczce. Popijał spokojnie wino, czytał „L’Humanité”, a w tym samym czasie Gerrard buszował po okolicy. Krył się za drzewami i udawał, że strzela do nazistów i Indian.

– Uważaj na kobietę z parasolką i na żołnierza z trąbką – powiedział tata. Powiedział też, że kiedy chłopiec wróci z Île de la Grande Jatte, jego świat będzie wyglądał zupełnie inaczej i nie będzie już powrotu do tego, co było. Dolał sobie wina.

– Dasz mi spróbować, tato? – zapytał Gerrard.

Nie zostało już nic poza mętnym osadem. Tata wysączył tę resztkę, a potem wyjął z teczki dwa kieliszki i nową butelkę wina. Zapalił papierosa i nalał synowi ćwierć kieliszka, choć zanim mu go podał, sam łyknął z niego tyle, żeby została zaledwie jedna ósma. Gerrard wziął łyk. Wino mu smakowało, wypił resztę jednym haustem. Kiedy wstał i obszedł dookoła drzewo klonu, poczuł, że brakuje mu równowagi. Rozłożył ramiona i zaczął się kręcić wśród gęstej zieleni trawy. Wirował szybciej, coraz szybciej.

– Już ci się kręci w głowie, synu?

Gerrard przestał się obracać i starał się stanąć zupełnie spokojnie, ale ziemia pod stopami poruszyła

się i podniosła pod jego prawą nogą, pozbawiając go równowagi. Tak jakby jakaś sprężyna wyskoczyła spod ziemi.

Gerrard przypomniał sobie to wszystko, słuchając przewodnika, który wyjaśniał, w jaki sposób policja zapewniła dzieciom wolność. Ojciec odszedł. Nie, niezupełnie tak. Ojciec umarł, a on został sam. Gerrard był tylko małym chłopcem, który nie zachowywał się na tyle grzecznie, by podziwiali go dorośli, ani na tyle sprytnie i złośliwie, by zasłużyć na podziw rówieśników.

Przypominał sobie ojca, patrząc na eksponaty w muzeum policyjnym. Przewodnik ustawił dzieci w jednym rzędzie, tak żeby mogły zrobić sobie zdjęcia. Tłumaczył, że Alphonse Bertillon udoskonalił technikę policyjnych zdjęć portretowych, stworzył system mierzenia rysów twarzy oraz metodę fotografowania miejsc zbrodni.

– Bertillon zmienił zupełnie pracę policji w dwudziestym wieku – mówił przewodnik. Chwycił drewniany stołek i przeciągnął go wzdłuż harmonijki obiektywu specjalnego aparatu fotograficznego, a potem ustawił tuż przed nim. Właśnie tam miały siadać dzieci.

Gerrard stał na końcu, tuż przy woskowej rekonstrukcji głowy ściętego Henri-Jacques'a Pranziniego. W roku 1888 Pranzini został oskarżony o zabójstwo trzech młodych kobiet i skazany

na śmierć na gilotynie. Gerrard czuł zimne dreszcze na plecach i w brzuchu, kiedy nerwowo przyglądał się woskowej głowie i czytał treść tabliczki umieszczonej na gablocie.

Pranzini zdobywał zaufanie swoich ofiar, udając lekarza.

Na wyspie ojciec nalał Gerrardowi kolejny kieliszek wina, a potem kazał mu usiąść na trawie, być cicho i posłuchać pewnej historii.

– Pracujesz nad angielskim? – zapytał.

– Mama mówi, że nie muszę się go jeszcze uczyć.

– Powinieneś się nauczyć mówić po angielsku.

– Tak, tato.

– Bo później, jak mnie nie będzie, nie będę mógł ci pomóc. Masz wiele do zrobienia, wszystko, i będziesz musiał to zrobić samodzielnie. Ale dziś, teraz, jeszcze ci pomogę. Jest sporo dobrych książek po angielsku, a to jest jedna z nich.

Chatka Puchatka nie zaczynała się od wstępu, tylko od jego przeciwieństwa, wymówki, była drugą książką o Puchatku, więc nie było potrzeby kolejnej przedmowy, a zwierzęta z bajki, gdy je zapytano, co jest przeciwieństwem przedmówki, powiedziały, oczywiście, że wymówka. Druga książka o Puchatku zaczyna się od wymówki również dlatego, że okazało się, iż najwspanialsze przygody Kubusia powstawały w snach Krzysia, kiedy spał i śnił, podczas gdy pluszowy miś siedział obok na łóżku i snuł Wielkie Myśli o Niczym.

Niestety, Krzysiovi nie udało się zapamiętać żadnej z nich.

„Pewnego razu, gdy Puchatek przechadzał się po Lesie, sto siedem krów stało przed furtką...” Nie, to nie to. Widzicie, poplątało nam się wszystko... A zdaje mi się, że ta historyjka była najlepsza. Ale prócz niej są jeszcze inne... A nasze pożegnanie, o którym mówiłem, nie jest, naturalnie, prawdziwe, bo Las zawsze będzie stał na miejscu i każdy, kto lubi puchate misie, może do niego trafić i spotkać w nim wszystkich dobrych znajomych z tej i z tamtej książki[2].

Gerrard oparł się o pień drzewa, ojciec czytał na głos, najpierw po angielsku, a później tłumaczył to, co przeczytał, na francuski.

W policyjnym muzeum na drewnianym stołku usiadł jeden z tych hałaśliwych chłopaków, piegus o brązowych włosach i chytrym uśmiechu, a przewodnik opowiadał dalej o odciskach palców i inwigilacji. Przewodnik podniósł palec, aby przerwać samemu sobie, zanurkował pod czarną zasłonę, a chłopiec uśmiechnął się do błysku aparatu. Potem przewodnik wyjął negatyw z tylnej części aparatu i założył następną kliszę.

Las zawsze będzie na niego czekał, bo każda opowieść zaczyna się od jakiegoś przeciwieństwa. Gerrard przesunął się o krok do przodu, kiedy jedna z tych grzecznych jasnowłosych dziewczynek zajęła miejsce na taborecie, ale gdy wstała i następny chłopiec, tym razem grzeczny, czysty i schludny, w eleganckiej czerwonej muszce i szarej marynarce, wspiął się na stołek, żeby zrobić sobie zdjęcie, Gerrard odkrył, że utknął w miejscu. Jeśli każda opowieść zaczyna się od zaprzeczenia, to może to nie dzieje się naprawdę i stopy Gerrarda zapadły się w podłodze policyjnego muzeum. Popatrzył w dół i zobaczył, że twarde drewno zniknęło i nie ma już pod nogami solidnej posadzki, zastąpił ją grząski muł. Gerrard przyklęknął i na czworakach zaczął badać różnicę. Dźgnął podłogę palcem, ugięła się. Usiadł i wsunął obydwie dłonie w błoto.

– Wstań, Gerrardzie. Blokujesz drogę – powiedziała pani Mertfield. Popatrzył na nią, na brązowe włosy ściągnięte w kok, na dwuogniskowe okulary i ucieszył się, że znalazł się w tarapatach. – Natychmiast wstań z przejścia – powiedziała. Myślała chyba, tak sądził, że i on należy do tych grzecznych, ale teraz ją raczej rozczarował. – Nie możesz tak tu zwyczajnie sobie siedzieć – powiedziała jeszcze.

Miała rację. Zamiast tak zwyczajnie sobie siedzieć, Gerrard wychylił się i wyszeptał coś do ucha jednej z grzecznych dziewczynek. Miała na imię Louise. Gerrard właściwie jej nie znał, wiedział tylko, że nosi

bardzo grube szkła – przymierzył je raz i niemal nic w nich nie widział – i że jak zechce, potrafi naprawdę mocno kopnąć. Szepnął jej, że Albert powiedział, że nie powinni robić sobie zdjęć. Albert był jednym z klasowych chłopaków, przywołanie jego imienia wystarczyło. Louise uśmiechnęła się, skinęła głową i usiadła obok.

– To co, dzieci, nie chcecie zrobić sobie zdjęć? – zapytała pani Mertfield.

– Nie, proszę pani. Ja nie chcę się fotografować – powiedział Gerrard.

– My nie chcemy, żeby nam robili zdjęcia – oświadczyła Louise i zachichotała.

Potem usiadł Samuel, a po nim Philippe, tworząc rząddek. To był ten chłopiec, który już zrobił sobie zdjęcie.

– Kto następny? – spytał przewodnik, odwrócił się i zobaczył, że większość dzieciaków rozsiadła się na podłodze.

– Dzieci, proszę natychmiast wstać – powiedziała pani Mertfield.

Lucie Melancon, młoda dziewczyna, która zginęła w tramwaju, zamordowana, odnaleziona dopiero na następnym przystanku, o której nikt by dziś nie pamiętał, gdyby nie ta tajemnicza śmierć, uśmiechała się do Gerrarda ze zdjęcia w gazecie. Jej blond włosy ścięte na boba i niebieskie oczy były utrwalone w skali szarości, ale widoczne mimo to.

– Dzieci, musicie wstać, żebyśmy mogli kontynuować naszą wycieczkę – powiedziała pani Mertfield. Bez uśmiechu odwróciła się do Gerrarda. – Gerrard, pójdiesz ze mną.

Chwyciła go za łokieć, podniosła i wyprowadziła. Była dość silną kobietą, ale chłopiec widział, że spociła się, przytrzymując jego ramię jedną ręką, a drugą naciskając guzik windy.

– Co ty sobie wyobrażasz, że gdzie ty jesteś?! – powiedziała pani Mertfield. – Nie będę tolerować takich brewerii.

Gdy otworzyły się drzwi windy, Gerrard spojrzął przez ramię i zobaczył przewodnika, który przechadzał się w tę i z powrotem po grząskim mule. Jeden z chłopaków wstał, mężczyzna podszedł do niego, prosząc, by usiadł na stołku i zrobił sobie zdjęcie, bo przecież jego mama chciałaby mieć portret tak przystojnego syna, ale dzieciak pokręcił przecząco głową. Wyciągnął rękę w stronę przewodnika, ubłoconą dłonią dotknął jego czyściutkiej, wełnianej marynarki, zostawiając na niej brudny ślad, a potem znów usiadł. Z drugiej strony wstała jakaś uczennica, przewodnik odwrócił się i poszedł w jej kierunku, zaczynając od nowa swoje prośby i przekonywania.

Pani Mertfield wciągnęła Gerrarda do windy, wdusiła przycisk i wyszła z windy, kiedy drzwi zaczęły się zamykać.

– Idź i poczekaj przy kontuarze – powiedziała. –

Opowiedz posterunkowemu, co zrobiłeś.

Kiedy drzwi windy się zamknęły, Gerrard znów przypomniał sobie ojca.

Tata potrząsnął go za stopę, syn otworzył oczy i roześmiał się.

– Słuchasz uważnie? – zapytał ojciec.

Gerrard znalazł się na parterze, w towarzystwie strażaka, nauczyciela, policjanta i Charles'a de Gaulle'a. Patrzył na malowane postaci z wnętrza windy, ale nie ruszył się ani o krok, wkrótce więc drzwi się zamknęły. Gerrard został w środku, czekając, aż ktoś, prawdopodobnie jego nauczycielka, wydobędzie go stamtąd.

[2] Fragmenty *Kubusia Puchatka* i *Chatki Puchatka* w tłumaczeniu Ireny Tuwim.

3.

W lipcu 1961 roku Chris natknął się na plakat, który zawisł na tablicy ogłoszeń w Księgarni Portowej i zupełnie nie pasował do pozostałych anonsów. Wyróżniał się tym, że był przyklejony, a nie przymocowany pineskami dostarczanymi przez Chrisa. To, a także francuski napis, ilustracja i objaśnienie ich znaczenia – arkusz śliskiego papieru opatrzony był objaśnieniem „Kubuś Puchatek atakuje policję”, a narysowany na nim miś musiał być symbolem albo maskotką robotników, którzy mieli w przyszłości zastrajkować w Paryżu – sprawiały, że był on zupełnie nie na miejscu. Zgodnie z informacją przypiętą pod plakatem pochodził on z przyszłości, został bowiem wydrukowany za siedem lat, w roku 1968.

Chris zauważył pomarańczowy prostokąt, kiedy wprowadzał do sklepu wózek z nową dostawą książek, ale nie zatrzymał się, żeby mu się przyjrzeć. W zamian za to zabrał się do rozpakowywania paczek i układania książek na półkach w odpowiednich działach i w porządku alfabetycznym. Przeciął taśmę na pierwszej paczce, używając scyzoryka. Jego ostrze było zardzewiałe i zużyte, służyło mu przez całe lata na Cotchford Farm, a potem podczas wojny, ale wciąż

dostatecznie ostre, by ciąć. Otworzył pudło z dwunastoma egzemplarzami *Piotrusia Pana* J.M. Barriego.

Barrie był jednym z przyjaciół jego taty. Szukając właściwej półki, Chris przypomniał sobie, jaką dumą napełniał ojca fakt, że mógł pomóc Barriemu, finansując jedno z przedstawień scenicznych *Piotrusia Pana*, choć Chris nie bardzo wiedział, co mogło łączyć tych dwóch tak różnych od siebie ludzi. Barrie idealizował romantyczne dzieciństwo i cenił fantazję, podczas gdy ojciec trzymał się od nich na dystans, pokazując, że jedno i drugie jest dość absurdalne. Tata Chrisa po prostu dobrze się bawił, nawet jeśli wielu czytelników nie rozumiało jego żartów.

Ojciec przyznał się do tego po jakimś czasie. Napisał autobiografię, w której mówił wprost o dziecięcym narcyzmie, ale zostało to zupełnie zignorowane. Krytycy i czytelnicy upierali się wciąż, że opowieści o Kubusiu Puchatku i wiersze ojca są peanami na cześć dzieciństwa. Z pewnością tata zarobił fortunę nie dlatego, że czytelnicy dostrzegli i docenili jego cynizm.

Z drugiej strony jednak Barriego i ojca Chrisa łączyła wspólna idea. W końcu wymyślenie sobie jakiejś postawy wobec dzieciństwa zabrało burżuazji sto lat, a Barrie i ojciec Chrisa mieli w tym sporą zasługę. Przed Piotrusiem Panem i Kubusiem Puchatkiem książki pisane dla dzieci uczyły je praktycznych umiejętności, które jednak – wraz z rozwojem elektryczności,

rozmaitych kół zębatach i zwykłych – stały się zbędne, bo praca dzieci nie była już konieczna. Gdy dzieciaki przestały się liczyć jako tania siła robocza, stały się czymś w rodzaju szczególnej rasy domowych zwierzątek, wyposażonych w cudowną wyobraźnię, budujących słodkie, fantastyczne światy i obrazy – wszystko to dawało się jakoś znieść.

Różnica między ojcem a Barriem polegała na tym, że Barrie zazdrościł dzieciom. Nie znosił przymusów współczesnego życia, nie umiał funkcjonować pod presją. Powrót do stanu wiecznego dzieciństwa, do świata fantazji był dla niego kuszącą perspektywą. Ojciec był z mocniejszego kruszcu.

Chris popatrzył na plakat, choć wciąż nie widział niczego dziwnego w jednobarwnej sylwetce misia otoczonego przez trzech oficerów policji. Wyglądali na francuskich policjantów, wskazywał na to krój kepi na ich głowach i niepochlebny sposób przedstawienia. Chris nie przeczytał napisu na dole arkusza, ale widział, że jest po francusku.

VOUS NE RÉCUPÉRERA PAS CET OURS DANS SON CAGE.

Chris przeciął taśmę kolejnego pudełka. W środku znalazł nową książkę, coś Dr. Seussa. Tytuł był prostą rymowanką.

Kot Prot. Chris powtórzył tytuł głośno.

To miało sens, wszystko do siebie pasowało.

Dzieciństwo Chrisa było znośne dzięki wynalazkom, które przyniosła pierwsza wojna światowa. Konstrukcje z dziurkowanych metalowych belek, zoo z celofanowych zwierząt, wszystko to było absolutną nowością, wszystko poza Kubusiem. Szał na pluszowe misie pojawił się wraz z amerykańskim prezydentem, ale po pierwszej wojnie produkowano masowo znacznie więcej dziecięcych marzeń. Nastąpiła istna powódź lalek z celuloиду i aparatów Kodaka.

Vous ne récupérera pas cet ours dans son cage. To się tłumaczy mniej więcej jako „Nie zamkniesz niedźwiedzia z powrotem w klatce”.

Chris odłożył pudło z książkami Dr. Seussa i podszedł do tablicy ogłoszeń. Plakat miał mniej więcej 48 na 69 centymetrów i został wklejony między informację o lekcjach gry na pianinie i reklamę *The Judas Tree* A.J. Cronina. Chris wyciągnął rękę i dotknął rantu plakatu przylegającego do tablicy. Zastanawiał się, jakim cudem znalazł się w jego sklepie. Próbował go oderwać, ale klej trzymał mocno, więc papier nie odchodził, zaczął się za to drzeć.

Abby, kiedy zeszła na dół, też nie bardzo umiała mu pomóc.

– Dlaczego opis jest po angielsku, skoro plakat jest francuski? – pytał Chris. – I jak coś, co pochodzi z aukcji mogło trafić do mojej księgarni? Bo to jest z aukcji. Zobacz, na dole napisane jest „Christie’s, London”.

– Czasem po to, by być realistą trzeba zaakceptować coś, co wydaje się niemożliwe – powiedziała Abby. Poszła po żelazko i pojemnik rozpylający wodę i wzięła się do odrywania plakatu z tablicy przy użyciu pary wodnej.

– Ile razy będzie się to zdarzało? – powiedział Chris. – Myślę, że coś poszło źle. Coś się gdzieś załamało i oto skutek.

Zabrał tablicę na górę. Otworzył karton, który trzymał w garderobie. Nie było w nim książek, był za to pluszowy kot firmy Merrythought, papierek od czekoladek Munchies, egzemplarz *Witaj, smutku* Françoise Sagan i słoik po dżemie, wypełniony po brzegi mułem. Gdy tylko uda się im odkleić plakat od tablicy, dołączy on do innych rzeczy schowanych w pudle.

– Już – powiedziała Abby. – Wydaje mi się, że zaczyna schodzić.

Kiedy Chris przyniósł pluszowego kota, Daniel stał w swoim łóżeczku. Znajdował się dokładnie pośrodku materaca, tak że zabawki z karuzeli zwisały dookoła jego główki. Plastikowy samolocik z jaskrawym czerwonym śmigłem opierał się na jego lewym policzku, a pomarańczowy księżyc zakrywał mu prawe oko, ale Daniel zdawał się nie zwracać na to uwagi. Chris pochylił się nad szczebelkami, nie zdołał jednak dosięgnąć syna. Zagwizdał. Zastukał knykциями

w szczebelki i zagadał:

– Daniel – powiedział – co robisz? Znalazłeś sobie dobre miejsce, żeby wyprostować nogi? Zastanawiasz się nad chodzeniem?

Daniel nie reagował, przyglądał się własnym dłoniom, które uniósł do twarzy. Patrzył przez zabawki na plastikowe linki. Zatrzepotał paluszkami w powietrzu i wydał z siebie jakiś bulgoczący dźwięk.

Chris wychowywał swojego syna zupełnie inaczej, niż ojciec jego. Kiedy akurat nie był zajęty tropieniem tajemniczych zjawisk zachodzących w księgarni i okolicach, oczekiwano od niego zaangażowania w czynności, które nigdy nie zajmowały jego taty. Na przykład nauka korzystania z nocnika wymagała namysłu, przygotowań i poważnej dyskusji. Abby zamówiła jakieś pół tuzina książek na temat wychowywania dzieci i poprosiła Chrisa, żeby je przeczytał. Sięgnął po książkę doktora Spocka i *Summerhill* A.S. Neilla.

Obaj bronili humanistycznego podejścia do dzieci, z czym Chrisowi trudno było dyskutować, ale jego syn nie miał jeszcze roku, więc ci autorzy nie wydali mu się szczególnie odpowiedni. Abstrahując od problemów związanych z nowoczesnym bezstresowym wychowaniem dzieci czy postulatów, by nie zakłócać im naturalnego rytmu rozwoju, coś mu tu nie pasowało. Daniel nie był człowiekiem w takim sensie, w jakim definiowali tę istotę humanistyczni myśliciele. Teraz,

kiedy nauczył się stać, stał bez przerwy, nie chciał ani usiąść, ani się położyć. A kiedy Chris go podnosił, próbując utulić malucha w ramionach, czuł się tak, jakby trzymał kolumnę albo kawałek deski. Mógł podnieść go w górę, ale Daniel nadał stał.

A przy tym chłopiec był do niego bardzo podobny. Jego syn. Ścinali mu włoski na krótko i ubierali w szykowne sweterki albo śpiochy, nigdy w krótkie spodenki z kolanówkami, a jednak widział w Danielu samego siebie, obrazek z książki o sobie samym. Nie da się nie zauważyć tego podobieństwa.

Chris wziął kota wyprodukowanego przez Merrythought, kota, który już nie nazywał się Hodge, i wyciągnął go w stronę synka. Chciał, by Daniel spojrział na pluszaka, ale nie udało mu się – mały nie zwracał na niego uwagi. Chris przesunął palcami po szwie na kocim brzuchu, wymacał czerwoną nić, którą Abby zszyła zwierzaka po operacji, jakiej dokonał na nim William, i pożałował, że wyciągnął zabawkę z pudła.

Chris nie mógł dyskutować z doktorem Spockiem czy ideami *Summerhill* z tego prostego powodu, że dzielił te humanistyczne poglądy. Odziedziczył je razem z pluszowym niedźwiadkiem. Może ta wersja, którą wyznawał jego ojciec, różniła się od radykalnej różnorodności, przysparzającej tyle szacunku A.S. Neillowi, ale wyrastała z tych samych przekonań, co *Summerhill*. Obaj uważali bowiem, że nawet tam,

gdzie nie ma Boga są istoty ludzkie. I że ludzie zawsze i zawsze będą żyli w przeznaczonym im ludzkim świecie. Stojąc tu z Hodge'em, machając zabawką do przodu i do tyłu, bezskutecznie próbując zwrócić na nią uwagę synka, Chris nie był już tego taki pewien.

Spróbował jeszcze raz, z inną zabawką, niebieskim psem. Nie był on tak ładny jak Hodge, stał sztywno i nienaturalnie. Miał w środku drut, który pozwalał mu stać na dwóch nogach, ale przez to był dla Chrisa mniej przyjemny w dotyku. Niebieski psiak miał być repliką postaci z telewizyjnej kreskówki i to dawało mu coś w rodzaju realnej racji bytu.

Wyciągnął psa Huckleberry do synka.

– Popatrz, Danielu. To twój przyjaciel. – Potrząsnął zabawką, ale nie zdołał tchnąć w nią życia.

Czy Daniel kiedykolwiek przywiąże się do tych przedmiotów? Czy to potrafi? Prawda o Kubusiu Puchatku była jasna – ten pluszowy miś od zawsze należał do Chrisa. Pamiętał, jak wybrał go sobie spośród całego rzędka identycznych głupich misiaków w sklepie z zabawkami. Kubuś Krzysia miał szczególny, błagalny wyraz szklanych ślepek. Ten miś ze sklepowej półki przywołał go do siebie.

– Tak, poproszę. Wezmę tego – powiedział.

Puchatek przemieścił się z półki w sklepie na półkę w dziecięcym pokoju Chrisa, a później, po kilku tygodniach, ożył. To, że ojciec wziął jego życie i wykorzystał je, że przeniósł samego Krzysia na kartki

swojej książki, nie zmieniało faktu, że Chris kiedyś naprawdę kochał swojego Kubusia. To Chris kiedyś nadał mu osobowość, ożywił coś, co nie miało w sobie życia – przedmiot. Dlaczego teraz z takim trudem przychodzi mu odkrycie osobowości własnego syna?

Daniel w łóżeczku odwrócił się, ale nie spojrzął na ojca. Jakby specjalnie omijał go wzrokiem. Choć nie musiała to być prawda.

Chris znów potrząsnął bohaterem bajki.

– Jestem pies z telewizji. Tak, Danielu? Żyję sobie w telewizorze.

Daniel stał w łóżeczku z głową w aureoli plastikowych zabawek z karuzeli. Ręce opuścił wzdłuż ciała. Chris patrzył, co będzie dalej. Zastanawiał się, jak ojciec opisałby taką chwilę. Jako chłopiec Chris był naprawdę zadowolony z tego, że stał się bohaterem książek swojego taty. Podobało mu się bycie słynnym Krzysiem, lubił dostawać pluszowe zabawki, które przysyłali mu pocztą znajomi i nieznajomi, uwielbiał pozostawać w centrum wymyślonego świata. Pamiętał, jaki zachwyty wzbudził w nim potężny pluszowy prosiaczek – miał wtedy osiem lat – i czerwona piłka, która przyszła pocztą tego samego dnia, ale wzbudziła w nim tylko rozczarowanie. Czy były to jego urodziny?

– Daniel, jestem twoim pieskiem – powiedział Chris. – Hau. Hau. Hau.

Siedząc tak przy synu, wspominając Kubusia Puchatka

w dziecięcym pokoju, z niebieskim psem w dłoniach, Chris poczuł się zupełnie absurdalnie.

Ojciec był bardziej pewny siebie. Był tak pewny siebie, że nie stosował żadnych reguł, a tylko podsuwał rozmaite sugestie.

Pewnego dnia powiedział mu, że pomiędzy kęsami jedzenia należy położyć nóż i widelec, a nie trzymać ich skierowanych w górę. Chris spytał czemu. Ojciec, który nigdy nie miał zaufania do tradycji i nie wierzył w autorytety, wymyślił wyjaśnienie od ręki.

– A gdyby tak sufit pękł i gdyby ktoś spadł z góry na stół? Jeśli trzymasz widelec na sztorc, to ten ktoś mógłby się na niego nadziać w czasie, gdy ty zajadasz pudding – powiedział.

Chris w zasadzie jadał pudding łyżką. I właściwie pomyślał sobie, że nie jest możliwe, żeby podczas obiadu sufit zawalił się w sposób, jaki opisał ojciec, ale i tak od tego czasu był posłuszny jego nakazowi. Po każdym kęsie odkładał sztucce po obu stronach talerza. Ojciec miał nad nim władzę nawet wtedy, kiedy zachowywał się absurdalnie. Ale teraz Chris sam był ojcem i nie było nikogo, kto skłaniałby go do czegokolwiek.

Chris paplał, pokazywał chłopcu tańczącego psa z telewizji, ale malec w łóżeczku nie reagował.

4.

Gerrard nie bardzo potrafił skupić się na powtórce z koniugacji, którą zgodnie z poleceniem miał zapisać na swojej tabliczce. Wszyscy pozostali uczniowie zapisywali, jak się jest w czasie przeszłym, teraźniejszym, przyszłym, tylko Gerrard odłożył kredę i gapił się w sufit, rozmyślając nad tym, w jaki sposób można uchwycić się tych czasów.

Był. Jest. Będzie.

Zapatrzony w sufit Gerrard nie zauważył, że patrzy na niego nauczycielka. Pani patrzyła groźnie, zwracając się do niego po nazwisku, ale chłopiec jej nie słyszał. Dopiero kiedy podeszła bardzo blisko, pochyliła i wsunęła twarz ozdobioną okazałym podbródkiem między Gerrarda a tę część sufitu, z której odpadały płaty farby, gdy poczuł zapach naftaliny i róż, charakterystyczny dla pani Mertfield, zrozumiał, że popadł w tarapaty.

– Panie Hand, w tej klasie nie wolno spać. Jeśli nie jesteś zainteresowany nauką, powinieneś po prostu zostać w domu.

– Ja nie spałem, proszę pani – powiedział Gerrard.

– Nie? A co to jest tryb przypuszczający?

Gerrard zamilkł, szukając słów, by jej to

wytłumaczyć.

– Nauczyłybyś się, gdybyś uważał – powiedziała nauczycielka.

– Tak, proszę pani. Właśnie tak.

– Rozumiesz?

– Tak, proszę pani, to jest właśnie tryb przypuszczający.

Chwyciła go za kołnierzyk koszuli i wyprowadziła na środek klasy. Kazała mu stanąć w kącie, twarzą do ściany tak bliźutko, poinstruowała chłopca, żeby nosem podpierał mur. Gerrard zrobił, co mu kazała. Stał bez ruchu, przyciskając nos do ściany i zastanawiał się, skąd wiedział, że mur to wytrzyma. Mógł przecież popychać z całej siły.

Po lekcjach Gerrard usadowił się, żeby pooglądać obrazki w najnowszym wydaniu *Tintina*, i akurat wtedy wróciła mama ze swoim nowym chłopakiem, Patrickiem. Hałasowali na schodach, śmiejąc się i przekrzykując, a Gerrarda opanowywało ponure przygnębienie. Patrick zamierza zostać na noc. Gerrard czuł to w samym środku brzucha.

– Co tam w szkole, Gerrardzie? – zapytał Patrick.

– W porządku, proszę pana.

Patrick mrugnął z korytarza.

– Cześć, malutki – powiedziała mama. Miała włosy ściągnięte w kok i ciemnoczerwoną pomadkę na ustach. Zwykle nosiła rozpuszczone włosy i nie malowała się,

idąc do pracy. Mówiła, że nie ma żadnego znaczenia, bo czy robi makijaż, czy nie, zawsze jakaś inna dziewczyna, z za innego biurka, przyciągnie wzrok szefa. Na jej piętrze siedziała setka kobiet, wszystkie stukały na elektrycznych maszynach do pisania IBM i wszystkie, jej zdaniem, prezentowały się znacznie lepiej niż ona. Jako jedyna przychodziła w spodniach, choć kiedy umawiała się z Patrickiem, nie wkładała ich nigdy. Matka była wciąż w zwyczajnym ubraniu, choć jej czarna spódnica i szary golf raziły Gerrarda. Wolałby, żeby ubierała się bardziej oficjalnie, wyjściowo, jak inne znane mu matki, a nie w ten sposób, jak jakaś yé-yé girl.

– Cześć, mamó! – powiedział Gerrard.

– Patrick zostanie na kolacji.

Patrick spojrział na niego, Gerrard natychmiast zamknął komiks i przeniósł się na kanapę. Mężczyzna zdjął prochowiec i złożył go wpół, potem zdjął i zwinął krawat. Położył to wszystko na stole, tuż obok talerza Gerrarda i poszedł do kuchni, a mama zabrała płaszcz i krawat i powiesiła je na właściwym miejscu, na wieszaku w przedpokoju.

– Gdzie wino? – pytał Patrick z drugiego pokoju.

Gerrard patrzył nad dachami na wieżę Eiffla, kominy, anteny i sadzę. Budynek i niebo na zewnątrz przybrały zgodnie barwę wapienia. Gerrard leżał na kanapie, patrzył na wysoki sufit i słuchał jak matka krząta się po kuchni, postukując naczyniami.

Później, po kolacji, Gerrard zapytał, czy może jeszcze

zostać i posłuchać Europe 1, gdzie po siódmej puszczał bebop jazz. Matka, zamiast mu odpowiedzieć, spojrzała na Patricka. Patrick powiedział, że on zadba o chodzenie spać o właściwej porze. Chwył Gerrarda w pasie i zanim chłopiec zdążył zaprotestować zaniósł go do sypialni, posadził na łóżku, kazał się rozbierać i kłaść.

– Lubi pan Buda Powella? – zapytał Gerrard.

– Rozbieraj się.

– Nie chce mi się spać.

Gerrard przyrzekł sobie, że za kilka minut po prostu wstanie z łóżka i wyjdzie stąd. Zamek w drzwiach jego sypialni nie działał, zaciął się. Jedyne, co trzeba było zrobić, to poczekać, aż mama pójdzie z przyjacielem do swojego pokoju, a potem wślizgnąć się z powrotem do kuchni, gdzie Billie Holiday śpiewa *Let's Call the Whole Thing Off*. Odczekał, jak mu się wydawało odpowiednio długo, choć równie dobrze mogło to być zaledwie kilka minut, a potem cichutko wymknął się z łóżka. Chciał otworzyć drzwi, ale okazało się to niemożliwe. Za drzwiami, w ciemnościach, stał Patrick, który je trzymał, a Patrick był od Gerrarda silniejszy.

– Wypuszczaj mnie – powiedział chłopiec.

Mężczyzna ani drgnął. Gerrard pchał i pchał, ale drzwi się nie otworzyły. W końcu, spróbowałszy raz jeszcze i jeszcze, padł na łóżko z mocnym postanowieniem, że to przeczeka. Patrick kiedyś sobie pójdzie.

Przyśniło mu się, że ziemia pod jego stopami jest zrobiona z szarej, miękkiej gliny. Gerrard, spacerując wokół metalowego słupa, zrobił w niej nacięcie, znacząc początek wykopu. Gdy popatrzył na horyzont, dostrzegł światło, ale nie było widać, co jest jego źródłem. Niebo było pomalowane matową farbą – nie tylko wyglądało jak obraz, ale było nim po prostu i tyle – o szarej barwie, jaśniejszej o jeden ton od koloru gliny. Dotknął metalowego wrzeciona, popatrzył na swoje mokasyny, a potem znów przeniósł wzrok na linię widnokręgu. To był po prostu ekran. Przyszło mu do głowy, żeby podejść do nieba i przełożyć przez nie rękę.

Ale – jak to często zdarza się w snach – dekoracje się rozsunęły i Gerrard znalazł się w mieście. Glina pod jego stopami stwardniała i zmieniła w... Paryż. Stał na bruku. Metalowe wrzeciono zniknęło, a w jego miejscu pojawił się kamienny słoń otoczony spiralnymi schodami. Stopnie wbijały się w brzuch zwierzęcia, więc gdyby zechciał, mógłby wspiąć się w górę przez otwór w kamiennym słoniowym ciele. Po grzbiecie spływały strugi wody.

Słoń siedział pośrodku ronda, od którego w cztery strony świata rozchodziły się wąskie aleje. Na jednej z tych ciasnych uliczek, jakieś jedenaście metrów stąd, przy kawiarnianym stoliku, siedziała czarująca pani. Z daleka przypominała tę aktorkę, Simone Signoret. Trzymała w dłoni szklanę pastis, a pomarańczowy

kolor likieru Ricard lśnił w słonecznym blasku wczesnego popołudnia. Zauważyła Gerrarda i machnęła ręką, zachęcając go, by do niej podszedł.

Kiedy już usiadł, zapytała:

– Wiesz, gdzie jesteś?

Podsunięła mu pękatą butelkę pomarańczowej oranżady. Odkręcił kapsel i zatrzymał się, zbyt przejęty, by spróbować pierwszego łyka. Ta pani ze snu nie przypominała już Simone Signoret, była teraz podobna do jego matki, choć jej brązowe włosy były ciemniejsze, tak samo jak barwa jej skóry. Wyglądała jak jego znacznie młodsza i o wiele piękniejsza mama. Była snem.

– Jesteś bardzo rozwinięty jak na swój wiek – powiedziała kobieta i podniosła szklanekę z alkoholem, wznosząc toast na jego cześć. Wypiła. – Sądzisz, że umiałbyś już powiedzieć, czym różni się bycie na jawie od śnienia?

Gerrard łyknął swojej oranżady, była niemal bez smaku, jak woda. Zajrzał do środka i zobaczył, że pomarańczowy osad zebrał się na samym dnie. Zakręcił butelkę ponownie i potrząsnął, przyglądając się mieszaninie słodkiej wody, pomarańczy i nektarynek, potem znów odkręcił kapsel i łyknął pospiesznie. Smakowało lepiej.

– Nie jesteś moją mamą – powiedział Gerrard. Popił z butelki, a potem chciał odstawić ją na stół, ale blat był wyżłobiony, pełen rowków. Wryte na nim wizerunki

zwierząt – węzów, kaczek, jaszczurek, sów i czegoś tam jeszcze – sprawiały, że kamienna powierzchnia była nierówna. Chłopiec odstawił butelkę powoli, uważnie, ale i tak zachwiała się jak pijana i przewróciła, rozlewając oranżadę.

– To prawda – powiedziała pani. Uśmiechała się tak jakoś protekcjonalnie, jakby się z niego naigrawała. Wyciągnęła rękę i postawiła butelkę.

Mama ze snu wstała. Była dziwna i zarazem oszałamiająco piękna w swojej sukni z czerwonego jedwabiu w czarne kropeczki, otaczała ją aura gwiazdy filmowej, choć poszła do kawiarni, żeby przynieść ścierkę. Gerrard został sam przy stoliku. Spojrzał w dół i w górę ulicy i zaniepokoił się, słysząc odgłos kroków. Wiedział, że to sen, ale nie miał pewności, czy we śnie zjawiają się potwory, czy też nie.

Siedział w słonecznym świetle ciasnej ulicy, w starej części Paryża, gdzie wąskie zaśmiecone uliczki cuchnęły brudem i papierosowym dymem. Gerrard znów popił z butelki, oranżada wpadła mu do niemieckiej dziurki, zakrztusił się, zaczął kaszleć i prychać.

Jeśli to wszystko mu się śni, to czemu nie może przestać kaszleć? Dlaczego niepokoi się tym, czego najbardziej się boi? Postanowił pomyśleć o czymś innym, przestał wreszcie kasłać, jednak wciąż słyszał te kroki. Słyszał je coraz głośniej.

Kobieta w czerwonej sukience położyła białą

ściereczkę w zielone paski tam, gdzie wylał oranżadę. Zobaczył jej ramię i szmatkę, zanim zdołał zauważyć, że wróciła. Był przerażony.

– Nie chcę go widzieć – powiedział.

– Kogo?

– Nie chcę widzieć taty – powiedział. – On nie żyje. Ja nie chcę go widzieć nieżywego.

– A jeśli to nie twój prawdziwy tata, tylko przyjaciel mamy? A jeśli możesz coś z nim zrobić? Czy nie po to właśnie tu przyszedłeś? – Wycierała stół ściereczką, osuszając słodkie jezioro, otaczające sowę, kangura i węża.

Tak, Gerrard chciał coś zrobić z chłopakiem mamy. Zanim zdążył pomyśleć, co mogłoby to być, mama ze snu sięgnęła pod stół i wyciągnęła stamtąd kilka pluszaków. Postawiła na stole, tam, gdzie wcześniej rozlała się oranżada, pluszowego misia, tygrysa, kangura i małego osła.

– Gerrardzie, czy wiesz, gdzie jesteś? – zapytała.

– We śnie – odpowiedział.

– A wiesz, kim ja jestem?

– Moją mamą. Mimo wszystko jesteś moją mamą.

Wzięła go za rękę i popatrzyła na niego. Spojrzała Gerrardowi głęboko w oczy i wyjaśniła, że właściwie nie jest jego mamą, ale on może ją tak nazywać i to będzie w porządku.

– Porozmawiajmy o twoich zwierzakach – powiedziała. – Tata opowiadał ci o nich, prawda? Czytał

ci o nich książkę?

– Nie o moich zwierzątkach. One są Krzysia.

Pluszaki ze stołu były stare i zniszczone. Żółte oczy niedźwiadka wisały na nitkach, a szare futro osiołka było miejscami powycierane. Kobieta, która nie była matką Gerrarda, pozbiierała zwierzęta i wrzuciła z powrotem do siatki. Dopiła wino i spytała, czy Gerrard wypił oranżadę. Chłopiec skinął głową.

– Pójdziemy na spacer.

Pani w czerwonej sukience poprowadziła Gerrarda wąską uliczką. Przeciskali się wśród wapiennych murów, kierując się w stronę słoniowej budowli. Gerrard pomyślał sobie, że to może być jeden z potwornych Słoni, że nie chce tam wchodzić ani wspinać się po schodach. Przypomniał sobie zwierzęta wyryte na stole, poczuł pod palcami wyżłobienia blatu i pożałował, że nie wypił całej butelki oranżady, kiedy jeszcze mógł. Przecisnął się z Paryża na szary płaski okrąg, w którym już niegdyś był, trafiając nie do kamiennego słonia, lecz z powrotem, do metalowego słupa. Stając znów na wilgotnej miękkiej glinie, poczuł pragnienie.

– Pamiętasz, gdzie jesteś?

– W nigdzie – odpowiedział Gerrard.

– Nic się nie zmieniło. Mówiłeś mi już.

– We śnie.

Wyjęła zwierzęta z siatki i położyła je w glinę. Potem przeciągnęła misia i prosiaczka po ziemi, przyciskając

je na tyle mocno, że glina się rozstępowała. Ciągnęła pluszaki, które zostawiały wyżłobienia na powierzchni. Wykopywała nimi rowki.

– Chcesz tygryska? – zapytała.

– Czy ja wiem... A one się od tego nie pobrudzą?

Pani wyciągnęła pluszowe zwierzaki w jego stronę, zobaczył, że są czyściutkie. A nawet wyglądają na nieco mniej zniszczone niż przedtem. Ucho misia było starannie przyszyte, osiołek i kangur miały więcej futerka.

Gerrard wybrał osła do znaczenia śladów w ziemi. Wcisnął zwierzątko w grunt i wykopał dziurę, używając do tego pluszowej głowy. Usypał gliniany pagórek. Kobieta wyryła misiem cyfrę osiem, a potem razem wykopali rów dookoła słupa, używając wszystkich pluszaków, żeby każdy wyrył w tym miejscu swój ślad.

– Jesteś umarła? – zapytał Gerrard. Nie wiedział czemu. Może z powodu tego kopania i ciężaru pluszowego osiołka, którego trzymał w dłoniach.

Kobieta nie odpowiedziała, wyciągnęła tylko rękę i dotknęła policzka chłopca. Miała glinę na palcach, wilgotna maź przyklepiła się do jego skóry i Gerrard się odsunął.

– Czy ja też jestem umarły?

– Nie.

– Dlaczego nie umarłem?

– Za krótko jeszcze żyjesz.

– Nie chcę umrzeć – powiedział Gerrard.

Pomyślał, że każdy człowiek umiera, że każdy człowiek jest taki kruchy. Nawet jego prawdziwa mama, nawet jej chłopak, żadne z nich nie było tak duże, by uniknąć zranienia czy śmierci. Zwłaszcza mama była drobna. Ciągłe chorowała, opowiadała o tym, co ją boli i gdzie, ale nawet jej przyjaciel mógł zostać ranny. Widział to. Chłopak mamy pokazał Gerrardowi ranę na goleni, tuż pod kolanem. Trzymilimetrowa blizna ciągnęła się prostą linią od kolana. Patrick próbował przejść przez płot i skaleczył się, kiedy spadł na znak drogowy. Jego brzeg przeciął mu nogę.

Gerrard podziwiał skaleczenie na jawie. To była poważna rana, Gerrard wciąż dopominał się, by ją oglądać. Zrobiło na nim wrażenie to, że przyjaciel mamy nie płakał, ale jeszcze bardziej fascynował go widok zranionego mężczyzny. Prosił, żeby opowiedział mu jak to się stało, jak przeciął sobie nogę. Historia była bez sensu. Patrick wspinał się na płot gdzieś tam w szóstej dzielnicy, płot otaczał hotel, w którym pracował, a w dodatku przyznał się, że był całkiem pijany. Po co włąził na ten płot? Czemu pił w pracy?

– Była późna noc. Dawno już byliśmy po pracy.

– A po co tam wróciłeś?

– Było późno.

– Dlaczego włązłeś na płot?

Nie usłyszał odpowiedzi, a chłopak matki ściągnął nogawkę spodni, zakrywając ranę.

Gerrardowi zrobiło się lepiej. Spoglądając na pustą, szarą ziemię, na szary ekran zastępujący niebo, poczuł, jakby udało mu się coś zrobić.

5.

Kiedy usiedli razem przed szpitalnym pokojem Patricka w Hôtel-Dieu, mama Gerrarda wyglądała jak mała przestraszona dziewczynka. Czuła się tu bardzo niepewnie, grzecznie spełniała wszystkie prośby personelu. Siedzieli na drewnianych fotelach pod wąską kauczukową lamperią, przylepioną do tynku, która miała chronić ścianę przed manewrami nieobliczalnych szpitalnych wózków. Zakażenie, jakie wywiązało się w nodze Patricka, rozprzestrzeniło się i rozwinęło w zakażenie krwi. Lekarze dali mu jakieś lekarstwa, żeby spał, a na twarz nałożyli mu maskę, która pomagała oddychać.

Patrick nie budził już lęku; nie był, jak dotąd, potężnym mężczyzną, skurczył się. Pozbawione świadomości ciało pod szpitalną pościelą zdawało się takie kruche, że aż Gerrard poczuł się nieswojo. Marzył, żeby Patrick się obudził, żeby mógł mu powiedzieć jak bardzo mu przykro. Naprawdę tego nie rozumiał.

Gerrarda i jego mamę poproszono, żeby poczekali w korytarzu, a ponieważ matka nie miała z Patrickiem ślubu, pielęgniarki podejrzliwie przyglądały się im dwojgu. Było już bardzo późno, dawno minęła pora,

o której zwykle kazano Gerrardowi kłaść się do łóżka.

W szpitalu pachniało czymś dziwnym. Było tu mnóstwo różnych pojazdów, nadających się do oglądania, od czasu do czasu wieziono nimi jakąś staruszkę albo jakiegoś staruszkę z zabiegu na łóżko, albo z pokoju na jakiś zabieg. W ich oczach widać było strach i Gerrardowi było ich trochę żal, ale tak niezupełnie.

Czuł się też trochę winny tego, że ogarnęła go straszna ciekawość. Czy siniaki na ramieniu tej starszej pani były symptomem jej choroby? Czy ten starszy pan z siwymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami, w długiej koszuli ze słonecznikami, mamrocze obrzydliwe przekleństwa dlatego, że się boi, czy też jest to objaw jego choroby? Mama Gerrarda przeglądała się w małym lusterku, nałożyła pomadkę, odłożyła lusterko, znów je wyjęła, spojrzała na swoje policzki. Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną, starła róż z twarzy i dotknęła papierem ust, próbując usunąć z nich czerwień. Wcale nie chciała już ładnie wyglądać. Popatrzyła na siebie w lusterku, przemyślała coś, wzięła pomadkę, otworzyła i znów zamknęła. Nie mogła się zdecydować.

– To jest szpital, w którym się urodziłeś – powiedziała. – Ja cię tutaj urodziłam.

Gerrard nie wiedział, co powiedzieć, niespecjalnie lubił, kiedy przypominano mu, że był kiedyś niemowlakiem. Nie interesowały go okoliczności

własnych narodzin, nie chciał wiedzieć niczego na temat szpitala ani przebiegu zdarzenia.

– A to bolało? – spytał.

Mama uśmiechnęła się niewyraźnie, jej łagodna twarz ściągnęła się w napięciu, a częściowo czerwone wargi rozciągnęły się lekko i delikatnie zakrzywiły.

– Nie pamiętam, czy to bolało – powiedziała. – Dali mi jakieś leki na sen i żeby nie pamiętać.

– Jakie leki?

– Mówili mi, jak się nazywają, ale zapomniałam. Przeciwbólowe w części.

– Kłuli cię strzykawką czy dali pigułki?

– Wstrzykiwali leki albo może tylko niektóre. Wydaje mi się, że dawali też pigułki. Pamiętam, jak przewozili mnie na takim szpitalnym wózku, dziwne rzeczy wtedy widziałam.

Mama opowiedziała mu o maszynerii wielkości małego pokoju. Trzymali w niej dzieci, które miały polio, i ta maszyna za nie oddychała. Zapakowano do środka cztery niemowlaki, ich głowy, oparte na półkach przyczepionych do maszyny, wystawały na zewnątrz. Dzieciaki spały, a urządzenie huczało jak odkurzacz.

Powiedziała, że myślała wówczas, że te dzieci umarły. Przeraziła się, że zostały zabite przez pielęgniarkę, ale przypomniała sobie wtedy, jak lekarz ostrzegął ją, że silne środki mogą spowodować u niej halucynacje, a nawet paranoję.

– Trudno było myśleć po tych prochach. Pamiętam

ściankę respiratora i pamiętam, jak się obudziłam, kiedy ty już byłeś na świecie.

– A tata też tu był jak chorował?

Mama wróciła do nakładania makijażu, oblizwała usta i skierowała kompaktowe lustreczko w stronę światła. Gerrard przyglądał się człowiekowi ubranemu w biały laboratoryjny kitel, który przechodził obok nich, niosąc tacę, na której leżały noże, skalpele i jakieś naczynie wypełnione ciemną cieczą.

– Był na innym piętrze. Nienawidzę tego miejsca – powiedziała mama.

Gerrard podniósł się z fotela i poszedł wzdłuż korytarza. Natknął się na otwarte drzwi i wszedł do pustego szpitalnego pomieszczenia. Śmierdziało tu wybielaczem i kurzem, przypalającym się na rozgrzanym kaloryferze. Ciemne drewno podłogi było zdarte od metalowych kółek, a niebieskie firanki w oknie spłówiały od słońca.

Wszedł stamtąd i ruszył dalej, sprawdzić, co kryje się za kolejnymi drzwiami. Tam ściany zostały wyłożone niebieskawymi kafelkami, które przypominały wnętrze pływalni. To była sala operacyjna. Na stole zobaczył rozłożone skalpele i gumowe rękawice, miski i papierowe fartuchy. Gerrard wszedł do środka, stanął na samym środku sali, położył ręce na poduszce, tam, gdzie powinna znajdować się głowa pacjenta, i pomyślał o krwi i wnętrznościach. Wsłuchał się w bicie swego serca, uświadomił sobie, że ma pusty żołądek,

i zastanowił się, czy nie powinien się już wysikać. Stał i poczuł jak pracuje jego ciało, jak pulsuje każda jego cząstka, składając się na żywą całość.

– Co ty tu robisz, chłopcze? – zapytała pielęgniarka. Miała sympatyczną twarz, właściwie nieładną, ale też niebrzydką. Nosiła włosy spięte w kok i okrągłe, druciane okulary.

Wyciągnęła rękę, chwyciła Gerrarda za łokieć i poprowadziła w stronę drzwi, nim zdążył odpowiedzieć na jej pytanie.

– Dotykałeś czegoś? – zapytała. Gerrard był już prawie w korytarzu, kiedy zdołał odpowiedzieć:

– Nie dotykałem niczego, proszę pani, oprócz poduszki.

Pielęgniarka zatrzasnęła za nimi drzwi, odwróciła się i obejrzała go podejrzliwie od stóp do głów.

– Gdzie są twoi rodzice? – zapytała.

Siostra odprowadziła Gerrarda do mamy. Matka siedziała w tym samym miejscu, najwyraźniej nie zauważyła nawet, że syn sobie gdzieś poszedł. Wciąż patrzyła na własne odbicie w lusterku. Kiedy pielęgniarka chrząknęła znacząco, nie podniosła głowy, tylko skinęła głową własnemu odbiciu.

– Dziękuję, siostro – powiedziała.

– Znalazłam go w sali operacyjnej, a to pomieszczenie musi być utrzymywane sterylnie.

– Dotykałeś czegoś? – zapytała mama.

– Nie.

– Niczego nie dotknął – powiedziała mama.

– Proszę pilnować swojego dziecka, proszę pani – powiedziała pielęgniarka.

– Oczywiście. Dziękuję.

Gdy pielęgniarka sobie poszła, matka odłożyła lusterko i podniosła wzrok na Gerrarda. Wyglądała na zmęczoną i zmarniałą, ale pewną i spokojną. Powiedziała mu, że wychodzą ze szpitala, bo tkwili tu już dość, o wiele za długo, a teraz wracają do domu.

– Przepraszam, mamó. Nie chciałem zrobić tak, żebyśmy musieli wyjść.

Matka wstała, objęła syna i przytuliła go mocno przez chwilę. Popatrzyła mu w oczy i powiedziała, żeby się nie przejmował, bo to wcale nie jego wina. Idą sobie stąd nie dlatego, że on coś tam zrobił.

Po drodze do wyjścia mama zatrzymała się przy stanowisku pielęgniarek i spytała, czy Patrick się już obudził. Nie obudził się.

– Powie mu pani, że na niego czekaliśmy? Powie mu pani, że mamy nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej?

– Przepraszam, mamó – odezwał się Gerrard.

– To nie twoja wina – odpowiedziała.

Gerrard jej jednak nie wierzył. Nie zobaczą już więcej Patricka. Nawet jeśli mu się polepszy, oni zostawiają go na dobre. Gerrard nie miał pojęcia, dlaczego sądził, że myśl, która przyszła mu do głowy, jest prawdziwa, ale kiedy szli korytarzem w kierunku schodów, mijając kolejną przerażoną staruszkę z rurkami w nosie

i nieobecny spojrzeniem, chłopiec zatrzymał się, jakby chciał zawiązać sznurowadło. Przyklęknął, opierając się na dłoniach tak, by ułożyć je płasko na twardej, drewnianej podłodze i stwierdzić, że deski są miękkie. Poczł pod palcami coś, czego się nie spodziewał. Zadrapał podłogę palcem wskazującym i drewno odpadło od podłoża. Mięka deszczulka oderwała się i została w jego dłoni. Ukrycie jej w kieszeni kurtki było naprawdę łatwe. Mama nigdy nie zauważała takich rzeczy. Wątpił, by dostrzegła, że coś dzieje się pod jej stopami, nawet gdyby pokazał jej to palcem.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Gerrard poczuł jak zapada się w miękki bruk. Każdy kolejny krok wymagał od niego większego wysiłku i dopiero w metrze, gdy przytulił się do mamy, zamykając oczy wrócił do siebie. Świat został na zewnątrz, za powiekami. Wszystko wydawało się znów prawdziwe i twarde, gdy przysłuchiwał się rytmicznemu turkotaniu podziemnego pociągu. Mama przygarnęła go do siebie ramieniem i Gerrard usnął.

6.

Chris wolałby, żeby w gabinecie lekarskim panował większy porządek. Czy nikt w Brixham nie słyszał jeszcze o Pasteurze i jego teorii bakterii chorobotwórczych? Mahoniowy blat potężnego zamykanego biurka doktora Reinharda był zaśmiecony popielniczką pełną niedopałków, papierami i czymś, co okazało się czarno-białymi kamykami. Ciemna tapeta z pomarańczowego papieru roztaczała wokół dziewiętnastowieczną aurę.

Lekarz zdawał się nie dostrzegać tego, jak jego niechlujstwo wpływa na Daniela, a może po prostu nic go to nie obchodziło, a Daniel z trudem znosił pobyt w nieznanym, nieuporządkowanych pomieszczeniach. Gdyby gabinet był sterylny i funkcjonalny, może te wiadomości nie zraniłyby Chrisa tak głęboko. Może potraktowałyby je bardziej obiektywnie, nie tak osobiście. Ale gdy doktor w tych okolicznościach powiedział mu, że Daniel ma pewien umysłowy deficyt, Chris poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w brzuch.

– Kiedy mówił pan o tym, że Daniel trzepocze rękami, sztywnieje i że nie nawiązuje kontaktu stosownego do jego wieku, podejrzewałem, że u chłopca może występować coś, co nazywamy skłonnością do izolacji

czy zaburzeń normy – mówił lekarz. – Przeprowadzone przeze mnie badania potwierdziły tę diagnozę.

Doktor wprawnie stosował eufemizmy, ale nie potrafił zapobiec dotkliwej niestosowności tego gabinetu ani samego siebie. Było już za późno. Pozwalając na to, by fizyczne aspekty jego egzystencji stały się tak widoczne w gabinecie, lekarz sam ustawił się w pozycji intruza. Stał zbyt blisko. Chris czuł na twarzy jego wilgotny oddech, czuł jego woń. Cofnął się.

Abby stała oniemiała przy drzwiach gabinetu, trzymając w ramionach drobną figurkę Daniela. Oboje patrzyli nieruchomo, nic nie rozumiejąc: Abby z trwałą ondulacją, czerwoną pomadką na ustach, w sukience w kolorze miedzi i czerwonym szalu oraz Daniel, którego źrenice zdawały się nigdy na niczym nie skupiać, w krótkich spodenkach i muszce, choć równie dobrze mógłby mieć na sobie piżamę albo szpitalną koszulę.

Był to zagadkowy, niewytłumaczalny moment. Lekarz mówił, że powinni dawać synowi więcej bananów, bo dieta ma duże znaczenie.

Daniel miał autyzm. Choroba dziedziczna, spowodowana przez jakiś rodzinny defekt. Byli tego nieświadomi, dlatego zlekceważyli pierwsze objawy.

Zazwyczaj to matka odpowiada za przeniesienie choroby, mówił lekarz, ale nie zawsze. Doktor pyknął fajkę, a potem wręczył im banana i ulotkę. Obie rzeczy podał Chrisowi. Później sięgnął pod biurko i wyjął

stamtąd plastikowy domek dla lalek. Postawił zabawkę obok popielniczki i poprosił Chrisa, żeby zajrzał do środka przez małe okienka.

To, co robił ten doktor z północy, zdawało się nie mieć żadnego sensu. Akcent miał tak niewyraźny, że ledwo dało się go zrozumieć, no i skoro ten domek dla lalek jest czymś w rodzaju sprzętu rehabilitacyjnego dla niepełnosprawnych dzieci, to czemu lekarz chce, żeby zaglądał do niego Chris? Czy to nie Daniel powinien popatrzeć do środka?

A jednak Chris zrobił, co mu kazano. Zmarszczył brwi, zaglądnął przez celofanowe okna. Wewnątrz były trzy gumowe laluszki, z namalowanymi ubraniami, wiecznymi uśmiechami i drutami prężącymi się pod skórą. Nie było w nich niczego ładnego. Pozbawione wyrazu lalki zostały zaprojektowane tak, by były uniwersalne. Nie miały służyć do zabawy, miały pomagać w odgrywaniu z góry ustalonych scenek. Nie były zabawkami, były rekwizytami w czymś, co doktor nazwał „rodzinną dramą”. Chris zmrużył oczy, sięgnął do środka domu i zdjął figurkę ojca z miejsca, w którym siedział, u szczytu żółtego kuchennego stołu z plastiku.

– To ojciec? – zapytał Chris.

Lekarz skinął głową.

W drodze powrotnej do Dartmouth Chris i Abby kłócili się cicho. Wymienili zaledwie kilka zdawkowych uwag

na temat drogi i pogody, ale napięcie między nimi było tak duże, że nawet to okazało się niebezpieczne.

– Lekarz powiedział, że Daniel będzie miał większe szanse, jeśli będzie się bawił się tym terapeutycznym zestawem – powiedział Chris.

Abby trzymała domek dla lalek na kolanach. Trzy gumowe figurki ścisnęła z całej siły w lewej dłoni. Postać matki zgięła się lekko między palcem wskazującym a serdecznym.

– To prawda – odpowiedziała Abby.

Chris nic nie powiedział. Skoncentrował się na dodawaniu gazu. Daniel mógłby starannie ustawiać te lalki, mógłby wynajdywać dla nich skrytki w szczelinach i otworach drewnianej konstrukcji ich domu, tylko że on nigdy nie bawi się zabawkami.

Ktoś inny będzie musiał się bawić tymi lalkami za niego i oby ta jego... echolalia, jak wyraził się doktor, sprawiła, że chłopiec zacznie tę zabawę naśladować. Jak strasznie ponurą zabawę można odgrywać za pomocą takich postaci? Czy Abby sądzi, że to on, Chris, będzie tworzył przedstawienia dla ich syna? Czy spodziewa się, że to on wymyśli słowa, jakimi syn może zwracać się przy śniadaniu do lalki swego ojca?

– Zwolnij, proszę – powiedziała Abby. Wydała się Chrisowi kimś zupełnie obcym. Gdzie się podział ten bezpretensjonalny wdzięk, ta gładkość linii, które dostrzegał w niej w czasach narzeczeństwa? Z szykowną fryzurą, stylowo ubrana prezentowała się pięknie, ale

wymagała opieki. Nawet teraz, po przeżytych szoku, wyglądała pięknie, elegancko i sztywnie, ale Chris wiedział, jak cieniutka jest ta zewnętrzna zasłona. Na dłuższą metę często okazywała się ona kruchą fasadą. Chris musiał troszczyć się o nią niezwykle ostrożnie.

– Naprawdę musimy przenosić tę terapię do domu? Czy nie mogliśmy zostawić tego domku w gabinecie? Daniel mógłby się nim bawić podczas wizyt u lekarza, prawda?

Abby odwróciła się i popatrzyła na synka siedzącego na tylnym siedzeniu. Wyciągnęła dłoń i wzięła małego za rączkę. Chris patrzył na drogę, gdy minęli zakręt pojawił się przed nimi kanał. Jego ciemnozielona gładka tafla rozciągała się we mgle.

Chris popatrzył w lewo i zobaczył, że Abby przechyla się przez siedzenie pasażera. Z tyłkiem wypiętym wprost w przednią szybę wyglądała śmiesznie. Przechylona nad oparciem, balansując na skraju, wypłakiwała nad tylnym siedzeniem.

– Daniel? – pytała. – Widzisz figurkę mamy? Widzisz, że siedzi tuż przy dziecku? Bo ona bardzo lubi swojego synka. Widzisz to?

Chris poczuł, że ucisk w klatce piersiowej powoli się rozluźnia. Słuchał tego, co jego żona wygaduje do ich syna, słuchał jej załamującego się głosu i wiedział, nie wiadomo skąd, że dadzą sobie radę. Tych dwoje, matka i jej dziecko, przetrwa to wszystko. Bo choć Abby

traktuje Daniela jak chorego, to nie widzi w nim samej tylko choroby. Abby miała swoją drogę do przebycia.

Chris wbił wzrok w drogę przed sobą.

Gdy dojechali do Dartmouth, Chris niemal wygrał szlema na samym początku rozgrywki. Za sprawą gryzonia. Zatrzymali się przy miejscowym sklepie z narzędziami, jakiś gryzoń przebiegł przez parking i schował się w miejscu, gdzie opona tylnego koła stykała się z asfaltem. Zwierzak wcisnął się w maleńki kącik, a Chris w ogóle by go nie zauważył, gdyby nie uwaga Daniela.

– Mysz – powiedział Daniel.

– Co takiego?

– Mysz. – Chłopiec zatrzymał się przy prawych bocznych drzwiach ich niebieskiego sedana BMC Morris i wskazał palcem żółtą linię oddzielającą miejsca parkingowe. Chris nie od razu spojrział w tamtą stronę, najpierw umieścił na tylnym siedzeniu deseczki i puszki pomarańczowej farby i dopiero gdy się z tym uporał, odwrócił się, by popatrzeć we wskazywanym przez żonę i syna kierunku.

– To może być mysz – powiedziała Abby.

Chris patrzył, patrzył, ale nie widział brązowego gryzonia wciśniętego pomiędzy mokre liście na asfalcie i bieżnik tylnej opony. A jednak on tam był. Prawdę mówiąc, Chris nie potrafił go dostrzec dlatego, że powiedział mu o tym jego syn. Przywykł już do

echolalii Daniela, nie spodziewał się zatem, że słowo „mysza” odpowiada czemuś rzeczywistemu, szukał raczej czegoś lśniącego jak moneta. Gdy w końcu zdołał zobaczyć zwierzę, gdy w kulce brązowego futerka rozpoznał mysz, o której była mowa, postanowił ją rozruszać.

Podszedł do tylnego koła, sądząc, że odgłos jego kroków dudniących na asfalcie spłoszy gryzonia, ale ten ani drgnął. Chris pochylił się i potrącił stworzonko palcem wskazującym, myśląc, że mysz jest martwa, a on wyczuje palcem chłód, ale choć wyprostowała się pod oponą, dalej nie reagowała na poszturchiwania.

Zaryzykował więc ugryzienie i podniósł myszkę, umieszczając ją na otwartej dłoni, a stworzonko zabrało się najpierw za obwąchiwanie, a potem delikatne ssanie jego palców. Szukając czegoś do zjedzenia, gryzoń wsunął łebek pomiędzy mały a serdeczny palec Chrisa, łaskocząc wąsami wierzch jego ręki.

– Co tam masz? – spytała Abby.

– Mysza – powiedział Daniel.

– Wydaje mi się, że to nornica – oświadczył Chris. Mysz miała krótki ogon i niewielkie uszy, Chris zbadał też owalny zarys jej pyszczka i orzekł, że to nie mysz, tylko polna nornica. Odwrócił dłoń, żeby mała futrzana kulka nie doszła do skraju ręki. Zwierzak skreślił w prawo i wsunął nosek pod rękaw koszuli.

Gdy dotarli do domu, na piętrze Księgarni Portowej Chris postanowił, że zaadoptują terapeutyczny domek dla lalek na siedzibę dla ich nowego przyjaciela, gryzonia. Najpierw wymościł słomą maleńką, mistrzowsko wykonaną sypialnię, z której wcześniej usunął podwójne łóżko z materacem z różowej gąbki oraz żółtą plastikową toaletkę, potem wyłożył korytarz, kuchnię i salon wczorajszym „Timesem”.

Mebelki, a także mamę, tatę i dziecko o plastycznych ciałach wręczył synowi, który pozwolił im wszystkim spaść z jego dłoni na pomarańczowy dywan. Daniel przyglądał się nornicy w kartonowym pudle po książkach. Stworzonko w lewym narożniku wydawało się bardzo maleńkie.

Chris wyciął niewielkie kwadraty z zielonej tkaniny, której całą belę znalazł w szopie w ogrodzie, i przybił je na okna domku dla lalek. Później, gdy domek był już całkowicie przygotowany na przyjęcie nornicy, otworzył zabawkowe drzwi i umieścił gryzonia w środku.

– Myszka w domu? – spytał Daniel.

Chris odwrócił domek w taki sposób, by chłopiec mógł zajrzeć do wnętrza i obserwować. Nornica leżała skulona w kłębek przy samym wejściu, pod plastikowym żyrandolem, wtulona grzbietem w żółty plastik drzwi. Chris czekał, żeby sprawdzić, czy zwierzę zmieni miejsce, może ruszy w poszukiwaniu gniazda, ale ten mały gość, jak zwykle, trwał w idealnym spokoju.

– Wyjść? – spytał Daniel.

– Chcesz, żeby ją znów wypuścić? Dopiero co włożyliśmy ją do środka. – Chris jednak odhaczył zamknięcie domku dla lalek i powolutku rozsuwał na boki całą strukturę, która otwierała się jak książka. Nornica wyturlała się na pomarańczowy dywan, Chris podniósł ją i chciał podać Danielowi, ale chłopiec wydawał się skoncentrowany na czymś innym: popatrzył najpierw na pomarańczowy dywan, potem na lampę stojącą przy oknie sypialni. Daniel przesunął wzrok wzdłuż całej krętej drogi kabla elektrycznego, aż do gniazdka.

Po kolacji, gdy minęła już pora, o której – zgodnie z ich oczekiwaniami – zwykle Daniel już dawno spał, Chrisowi i Abby coś przerwało. Do ich sypialni, bez pukania, wszedł Daniel i cichutko podszedł z boku do ich łóżka. Chris nie zauważył jego obecności, póki syn nie upuścił mu na głowę małego zwierzątka. Stoczyło się ono na kołdrę, Chris podniósł wzrok i napotkał utkwione w nim spojrzenie syna.

– Danielu? Co robisz?

– Myszka umarta? – zapytał z kolei Daniel.

Chris odsunął się od żony i usiadł pod kołdrą, żeby przyrzeć się dokładnie zwierzątku, które upuścił jego syn. Było całkowicie rozprute, ale zamiast wnętrzości czy kiszek z rozdarcia zwisały kłaczki bawełny. Po zapaleniu nocnej lampki i podniesieniu martwego gryzonia pod światło Chris zauważył, że

nornica stała się różowa. Zamiast wilgotnych nozdrzy i prawdziwych wąsów przyszyto jej uśmiech i paciorki w miejsce oczu.

– Jezu Chryste! – powiedziała Abby.

– Jajo? – zapytał Daniel. To był jego ulubiony tekst, przejęty z telewizji. – Każdy dzień twego pięknego życia – powiedział.

Chrisowi udało się opanować. Nałożył piżamę i poszedł przynieść swoje pudło, do którego zajrzeli wszyscy troje. Chris pozwolił Danielowi wyjąć każdy przedmiot i podnieść go do światła, powstrzymał go tylko przed odkręceniem słoika z błotem. Po jakimś czasie Chris zachęcił syna, żeby wrócił do łóżka.

A oto, co się stało: Daniel chciał otworzyć domek, żeby wyjąć nornicę, ale kiedy zwierzę zaczęło uciekać, chłopiec zatrasnął drzwiczki, wybierając akurat najgorszy moment i przecinając gryzonia. Dywan w pokoju Daniela był poplamiony krwią, Abby przyniosła wiaderko mydlin i szczotkę, Chris sprzątał gazety, słomę i odchody nornicy z domku dla lalek.

– Zabił ją? – spytała Abby.

– To mogło się przytrafić każdemu innemu chłopcu – odpowiedział Chris. Jednak to, co zobaczyli, kiedy Daniel wszedł do ich sypialni, przytrafić się nie mogło. Ani Danielowi, ani nikomu innemu.

Zamiast martwej nornicy pojawiła się zepsuta figurka prosiaczka. To nie miało żadnego sensu, lecz Chris tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się, Abby

oddychała z trudem.

– Czy ja tracę zmysły? – zapytała.

– Niemożliwe, byśmy oboje wariowali w tym samym czasie, prawda?

Skoro jedno z nich umierało z niepokoju, drugie powinno dostrzegać dobrą stronę tej sytuacji. Na tym opierało się całe ich porozumienie, a stało się tak, że Chris włączył swój niepokój w gabinecie lekarza, podczas gdy Abby poświęciła się i swój lęk wówczas skryła i teraz, kiedy mysza Daniela zmieniła się w figurkę prosiaczka, zamienili się rolami. To było w porządku. Abby miała prawo czuć przerażenie. Ale jedno i drugie, strach i optymizm, wydawały się równie potrzebne.

Kiedy tajemnicza plama krwi została wyczyszczona, a Daniel znalazł się z powrotem w łóżku, wrócili do sypialni, gdzie potwierdzili swoją wolę kooperacji, dopasowania się do siebie. I tym razem nikt im nie przerwał.

Część druga

W której Gerrard idzie na uniwersytet,
większość Francuzów strajkuje,
a Krzyś odkrywa Biegun Północny.

1967-27 maja 1968

7.

Tymczasem Gerrard skończył lat siedemnaście i jego sny stały się przewidywalne. Nie zapomniał o muzeum policji, ale uznał, że uwolnił się od tego i powraca do rzeczywistości, kiedy w pokoju w akademiku pewna dziewczyna zdjęła jego dłonie ze swoich ramion i położyła je na piersiach.

Miała na imię Natalie i pracowała nad tym, by realizować hasło wolnej miłości. Pocałowała go, ale potem wymknęła się z jego objęć, by przeczytać coś na głos z *Bonjour tristesse* Françoise Sagan:

– „Gdy usta jego szukały moich, zaczęłam drżeć z rozkoszy tak jak on. W pocałunku naszym nie było ani wstydu, ani wyrzutów sumienia, tylko wzajemne głębokie poszukiwanie, przerywane szeptami”[\[3\]](#).

Podrapała się po głowie.

– Pojęcia nie mam. Czułeś wyrzuty sumienia?

– Ja?

Gerrard wstąpił na Uniwersytet Nanterre we wrześniu 1967 roku i tam spotkał Natalie. Znalazł się w jej paczce, złożonej z grupy malkontentów zwanych Les Détournés. Było to stowarzyszenie studentów powiązanych z radykalną Międzynarodówką Sytuacjonistów, związane w celu zakłócania studenckiego życia po to,

by nadać mu nowy kształt. Zarząd Międzynarodówki wyznaczał każdemu z członków Les Détournés jakieś zadanie, aby każdy się do tego przyczynił. Zadaniem Natalie było żyć życiem bohaterki bestselleru Françoise Sagan, zamienić swą kampusową codzienność w powieść z kluczem. Nikt się nawet nie zastanawiał nad tym, że ma do czynienia z literaturą, powieścią o idealistycznych, choć upostaciowanych założeniach. Seksualne perypetie znudzonej, zepsutej, zamożnej rodziny przedstawione przez Saganę, niespecjalnie nadawały się do czytania czy refleksji, ale gdyby potraktować tę książkę jako poradnik, mogła stać się użyteczna. Natalie chciała odkryć wolną miłość. Chciała ją urzeczywistnić nie tylko dla samej siebie, ale także dla uniwersytetu i wbrew niemu.

Zgodnie z zasadami uczelni, kiedy przebywali w męskim akademiku, w każdej chwili mógł ktoś im przeszkodzić, zwłaszcza że Gerrard miał współlokatora. Chłopcom w ogóle nie wolno było odwiedzać akademików dziewcząt, no i inne działania były także zakazane.

Gerrard położył rękę pomiędzy jej nogami, poczuł szorstkość wełnianej spódniczki, a ona znów wymknęła się z jego objęć.

– Nie możemy pójść na całość – powiedziała.

Życie na Uniwersytecie Nanterre przypominało czyściec. W roku 1962 minister sił zbrojnych, człowiek nazwiskiem Mesmer, zaoferował na to miejsce

magazyny należące do sił powietrznych. Paris X Nanterre był pomyślany jako miejsce integracji lub co najmniej przechowalnia dla robotniczej młodzieży dorastającej na obrzeżach Paryża albo w jego uboższym sąsiedztwie. Dzieciaków było zbyt dużo, a przestrzeń ograniczona.

Współczesna klasa robotnicza potrzebowała wyższej edukacji. Trzeba było ich kształcić zarówno w naukach ścisłych, jak i mniej ścisłych, skoro zamierzali znaleźć się na rynku pracy, a ponieważ pracy nie było, uniwersytet był niczym wydzierżawione gospodarstwo. Bo studenci nie wliczali się do liczby bezrobotnych. Natalie wpadła w oko Gerrardowi na wykładzie Neila Lemaya, dotyczącym przestrzeni społecznej i Karola Marksa. Profesor mówił wtedy o miłości, opierając się na napisanej przez siebie książce, *The Critique of Everyday Life*.

– Namiętna miłość była znana w starożytności, ale nie była to miłość jednostkowa, miłość do jednostki. Poeci antyczni pisali o namiętności kosmicznej, fizycznej, psychologicznej, ale miłość do osoby pojawiła się dopiero w średniowieczu, wraz z tradycją chrześcijańską i islamską – wyjaśniał Lemay.

Wyglądał jak francuska wersja Einsteina. Gdyby Einstein zaczesał gładko włosy do tyłu, mógłby być podobny do Lemaya. Profesor przechadzał się tam i z powrotem przed długim biurkiem stojącym na katedrze, jakby odmawiał zarówno zajęcia miejsca

za jednym z mikrofonów, gdzie wyglądałby jak prezydent telewizyjny, jak i przyjęcia pozycji typowej dla wykładowcy, przy mównicy.

– Przestrzeń empiryczna jest modyfikowana przez przestrzeń symboliczną. Ostateczne zwycięstwo przestrzeni symbolicznej to właśnie owo opanowanie empirii, wszechobecność rozmaitych symbolicznych przedstawień przestrzennych. Przedstawienia w postaci map, diagramów, prelekcji nie są niczym innym jak tylko modyfikacją przestrzeni fizycznej. Gdy ta się zmienia, gdy przestrzeń symboliczna opanowuje świat rzeczywisty, możliwość jej odzyskania z powodów innych niż ideologiczne jest ograniczona – mówił Lemay.

Gerrard wyobraził sobie przestrzeń symboliczną jako płaski i pusty teren pomiędzy postaciami jak na komiksowym obrazku albo jak odległość między aktorami w przedstawieniu telewizyjnym. Lemay sugerował, że współczesny Paryż to właśnie taka przestrzeń, w której żyją jego mieszkańcy.

– Tym, co ogranicza indywidualną wyobraźnię, niemieszczącą się w ramach przestrzeni społecznej, jest możliwości kontroli nad jednostką. To aksjomat.

Gerrard najpierw zauważył jasne włosy Natalie, naturalnie ułożone, obcięte na chłopaka, króciutko jak u Twiggy czy Juliette Greco. Krótkowłosa, chyba bez makijażu, kiedy podniosła rękę, żeby zabrać głos, nie czekała, tylko od razu wstała i zaczęła mówić.

– A pan, panie profesorze? Przestrzeń tej sali wykładowej opanowana jest przez idee masowej komunikacji i kapitału. Na przykład to biurko za panem oznacza władzę, a kable i mikrofony władzę tę wzmacniają. Ta sceneria przypomina trochę scenografię do programu telewizyjnego – powiedziała Natalie. Zamilkła, a Lemay oparł się na biurku i zastygł w oczekiwaniu. Potem odwrócił się do jednego z mikrofonów i spytał:

– Ma pani jakieś pytanie?

– Mam, panie profesorze. A co z czasem? Powiedział pan, że żyjemy w zideologizowanej przestrzeni, ale doświadczenie takich miejsc wymaga czasu.

Gerrard obserwował Natalie, która słuchała odpowiedzi Lemaya. Patrzyła mu prosto w oczy i wyglądała, jakby oceniała każde z jego słów. Krzyżowała i prostowała ramiona, wychyliła się w stronę profesora, a Gerrard stwierdził, że pragnie, aby go zauważyła, więc gdy tylko Lemay skończył swą odpowiedź, Gerrard sformułował kolejne pytanie.

– Czy przestrzeń socjalistyczna może być racjonalna?

– Co pan ma na myśli?

– Mówił pan, że przestrzeń socjalistyczna może być kierowana za pomocą wyobraźni, a zatem... Nie wiem, jak pańska, ale moja wyobraźnia nie zawsze jest racjonalna. Mówił pan o snach, a przecież wszyscy wiemy, jak nieuporządkowane bywają sny. No więc ja, cóż, pytam, czy socjalizm albo przestrzeń socjalistyczna

są racjonalne? Uporządkowane? A jeśli nie, to dlaczego nie? Możemy żyć w takiej nieuporządkowanej przestrzeni czy lepiej, by nie było to możliwe?

– To, co pan uprawia, to gra znaczeniami – powiedział Lemay.

– Co to znaczy?

– Pan uważa, że wyobraźnia jest nieracjonalna? Że ludzie nie mogą być wolni i pozostawać przy zdrowych zmysłach?

– Zastanawiam się, panie profesorze – odrzekł Gerrard – czy to możliwe. Czy przestrzeń socjalistyczna będzie przestrzenią wymagowaną, skoro została stworzona przez wyobraźnię? Czy będzie to przestrzeń snu?

– To nie wyobraźnia jest nieracjonalna, tylko fałszywa świadomość, która powstaje co dzień w tych symbolicznych reprezentacjach przestrzeni – powiedział Lemay. – Modelowy socjalista, wedle definicji, żyje i pracuje w prawdziwej czy też fizycznej przestrzeni. To nie ma nic wspólnego ze snami.

Strząsnął papierosa na biurko i zauważył ślad na blacie, próbował zetrzeć popiół, ale nie udało mu się wyczyścić śladu, który żar wypalił w politurze. Podniósł wzrok i kiedy zobaczył Natalie z uniesioną ręką, bez zastanowienia rzucił:

– Tak, tak?

– Zastanawiam się, panie profesorze...

– Chwileczkę, pani już zadawała pytanie. Nie może

pani pytać ponownie. Niech zada pytanie ktoś inny.

– Ale pan wskazał na mnie.

– Przez pomyłkę.

– Panie profesorze, dlaczego mielibyśmy wierzyć w to, co mówi pan o socjalizmie i podobnych sprawach, skoro nie popiera pan rewolucji?

Neil Lemay westchnął, oparł się o biurko, wspierając się na obu rękach, pozwolił głowie opaść w dół. Fingował wyczerpanie, ale po chwili spojrzał na nią ze złością:

– Pani Petrin?

– Tak.

– Będę wdzięczny, jeśli zechce pani powstrzymać się od takich międzynarodowych pyskówek na moich zajęciach. Proszę zabrać swoje pytania z powrotem do Deborda i jego baru, gdzie rodzą się one w pijanym widzie, ja nie chcę ich tutaj słyszeć nigdy więcej.

– W tej przestrzeni nie wolno kwestionować pańskiej władzy? – zapytała Natalie.

– Pisałem o tych sprawach i tych widowiskach dziesięć lat wcześniej, zanim Debord...

– Ja już dziękuję, panie profesorze – przerwała mu stanowczo Natalie.

W pierwszej chwili profesor był nieco zaskoczony i chyba nie dotarło do niego, że studentka publicznie odebrała mu głos, bo zaczął przekładać kartki na biurku, jakby pogubił się w wątkach wykładu. Później spojrzał na nią raz jeszcze i jego twarz poczerwieniała.

Prawą dłonią przegarnął gęstą, siwą czuprynę, wydał z siebie kolejne westchnienie.

– W porządku. Tak. Dziękuję – powiedział. – Mogą państwo już wychodzić.

Studenci początkowo nie zareagowali, czekali, czy coś jeszcze się wydarzy.

– Koniec wykładu! – wrzasnął Lemay.

Gerrard postarał się po wyjściu dogonić Natalie na dziedzińcu budynku Nauk Ścisłych i Humanistycznych. Budynek miał kształt betonowego kłosa z okrągłymi oknami i fasadą wspartą na okrągłych kolumnach. Budowlę tę, jak się dowiedział, kiedy nawiązali rozmowę, Natalie opisywała jako przestrzenie pretensjonalną. W otoczeniu betonu i szkła dzielili się jednym papierosem i gadali.

Natalie była znakomitą rozmówczynią. Była zupełnie inna niż wszyscy, których dotąd znał Gerrard: jego nauczyciele, jego rówieśnicy, jego matka. Żadne z nich nie wierzyło w to, że zdołają zrozumieć świat w całej jego złożoności. Wybierali więc wszyscy po kawałku, fragmencie, opanowywali jedną umiejętność, rzemiosło, myśl, która dawała się zastosować tylko do jakiejś jego części. Nie szukali żadnej całości, z przekonaniem godzili się na absurdalność świata. Natalie, z drugiej strony, tłumaczyła mu, że znalazła się na skraju czegoś. Była przekonana, że jeśli bardzo się postara, jeśli pójdzie tropem, jaki podsuwa jej fabuła *Bonjour tristesse*, nie tylko pozna wolną miłość, ale

pojmie wiele, wiele więcej.

Gerrard zaprosił Natalie do swojego pokoju w akademiku, a kiedy znaleźli się za zamkniętymi drzwiami, dziewczyna pozwoliła mu dotknąć swoich piersi, ale zaprotestowała, gdy chciał posunąć się dalej.

– Jeśli ktoś nas nakryje w takich okolicznościach, będzie niedobry skandal – powiedziała. – Nie chcę złej reputacji. Jeszcze nie teraz.

– Myślałem, że musimy przekroczyć granice indywidualnej świadomości.

Natalie znów go pocałowała, ale zdjęła jego dłoń ze swego podbrzusza. Odetchnęła głęboko, wstała i zaczęła się ogarniać.

– Tylko w jeden sposób możemy wymknąć się systemowi: przez osobiste akty – oświadczyła. Pochyliła się i znów pocałowała go namiętnie, a potem odsunęła się od niego gwałtownie. – Osobiste akty odmowy – dopowiedziała.

Nanterre była uczelnią w stylu amerykańskim, położoną pod Paryżem, na przedmieściach, które w istocie były slumsami. Słoneczne światło i zielone trawniki o prostokątnych kształtach wypełniały przestrzeń pomiędzy asfaltowymi alejkami, wolno stojącymi bryłami betonu i uniwersyteckimi markizami z pleksi. Studenci wyroili się na zewnątrz, spacerując, niektórzy na bosaka. Mrużyli oczy, wyraźnie ciesząc się chwilą, podczas gdy Gerrard wymyślał powody, by wrócić do

budynku. Szedł o krok za Natalie, obserwując, jak poruszają się jej ramiona, przyglądając się linii pleców pod popielatym golfem.

– Myślę, że to miejsce, ta ścieżka edukacji, którą idziemy, prowadzi donikąd. Jeśli sprawy potoczą się tak dalej, w najlepszym razie mogę liczyć na to, że skończę jako niepracująca żona jakiegoś chłopca, którego spotkam w Paryżu. Może uda mi się wyrwać męża po Sorbonie. To najlepsza perspektywa na przyszłość, bo w najgorszym razie skończę z kimś takim jak ty. I dołączymy razem do szeregów bezrobotnych w Nanterre – mówiła Natalie.

– Rozumiem – powiedział Gerrard.

– Jedyne wyjście to pożegnać tę beztroską pustkę zwaną wyższym wykształceniem i powiedzieć *bonjour, tristesse* – oznajmiła Natalie.

Gerrard wziął ją za rękę i poprowadził w bok. Zeszli z chodnika i powędrowali po mokrej trawie, zostawiając ślady na murawie, zatrzymując się pod wiązem. Gerrard usiadł na wilgotnym trawniku, poklepał się po udach, wskazując Natalie, że tu właśnie powinna usiąść. Potem objął dziewczynę w talii, pochylił się do jej ucha i coś szepnął.

– Gdzie? Masz pomysł, dokąd możemy pójść, żeby to zrobić? Żebyśmy byli sami? – spytała.

Gerrard zaczerwienił się, ale przesunął dłonią po jej żebrach, wyczuwając dłonią sploty bawełnianego golfu. Pomyślał o gładkości jej skóry pod palcami.

– Miałaś opowiedzieć mi o jakiejś książce. O niedźwiedziu? – zapytała.

– Tak. O angielskim niedźwiadku. O brytyjskim pluszowym misiu imieniem Kubuś Puchatek.

– Słyszałam o nim. Ale wydawało mi się, że ten Puchatek jest amerykański. Jakiś bohater Disneya, jak Myszka Miki.

– Nie. Ten miś jest postacią literacką. Wymyśloną przez pisarza, A.A. Milne'a. Stworzoną po to, by zabawić małego synka pisarza, Krzysia.

– Aha. A dlaczego chcesz opowiedzieć mi o tym niedźwiadku? Uważasz mnie za dzieciaka.

– Nie, absolutnie nie. Prawdę mówiąc, wydajesz mi się wystarczająco dorosła, by usłyszeć, jak Kubuś Puchatek odkrył Biegun Północny.

W tej opowieści Krzyś i Puchatek wyruszają razem na wyprawę, by odkryć Biegun Północny, mimo że właściwie nie bardzo wiedzą, czym on jest. Zabierają ze sobą wszystkich przyjaciół: osła, prosiaka, królika oraz jego krewnych i znajomych. Po drodze zjadają cały prowiant: oset dla osiołka i baryłkę miodu. Wyprawa była trudna, ale najgorsze zdarzyło się, gdy do wody wpadło małe kangurzątko. I właśnie wtedy, gdy sprawy miały się tak źle, Kubuś odkrył Biegun Północny. To dzięki niemu udało mu się uratować Maleństwo.

– Jak go odkrył? – zapytała Natalie.

– Na początku nawet nie wiedział, że właśnie go znalazł. Po prostu potrzebował jakiegoś patyka

i dopiero później, gdy Puchatek wyciągnął już kangurzątko, Krzyś uznał, że ten patyk jest Biegunem Północnym. I ogłosił wszystkim, że właśnie go odkryli.

Gerrard mocniej przytulił Natalie, obejmując ją w talii.

– Nie zawsze musimy wiedzieć, że jesteśmy już za zakrętem albo że uciekliśmy, zanim się to zdarzy.

Natalie odwróciła się, spojrzała na niego, pocałowała go szybko w usta i zaczęła się podnosić. Zerknęła w stronę markiz z pleksi i asfaltowych drózek, popatrzyła w stronę uporządkowanego życia Nanterre i roześmiała się.

– Chcesz znaleźć Biegun Północny? – zapytała.

– Ależ oczywiście – odpowiedział Gerrard.

[3] Fragmenty *Witaj, smutku* F. Sagan w tłumaczeniu Anny Gostyńskiej i Jadwigi Olędzkiej.

8.

Christopher z całą rodziną zmierzał spacerem do Cotchford Farm z miejsca, w którym zaparkowali swój samochód. Z bramy gospodarstwa dom jego ojca przypominał źle ułożone puzzle. Frontowa fasada kończyła się nagle tam, gdzie architekt odciął ją wyrysowaną, poziomą linią, która sprawiała, że dom wyglądał jak przełamany. Ten nieskładny kształt połączony z wysokimi kominami, nostalgicznym nastrojem Christophera i zapachem wilgotnej darni, sprawiał, że miejsce to wyglądało jak nierzeczywiste. Zbliżali się do domu zbudowanego pod nazwą Sanders, do zakątka Kubusia Puchatka, a kiedy podeszli już zupełnie blisko, Daniel zaczął mamrotać:

– Nigdy. Nigdy nie wychodź bez Kapstana.

Był to dżingiel reklamowy pewnej marki papierosów.

– O co chodzi, Danielu? – zapytał Chris.

– Nigdy – powiedział Daniel.

– Chodź już.

– Nie chcę widzieć dziadka – powiedział Daniel. Udało mu się odnaleźć własne słowa.

– Och. Nie będziesz musiał. Nie zobaczysz dziadka. To babcia na nas czeka. Dziadek już odszedł.

– Nigdy – powtórzył Daniel, a jednak poszedł dalej.

Ojciec chorował od pewnego czasu, wiele razy był bliski końca, a teraz, kiedy to już się wydarzyło, Christopher żałował, że nie stało się to wcześniej. Ojciec mógł przecież umrzeć przed rokiem w Londynie. To byłoby znacznie bardziej stosowne. Mógłby odejść jako satyryk i intelektualista, a nie jako autor książek dla dzieci, a poza tym w Londynie Christopher mógłby uciec od wspomnień, wychodząc na spacer.

Już w przedpokoju matka mówiła, jak bardzo się cieszy, że go widzi, że widzi ich wszystkich. Wciąż nosiła krótkie włosy, jak „flapperka”, ale jej sukienka była uszyta z pomarańczowego poliestru. Zaprowadziła ich do pokoju gościnnego, Christopher podświadomie spodziewał się, że na spiętrzonych pościeli będzie czekał jego pluszowy miś, ale oczywiście wszystkie zabawki były wystawione w biurze amerykańskiego wydawcy ojca.

Po powrocie do Cotchford Farm Chris uznał, że jego dom się właściwie nie zmienił, a równocześnie jest zupełnie inny niż niegdyś. W powietrzu unosił się zapach jakichś leków czy środków odkażających, a stara rodzinna siedziba sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej.

– To już prawie pora podwieczorku – powiedziała Abby. Było to zwyczajne stwierdzenie faktu, nie zamierzała oznajmiać, że zgłodniała czy chciałaby się napić herbaty.

Jak to się stało, że najsilniejsze wspomnienia

Christophera związane z ojcem to właściwie wspomnienia dotyczą nie jego samego, lecz jego nieobecności? Z pewnością wiele razy pracowali razem nad jakimś projektem czy czymś takim. Poza tym wielokrotnie obecność ojca zaznaczała się bardzo mocno. Christopher pamiętał, jak tata uczył go podstaw krykieta, pokazywał, jak zginać kolana i prostować ramiona podczas rzutu, jak rozkołysać kij, a kiedy kij Chrisa okazał się nieporęczny, a on sam niezręczny, ojciec tylko głaskał go po głowie i mówił, że gra wkrótce sama go odnajdzie.

A jednak tym obrazem, który zapamiętał najwyraźniej, był ojciec widziany z daleka.

Christopher został przedstawiony jakiejś dziennikarce z Londynu. Była urzeczona ich posiadłością, zachwycała się belkami dachowymi, powiedziała, że wyglądają tak, jakby wcześniej służyły jako szalunki na okręcie, a potem rozsiadła się na złocistożółtej sofie. Wtedy tata zawołał Christophera do siebie i przedstawił go jej jako „nasz syn”.

– Dzień dobry pani – powiedział Christopher.

Wyszedł z pokoju, a dziennikarka zachwycała się dalej. On przebrał się w kalosze i wyszedł na dwór kuchennymi drzwiami, by powędrować nad kaczę staw. Usiadł na brzegu w towarzystwie czarnej kocicy imieniem Bianca i gapił się na krzyżówki, maczające głowy w wodzie i wyciągające w dziobach rybią drobnicę, podczas gdy w domu jego ojciec

opowiadał o należącym do Krzysia pluszowym niedźwiadku. Tata nieustannie się skarżył, że pytają go zawsze i w kółko o misia i o nic więcej. A napisał przecież lepsze książki, nowsze książki, dlaczego zatem urocza dziennikarka z Londynu nie zapytała dla odmiany o nie?

Christopher musiał natknąć się później na egzemplarz tego wywiadu. Może przeczytał go w „Timesie” jeszcze w tym samym tygodniu, a może było to kilka lat później, natrafił na ten wycinek w jakiejś szufladzie, ale jakkolwiek wpadł mu w ręce, dowiedział się, że dziennikarka zapytała ojca, czy sława nie jest zbyt wielkim obciążeniem dla Krzysia, a tata nie bardzo wiedział, co jej odpowiedzieć.

Wreszcie przyznał, że tak naprawdę nigdy nie zadał sobie takiego pytania, ale każdy człowiek musi do własnego życia dorosnąć albo żyć mu na przekór.

Jakiś czas po tym wywiadzie Christopher próbował pozbyć się zabawek. Przeszedł przez most w Ashdown, zatrzymał się przy drewnianej balustradzie, spojrzął w dół na wolno płynącą wodę i postanowił zostawić tu pluszowego osiołka. Podparł pluszaka tak, że siedział na tylnych nogach, a jego mała głowa zwisała w dół, oparta na drewnianych deseczkach, na samym skraju mostu.

Prosiaczka zostawił w kępie ostu, Kangurzycę przy spróchniałym pniu drzewa, a Królika wsadził do dziury, którą wykopał tuż przy granicy farmy, misia zaś

umieścił w doniczce z kwiatem, stojącej obok brukowanej dróżki przy kuchennych drzwiach. Niedźwiadek spoglądał w kierunku swych opuszczonych przyjaciół. Kubuś bardzo się o nich martwił.

Christopher wrócił do domu i pozwolił niani zaciągnąć się do kąpieli. Dobrze mu było w ciepłutkiej wodzie, umył włosy i zanurkował, a kiedy wyszedł z wanny, wytarł się starannie do sucha. Pomagała mu niania. Wycierała mu czuprynę. Tarła i tarła mokre włosy, aż przestała z nich kapać woda. I właśnie wtedy, kiedy wkładał już piżamę, Christopher udał, że coś mu się przypomniało.

– A gdzie mój miś? – zapytał.

– Co twoje, Billy?

Po sukcesie, jakie odniosły książki taty, zabawki, które zainspirowały ojca, stały się jego własnością, choć wciąż trzymano je w dziecięcym pokoju.

– O czym ty myślałeś? Gdzie miałeś głowę? – zapytała niania.

Znaleźli zwierzaki w błocie, przy kikucie drzewa i tkwiące na Puchatkowym Moście, a gdy wrócili do domu, niania po cichutku uprała je ręcznie w tej samej wannie, w której wcześniej kąpał się chłopiec.

Zamiast pluszaków rodzina Christophera zastała w pokoju gościnnym na biurku kołyskę Newtona. Pięć metalowych kul wisiało na sznurkach, Daniel podniósł tę z prawej strony i puścił, sprawiając, że kolejne kule

uderzały w siebie dźwięcząc.

– Pora na herbatę – powiedziała Abby.

Miała rację, była pora herbaty, powinni zejść na dół i zajrzeć do kuchni, sprawdzić, czy już na nich czekają.

– Dafne i Alan często pijali herbatę w takim wykuszu za kuchnią – powiedział Christopher. Kiedy rozmawiał z żoną, często mówił o rodzicach, używając ich imion, uważał, że to mniej krępujące, bo gdyby mieli nazywać każdego z nich zgodnie ze stopniem pokrewieństwa, musiałyby mówić na przykład o swoim ojcu jako o tacie i wujku męża, bo dla Christophera był on wujkiem Lawrence'em, a o matce także jako o ciotce Judy. Wszystko to wydawało się zupełnie niepotrzebne. Jej ojciec to Lawrence, a ojciec Christophera – Alan. To proste, a poza tym dość nowoczesne, więc nie ma się co przejmować niestosownością.

Gdy zeszli na dół, nie zastali Dafne, która zostawiła na stole w wykuszu talerz pełen biszkoptów. Mamę Christophera oderwała od podwieczorku czyjaś wizyta. Oprowadzała po podwórzu jakiegoś młodego człowieka. Matka, ze swymi siwymi włosami, z przygarbioną godnością spacerowała po ogrodzie z mężczyzną o długich blond włosach. Młodzieniec ów miał na sobie dżinsy, motocyklowe boty i koszulę ozdobioną wzorem z amerykańskiej flagi.

– A to co? – zapytał Christopher.

– Uspokój się, kochanie – powiedziała Abby. Christopher odwrócił się do żony, ale ona mówiła już

coś do Daniela, który akurat zabrał się do biszkoptów. Dwa ciastka miał już w ustach, trzecie międlil w rączce.

– Zaraz wracam.

Okazało się, że dżentelmen w koszuli z amerykańską flagą był brytyjską gwiazdą pop. Jego nazwisko, Brian Jones, nic nie mówiło Chrisowi, ale nazwa zespołu była mu znana. Słyszał coś o zespole Rolling Stones. Brian Jones był w trakcie finalizowania transakcji zakupu Cotchford Farm, więc matka była zobowiązana, by towarzyszyć młodemu człowiekowi podczas oględzin majątku.

– A więc to pan jest Krzysiem? – zapytał Brian Jones.

– Właściwie Christopher Milne. Dzień dobry.

– Bardzo mi przykro z powodu pana ojca. Nawet go lubiłem. Był zabawnym gościem, prawda?

– Z tego żył.

– No cóż, wyrazy współczucia i przepraszam, że przeszkadzam. Ale tak to zostało zaplanowane.

Christopher podrapał się po głowie.

– Sprzedajemy panu Jonesowi Cotchford Farm – poinformowała matka.

– Przełożyłbym to, ale wyruszam w trasę. Musiałem przyjechać dziś. – Gwiazdor popu w ich ogrodzie oparł się o kamienny posąg przy ścieżce. Położył lewy łokieć na głowie chłopca imieniem Krzyś i posąg chyba lekko się zachwiał.

– Proszę wybaczyć, ale zaraz pan to przewróci.

– To pan, prawda?

– Proszę tego nie robić.

– Nie ma sprawy. To dość solidne.

Brian Jones postawił stopę na postumencie, na którym usytuowany został Krzyś, odepchnął się od niego i odskoczył.

– Potrzebowałbym dźwigu, żeby wywrócić tego potwora – powiedział Brian Jones. – Ten koleś nigdzie się nie wybiera.

Christopher stwierdził, że gwiazdor pop ma rację. Nawet teraz, kiedy jego ojciec, pisarz, już nie żył, ten mały chłopiec z kamienia ciągle istniał. Christopherowi być może nigdy nie uda się uciec od samego siebie.

Szedł powolutku przez hol w samych skarpetkach, starając się stąpać szczególnie ostrożnie, kiedy mijał główną sypialnię, z której korzystała jego mama, i zwalniając jeszcze bardziej, gdy przechodził obok gabinetu, w którym tata spędził tak wiele lat, w osobliwej samotniczej izolacji, wyłącznie w towarzystwie książek i maszyny do pisania. Chris zerknął na skomplikowany wzór orientalnego dywanu, na szaloną mieszanicę czerwieni, granatu i beżu tworzącą mandalę pod jego stopami.

Nie mógł tu, w Cotchford Farm, spać, nosiło go po korytarzach, musiał chodzić po domu. Było już bardzo późno, jakoś nad ranem, po drugiej, gdy Christopher zaświecił brązowy żyrandol w stylu Adamsów, wiszący w salonie. Podszedł do pianina stojącego przy północnej

ścianie i dotknął kartek rozłożonych na podpórce. Nuty do *Shine On Harvest Moon* Billa Murraya dawno już pozółkły.

Christopher postanowił zrobić sobie filiżankę herbaty.

Kuchnia była schludna i nowoczesna, Christopher nie miał pojęcia, kiedy jego matka kupiła elektryczny piec. Zagotował wodę w pomarańczowym emaliowanym czajniku i zaczął szukać dzbanka do herbaty, ale okazało się, że porcelana została już spakowana. Było tylko kilka kubków do kawy w gabinecie, kubków, które tata dostał w prezencie od Disneya. Christopher wybrał ten z jelonkiem. Zaparzał herbatę zaledwie dziesięć sekund czy coś koło tego, bo zdecydował się na czarną, a wciąż jeszcze miał zamiar usnąć.

Christopher wrócił do salonu i usiadł na dzierganym pledzie, okrywającym wyściełane siedzenie skrzydlatego fotela w stylu królowej Anny. W wazonie stojącym na drewnianym stoliku pyszniły się pomarańczowe lilie w pełnym rozkwicie, ale nawet w przyćmionym świetle żyrandola widać było szwy na każdym plastikowym płatku. Christopher popił łyk swojej słabej herbaty i uświadomił sobie, że ojciec naprawdę i nieodwołalnie nie żyje. Cotchford Farm jest już tylko wspomnieniem, zresztą zawsze była.

Najbardziej podziwianym przez ojca pisarzem był Thackeray. Tata go naśladował, pisał, jak Thackeray, do „Puncha”. Zbudował wakacyjny dom na jego cześć, choć teraz Thackeraya pamiętano przede wszystkim jako

satyryka, wyśmiewającego własne czasy i wartości, które w gruncie rzeczy cenił. Obaj, ojciec i Thackeray, mieli zostać błędnie zapamiętani. Thackeray zawdzięczał tę fałszywą pamięć *Targowisku próżności*, ojciec będzie zawdzięczał ją temu głupiemu miśkowi. Kupno Cotchford Farm było ze strony ojca aktem wiary, po latach majątek stał się czymś w rodzaju miejsca kultu. Królowie i królowe już się nie liczyli, humanistą był dziś każdy, ale literat musiał mieć porządne meble i solidny stół. Takie decyzje wciąż miały swoją wagę i znaczenie.

Thackeray rozwinął w sobie prawdziwy dryg do precyzyjnego opisywania siedemnastowiecznych mebli, bo te przedmioty kojarzyły mu się z dawną arystokracją, ale dziś w srebrnym wazonie ojca tkwiły kwiaty rodem z Ameryki Disneya. W Cotchford Farm rozpanoszyła się nowa wizja, a Christopher był pewien, że gwiazdor pop, który kupuje majątek, z pewnością zniszczy każdą pozostałość dawnej władzy.

Herbata była niewiele mocniejsza od wody. Siedząc tak, późno w noc, Christopher doszedł do wniosku, że potrzebuje czegoś bardziej konkretnego, co doda mu pewności, a co podziała w odwrotną stronę. Pomyślał o whisky, ale nie miał pojęcia, gdzie mógłby ją znaleźć. Spora część rzeczy została już spakowana do skrzyń i pudeł, a jego rodzice od wielu lat nie urządzali żadnych przyjęć. Było zatem prawdopodobne, że nie ma tu alkoholu, a Chris nie chciał podejmować

bezsensownych poszukiwań. Skoro nie ma whisky, a przynajmniej nic na to nie wskazuje, zdecydował się poszukać cytatu z Thackeraya. Thackeray wpływał kojąco na ojca, może jego też uspokoi. Poszuka egzemplarza *Historii Henryka Esmonda*.

Błądząc po omacku w ciemnościach zagraconej sypialni ojca, Christopher macał powietrze, zanim znalazł kontakt i zapalił lampę na suficie. W jej żółtawym świetle zaskoczył go nie tyle widok pustych mahoniowych półek, czystego lśniącego blatu niewielkiego biurka czy brak fotela, lecz to, że nie zobaczył tu żadnego pudła. Brakowało książek, papierów, długopisów. Szafa też okazała się zupełnie pusta, nie było w niej nic poza drewnianym drągiem pod sufitem. Nie zostały się nawet druciane wieszaki.

W końcu jednak je znalazł. Kartonowe pudło, zamknięte szczelnie, zostało częściowo wsunięte pod ogołoczone ojcowskie łóżko. Christopher przyklęknął, żeby je przeszukać, i znalazł w środku pościel.

Gdzie się podziały książki i papiery ojca? Co matka zrobiła z jego rzeczami? Tata pisał nawet po operacji serca w 1966, która wywarła spory wpływ nie tylko na jego serce, ale i na umysł. Christopher był zdziwiony tym, jak niewiele zostało z ojca po tym zabiegu. Wciąż udawało mu się zachować schludny, elegancki wygląd, nosił się z godnością, ale sporo go to kosztowało. Christopher odwiedził ich latem 1966 roku w Londynie, ojciec siedział przy stole nakrytym do herbaty, ubrany

w marynarce jak do obiadu. Trzymał się idealnie prosto, ale kiedy jadł pudding z rodzynkami, syn widział, ile wysiłku wkładał w to, by trzymać się codziennych rytuałów. A jednak łyżka w dłoni ojca nie zadrżała. Nie upuścił ani kropelki puddingu na ubranie i w tym sensie podwieczorek zakończył się pomyślnie. Także później, kiedy już spowolniał i zdziecinniał, kiedy każda codzienna czynność, nawet zwykły kontakt z ludźmi, wydawała się przekraczać jego możliwości, ojciec ciągle pisał. Każdego dnia tworzył trzy, cztery strony, jak zwykły był to robić od dziesiątek lat.

Ale tu nie pozostał żaden ślad tego pisania.

Po powrocie do salonu Christopher zatrzymał się przy stoliku z plastikowymi kwiatami i zobaczył niewielki stos listów leżących obok wazonu. Postawił kubek bezpośrednio na drewnianym blacie i przeszukał plik kopert, aż natknął się na list adresowany do ojca. Otworzył kopertę i znalazł czek ze Stanów, czek opiewający na całkiem niezłą sumkę. Christopher poczuł lekkie mdłości, gdy patrzył na rząd cyfr, w końcu schował czek z powrotem do koperty. Kopertę odłożył na stolik, między kubek Disneya a najnowsze wydanie magazynu „Punch”.

Na okładce „Puncha”, zamiast tradycyjnej pacynki, widniała naga kobieta. Wyraźnie była to próba naśmiewania się z „Playboya”, wyśmiania czegoś, czego wyśmiać się nie da, bo tytuł wydrukowany nad logo magazynu zapowiadał, że w środku znajdują się zdjęcia

nagiego Hugh Hefnera. Hugh Hefner był wystylizowany na Dziewczynę Miesiąca magazynu „Punch”.

„Punch” wykpiwał pornografię, podczas gdy już wkrótce matka Christophera i poniekąd on sam przejdą na utrzymanie amerykańskich kreskówek.

Siedząc tak w elektrycznym świetle wczesnego poranka, popijając zimną słomkową herbatę i zerkając ukradkiem na sutek z okładki „Puncha”, Christopher poczuł się niemal winny. Wprawdzie ojciec już nie żył, ale wciąż gdzieś tutaj był, a on wiedział, że byłby bardzo rozczarowany tym żalosnym obrazkiem.

9.

Natalie powiedziała, że nie wie, czy on pasuje do jej projektu z powieścią Saganki, więc Gerrard próbował podsunąć jej jakiś tekst alternatywny. Pojawił się u niej u schyłku października i opowiedział o swoim śnie, który – co stwierdził po przebudzeniu – był oparty na 1984 Orwella.

– Co byś powiedziała na George’a Orwella? – zapytał.

W jego śnie oboje zgodzili się ostatecznie na seks, ale żeby to zrobić, musieli najpierw opuścić uniwersytet. Złapali pociąg do Paryża, na jednym z peronów Gare du Nord objęli się. Ona wsunęła dłonie pod jego bawełnianą koszulę, a on dotknął jej karku, ale to było wszystko. Na peronie wpadli. Przyłapał ich doktor Neil Lemay, który wyśmiał ich nieśmiałość. Powiedział, że może pomóc im w znalezieniu pokoju. Drapał się po brodzie, przyglądając się im dwojgu od stóp do głów.

Lemay zaprowadził ich do jakiejś księgarni, która okazała się jego własną, Gerrard kupił tam jakieś pismo o pustych, kremowych stronicach.

– Nad sklepem był pokój, Lemay chciał go wynajmować na godziny. Wspięliśmy się po rozklekotanych schodach i zobaczyliśmy, że materac na łóżku jest w strasznym stanie, baliśmy się, że mogą być

w nim pluskwy – opowiadał Gerrard.

We śnie Gerrard zauważył za oknem jakąś postawną robotnicę. Wywieszała pranie na sąsiednim podwórku.

– Piękna jest ta kobieta – powiedziała Natalie. – Odwróć się.

Odwrócił się, Natalie zdjęła spódnicę i sweter, a jej policzki i wargi załśniły mocniejszym odcieniem różu, niż przed momentem.

– Pomadka i róż – wtrąciła Natalie. – Jak u Julii.

– Nie zauważyłem przedtem, że nie byłaś umalowana, ale kiedy nałożyłaś tę odrobinę koloru, dostrzegłem różnicę.

Pocałowała go w tym śnie, a Gerrard uchwycił w szybie okna własne odbicie. Zamiast postawnej praczki zobaczył własną twarz. Jego usta były różowe od szminki.

W rzeczywistości Natalie pocałowała go na betonowej ławce i zaproponowała, żeby zwiali z zajęć profesora, bo wcale nie jest im potrzebny, by dostali to, czego chcą.

– Myślę, że Lemay miesza ci w głowie. Francja jest, póki co, państwem kapitalistycznym. My nie musimy szukać żadnej tajemniczej kryjówki, żeby uprawiać seks. Orwell nie pisał o Francji.

Gerrard nie zgodził się z jej logiką.

– Akademiki są przepełnione, a krzaki zbyt niskie, żeby ukryć cokolwiek. Upraszczasz to.

– To jest proste. Wszystko, czego potrzebujemy, to

jakieś miejsce na seks. Tylko tyle i aż tyle, prawda? W tym przypadku potrzebujemy jakiegoś auta.

Współlokatorka z akademika Natalie miała citroena 2CV, kabriolet z otwieranym dachem, siedzeniami z czerwonej skóry i pasami bezpieczeństwa, a Natalie udało się namówić tę dziewczynę, żeby pożyczyła jej samochód.

Gerrard siedział za kierownicą, jechali na zachód, na prowincję. Sprawdzał, jak prowadzi się to autko. Natalie nałożyła letni słomkowy kapelusz, choć pogoda była lutowa, i jechali z otwartym dachem przez kilka mil, dopóki to, co było dotąd delikatną mżawką, nie zmieniło się w rześisty deszcz.

Na chwilę oderwał wzrok od drogi. Dziewczyna trzymała stopy za oknem, mięśnie jej ud były wyraźnie widoczne.

Pogubił się trochę, był na wschód od Saint-Germain-en-Laye, na zabłoconej drodze, która zdawała się ciągnąć nie wiadomo dokąd. Gerrard wrócił do prowadzenia, obserwował rytmiczną pracę wycieraczek. Za szybami samochodu było zielono, zielono i mokro. Toczyli się przez las, po błotnistych koleinach sunących przez trawę. Natalie zdjęła sandały i znów wystawiła stopy, tym razem bose, za okno od strony pasażera. Obmywając stopy deszczem, wsparła się o Gerrarda i westchnęła.

- Opowiedz mi o swoim pierwszym razie – poprosiła.
- Co?

– Przecież to nie jest twój pierwszy raz, prawda? Nie uniosłabym tego, gdybym była pierwszą.

Gerrard powiedział jej, że nie ma się o co martwić.

– Ale opowiedzieć mi nie chcesz.

– A ty?

– Chcesz wiedzieć o moim pierwszym? – zapytała. – Powiem.

– Nie. No... Sam nie wiem.

Natalie przesunęła kapelusz do przodu, tak by rondo zasłaniało jej oczy. Powiedziała mu, że jej pierwszy chłopak był lekkoatletą w szkolnej drużynie jej liceum, że miał na imię Patrick i że był bardzo troskliwy.

– Tego właśnie pragniesz? Opieki? – zapytał.

Usiadła prosto, włożyła nogi z powrotem do samochodu i wbiła wzrok w przednią szybę. Przeczekała aż wycieraczki przesunęły się dziesięć czy dwadzieścia razy tam i z powrotem, zanim odpowiedziała.

– Ja sama nie wiem, czego chcę. Romans wydaje mi się pułapką. Inwestujemy wszystko, szukamy sensu życia w związku chłopaka i dziewczyny, ale wątpię, czy taki związek może zmienić uniwersytet, fabrykę albo coś takiego – powiedziała.

– „Studentka, jeśli w ogóle się buntuje, musi najpierw zbuntować się przeciw samym studiom. Równocześnie jednak jest ona wytworem nowoczesnego społeczeństwa, jak Godard czy coca-cola, a jej wyjątkowa alienacja może zostać przewyciężona tylko

w walce z całym tym społeczeństwem” – recytował powoli Gerrard, wydobywając kolejne słowa z pamięci i zastanawiając się nad każdym, zanim wypowiedział je głośno.

– To z broszury strasburskiej – powiedziała Natalie.

Broszura została opublikowana jakieś dwa lata wcześniej na Uniwersytecie w Strasburgu i wywołała skandal. Odpowiedzialni za to studenci zostali wydalenii z uczelni, bo opublikowali ten tekst za pieniądze uniwersytetu. W oczach Les Détournés publikacja ta była ogromnym sukcesem, wszyscy, zwłaszcza młodzież, czytali o tym ekscesie w gazetach. Wielu nastolatków przeczytało samą broszurę.

– Pamiętasz, co tam mówili na temat seksu? – zapytała Natalie.

Nie pamiętał, w każdym razie pamiętał niewiele.

– „Trzydzieści lat po wspaniałej lekcji, jakiej udzielił nam Wilhelm Reich, studenci wciąż przywiązani są do najbardziej tradycyjnych erotycznych zachowań, przenosząc na ten poziom układ relacji społeczeństwa klasowego” – powiedziała Natalie.

Natalie i Gerrard zaparkowali samochód w środku lasu Saint-Germain-en-Laye, tuż przy zakolu Sekwany. Gerrard zatrzymał auto między drzewami, martwiąc się o to, jak z powrotem uda mu się trafić na główną drogę. Zastanawiał się, czy będzie musiał jechać cały czas na wstecznym.

– Przyjemnie – powiedziała Natalie. – Jakbyśmy

pojechali na wakacje na koniec świata. – Pocałowała go i znów się odsunęła. Patrzył na jej źrenice przesuujące się do przodu i do tyłu, jakby skanowała jego twarz. Rozłożyła przednie siedzenie tak, że oparcie opadło na dół, ale pozbycie się ubrań okazało się nie tak proste, jak mogłoby się wydawać.

Natalie musiała się odsunąć i podnieść, tak że jej goła pupa wcisnęła się w szybę, żeby Gerrard mógł uporać się ze ściąganiem spodni. Ona zostawiła na sobie bluzkę, rozpięła tylko wszystkie guziki, a potem powstrzymała Gerrarda przed próbą ściągnięcia przez głowę podkoszulka.

– Tak jest w porządku. Jesteśmy dosyć nadzy. Włóżmy to już do środka – powiedziała.

Odbyli stosunek na przednim siedzeniu, powoli i tchórzliwie. A kiedy Gerrard zbliżał się do orgazmu, kiedy odnalazł rytm, który pozwolił mu zapomnieć o skórze lepiącej się do tapicerki, kiedy skoncentrował się na ciele Natalie przywartym do jego ciała, na jej zapachu i oddechu, gdy się poruszała, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób powinien zakończyć to pieprzenie się w kabrioletcie.

Po przepracowaniu kilku sposobów i wypracowaniu wspólnego rytmu, Natalie zaczęła poruszać się gorączkowo. Wyglądało na to, że szybko osiągnęła rozkosz, a kiedy już doszła, zawołała:

– Witaj, smutku!

10.

Jedli śniadanie na kampusie, patrząc przez okno na studentów przechodzących przez trawnik.

W kafeterii było gwarно od rozmów i muzyki szafy grającej Jupiter Jukebox. Kiedy Natalie i Gerrard znaleźli dla siebie stolik, Johnny Hallyday właśnie śpiewał *San Francisco*. Nie rozmawiali, nie teraz, zajęci łykaniem zupy cebulowej i popijaniem kawy.

Natalie zapaliła gitanesa i czytała po raz kolejny książkę Sagan, Gerrard mieszał zupę i milczał ponuro. Jak to możliwe, że niemal nic się między nimi nie zmieniło?

– Mam problem, bo lubię Bergsona – powiedziała Natalie.

– I co z tego?

– Cecylia, główna bohaterka, bez przerwy mówi o tym, jak nie znosi filozofii i jak nie może zrozumieć Bergsona – tłumaczyła dziewczyna. – Tylko że ja go lubię.

Gerrard wsypał torebeczki cukru do kubków z kawą, którą kupili.

– Wciąż jest gorzka – powiedział. Wsypał kolejny cukier i patrzył, jak się rozpuszcza w małym kubeczku. Mieszał posłodzoną kawę i obserwował wirujące

i rozchodzące się na powierzchni bąbelki.

Gerrard zjadł kolejną łyżkę zupy cebulowej, a Natalie czytała dalej. Jej wargi poruszały się od czasu do czasu, jakby powtarzała sobie te same linijki, starając się zrobić z nimi coś nowego.

– Posłuchaj – powiedziała. – Zastanawiałam się nad Cyrylem. Ja musiałabym chcieć być rozpieszczana, pocieszana i pogodzona ze sobą.

– No i co z tego?

– A ty czujesz się pogodzony z samym sobą? – spytała.

– Problem w tym, że próbujesz przeżyć tę powieść tak, jakbyś nie była już postacią fikcyjną – powiedział Gerrard. – Nie zauważyłaś tego? Już nasze imiona brzmią tak, jakby nosili je bohaterowie twojej powieści: Gerrard i Natalie.

– No tak – odrzekła Natalie. – Rozumiem, o co ci chodzi. Oboje jesteśmy bohaterami tej powieści.

– Może powieści, a może snu, a może jeszcze czegoś innego, równie nierealnego. Jest w nas coś niegotowego.

Natalie zakryła twarz dłonią, przysłoniła oczy, by go nie widzieć. Potem chwyciła Gerrarda za rękę i zaczęła całować jego palce.

– Znam ludzi, którzy napisali ten tekst ze Strasburga. Chcesz ich poznać? – zapytała.

Gerrard powiedział, że tak. Oczywiście, że chciał.

Natalie przysunęła się tak blisko, że jej usta muskały jego ucho, i wyszeptała linijkę z książki:

– „...chciałam mu sprawić ból, zostawić po sobie jakiś ślad, aby ani na chwilę nie mógł zapomnieć mnie tego wieczoru, aby musiał śnić o mnie tej nocy”.

Odsunęła się i popiła z jednego z papierowych kubków.

– Okropna – powiedziała, ale nie było jasne, czy ma na myśli powieść czy raczej zupe.

– Ale ja nie żartuję – powiedział Gerrard. – Żyjemy w jakiejś fikcji.

Dźwięki szafy grającej, która głosem Edith Piaf śpiewała *Milord*, towarzyszyły Gerrardowi, kiedy próbował jej to wyjaśnić.

Otóż doszedł do tego, że sen należy traktować raczej jako koncept niż jako doznanie. W liceum zaczytywał się w książkach André Bretona, Louisa Althussera i innych filozofów marksistowskich, którzy tłumaczyli, że śnienie snów nie jest po prostu czymś, co ci się dzieje, kiedy zasypiasz, sen jest obecny w świecie na jawie. Na przykład zdaniem Althussera sny spełniają się codziennie, w materii realnego świata.

Można je zobaczyć w fabrykach, galeriach, na ulicach. Sen strzeże twoich relacji z innymi. Sen podpowiada ci, kim jesteś i czego się od ciebie oczekuje.

Gerrard czytał też o „czasie snu” i aborygeńskiej koncepcji śnienia. Dla ludu Nunga sen to moment stworzenia, osadzony poza czasem historycznym. To królestwo, zaczarowana kraina, do której można się dostać przez rytualne opowieści.

– Możesz ją znaleźć też w popowych piosenkach – powiedział Gerrard.

Słuchając Piaf, odkrył w niej sprzeczność. Jej smutek kłócił się z powodzeniem i konformizmem wybranego przez nią gatunku. Urodziła się w burdelu, nauczyła się przekuwać swoją nędzę w głośną rozrywkę, a *Milord* rozbrzmiewał zarówno obietnicą wolności, jak i koniecznością przystosowania się. Była głosem proletariackiej rozpacz, ale zrobiła z tej rozpacz melodramat. Odsprzedawała masom ich własną wolę przeżycia jako rodzaj buntu.

– Twój ojciec lubił Piaf?

Natalie odłożyła książkę Saganki.

– Tak.

Słuchał jej jako nastolatek podczas okupacji i nie znosił, kiedy nazywano Edith kolaborantką, narkomanką czy postacią tragiczną. Piaf była symbolem Francji jeszcze przed wojną. Jej pieśni były nieskażone wpływem niemieckiej okupacji, nienaruszone obcymi, amerykańskimi rytmami.

– Ojciec zabrał cię na demonstrację – powiedział Gerrard. – Widziałaś, co zrobili Algierczykom.

– Co? – Natalie objęła się ramionami, potrącając czarnekę z czymś, co miało być zupą cebulową, ale kiedy wylało się na stół, przypominało plamę błota.

– W kinie Rex trzymał cię za rękę, trzymał tak mocno, że miałaś potem siniaki, tak bardzo bał się zgubić cię w tłumie.

– Skąd to wiesz? – zapytała Natalie.

Gerrard powiedział, że przecież są postaciami z książki, a on umie czytać sny i że piosenka *Milord* jest tym, co łączy jedną scenę z drugą.

Kiedy w 1961 roku policja otworzyła ogień do tysięcy francuskich Algierczyków w świątecznych ubraniach, Natalie i jej ojciec ukryli się pod markizą. Krew na ulicy, na bruku, krzyki dookoła. Wszyscy krzyczeli, broniąc się przed kulami, przed śmiercią. W tym chaosie policjanci sięgnęli po pałki i kajdanki. Tłum Algierczyków zaczął się wycofywać, tratując się wzajemnie podczas próby ucieczki, policja otoczyła więc i wciągnęła kilku ocalałych.

– Przycupnęliśmy w wejściu do delikatesów z brytyjskimi produktami, pamiętam pudełka z herbatą i rumiankiem, zapach pomarańczy. Nasze oddechy wyglądały jak chmurki – opowiadała Natalie. – Tata przeklinał pod nosem. Zgubił w tłumie aparat fotograficzny i nieustannie wyglądał za róg, tam, skąd dochodziły stłumione krzyki, wpatrywał się w chodnik, poszukując wśród splątanych stóp widoku pomarańczowo-zielonego paska, odbijającego światło. Nie znalazł go.

Ojciec Natalie, jak powiedziała, był liberalnym dziennikarzem. Zabrał ją na tę demonstrację, bo wedle wszelkich zapowiedzi miało to być wielkie i pokojowe wydarzenie. Sto tysięcy Algierczyków miało

przejsć przez Paryż, ale szef policji zablokował stacje metra w dzielnicach arabskich. Dziesięć tysięcy policjantów pracowało nad tym, by ich powstrzymać. Ojciec nie mógł wiedzieć, że tamtego dnia władze Paryża ogarnęła żądza zabijania. Nie wiedział, że jeszcze przez wiele dni ludzie będą wyławiać z Sekwany opuchnięte ciała mężczyzn, kobiet i dzieci.

Policja ich zepchnęła, utopiła, sprawiła, że zniknęli.

– Byliście z ojcem świadkami masakry – powiedział Gerrard.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała Natalie.

– Ta kawa jest obrzydliwa – powiedział Gerrard. – Nie jestem w stanie jej dosłodzić. – Spróbował łyżeczkę zupy Natalie, ale była równie obrzydliwa. Smakowała jak błoto. Gerrard poprosił Natalie o papierosa. Może dzięki dymowi pozbędzie się tego niedobrego smaku.

– Mieliśmy szczęście, że nie byliśmy Algierczykami albo że nie zostaliśmy wzięci za Algierczyków. Policjanci nas nie postrzelili. Cieszyliśmy się z tego – mówiła. – Ale tata zgubił swój aparat.

Ojciec był tak przerażony tym, co się stało, że później powtarzał jej w kółko, że nie wolno im mówić o tym, co widzieli. Nikt nie może usłyszeć, jak jego córka opowiada o tym, o demonstracji.

– Potopili dzieci w Sekwanie – powiedziała Natalie. – Ale czekaj, skąd o tym wiedziałeś?

– Chcesz wiedzieć skąd? Mówiłem ci. Jesteśmy niewykończeni, fikcyjni – powiedział.

Przez szklaną ścianę kawiarni Natalie popatrzyła na wschód słońca.

Pomarańczowe niebo nie zmieniło się ani troszkę od momentu, w którym się przebudzili dzisiaj rano. Popiła łyk swojej kawy, Gerrard łyknął swoją. Była jeszcze ciepła, ale okropnie gorzka.

– Musisz badać rzeczywistość. Właśnie tak. Przyglądasz się teraźniejszości podejrzliwie, jakbyś sądziła, że śnisz. Zatkaj nos i przytrzymaj. Możesz ciągle oddychać? Znajdź kontakt i naciśnij, sprawdź, czy światło w sali się zmieni. Popatrz na zegar. Potrafisz wyobrazić sobie czas?

Natalie wstała od stołu, podeszła do drzwi kafeterii i popatrzyła na pomarańczowe niebo na zewnątrz. Odnalazła kontakt i wyłączyła górną lampę, ale nic się nie stało. Odwróciła się, popatrzyła na Gerrarda, zatkała na chwilę nos i czekała, kiedy zacznie się dusić.

Coś było nie tak. Natalie odgarnęła włosy z twarzy, wróciła do stolika i znów przy nim usiadła. Podniosła kubek i z wahaniem wypiła kolejny łyk kawy. Była gorzka.

– Śpię – powiedziała. – I coś mi się śni.

11.

Niedługo potem zabrała go ze sobą, żeby poznać Deborda. Kiedy Natalie i Gerrard weszli do Chez Isou, banda Deborda siedziała wokół stołu, po którym krążyła powielona kopia komiksu *Barbarella*. Małeńka knajpka Chez Isou, mieszcząca się w wapiennym budynku na Rue du Four, była strzępkim przestrzeni zastawionym przerośniętymi stołami, otoczonymi rozmaitego kształtu krzesłami z drewna i wikliny, małeńkimi barkami i ławkami, powciskanymi obok odrapanego pianina Queen Anne. To w tym miejscu rewolucjoniści z paryskiej bohemy upijali się czerwonym winem i dżinem i Natalie cieszyła się, że tu jest, nawet jeśli nie bardzo tęskniła za pytaniami Deborda o to, jakie poczyniła postępy w swej pracy nad książką Saganki. Takie wyznaczył jej zadanie, a ona doskonale wiedziała, że nie spodobają mu się jej pomysły na udoskonalenie projektu.

Ktoś pchnął komiks w ich stronę, Gerrard go podniósł i trzymał tak, by i ona mogła obejrzeć. Astronauta w pomarańczowym skafandrze i przezroczystym hełmie wspina się po nagim biuście posągu Barbarelli, a na kolejnym obrazku widać dwie astronautki wspinające się w górę jej ust. Dziewczyny mają na sobie zielone

skafandry i przezroczyście hełmy, a w rękach trzymają miotacze promieni o fallicznym kształcie. Wystrzelują z nich białe chmurki nad głową mężczyzny w pomarańczowym skafandrze.

Tekst w dymkach dziewcząt został zmieniony:

W podstawowej praktyce tego spektaklu, jaką jest przyjmowanie zmiennych aspektów ludzkiej aktywności tak, by zostały przyswojone w skostniałej formie, oraz przemiana żywych wartości w wartości czysto abstrakcyjne, rozpoznajemy naszego starego wroga, konsumpcję towarów.

Guy obejmował ramieniem szyję jakiegoś studenta, rebelianta z Sorbony w skórzanej kurtce, choć on sam nosił się marnie – był w białym wełnianym swetrze i wyglądał nazbyt francusko i zbyt staro jak na dekoracje, w których występował. Pewnie, że większość tych kawiarnianych rewolucjonistów przekroczyła już trzydziestkę, a niektórzy i czterdziestkę, ale Guy wyglądał na jeszcze starszego. Siedział u szczytu stołu, objąwszy ramieniem tego chłopaka z Sorbony, a za nim stała, znacznie od niego młodsza, Isadora, jego dziewczyna z Grecji. Był już wyraźnie podпиты i dalej pił.

Isadora bawiła się jego okularami. Nałożyła je, a potem położyła dłonie na głowie Deborda i bawiła się jego włosami. W końcu oddała mu okulary i usiadła

obok niego, z lewej strony.

Natalie próbowała zwrócić na siebie uwagę.

– Przyprowadziłam ze sobą przyjaciela – powiedziała, przechodząc dookoła stołu.

– To twój Cyryl, tak? – zapytał ją Guy. – Pracujesz nad przeżyciem książki Saganki?

Tak miał na imię kochanek Cecylii, młodziutkiej bohaterki *Bonjour tristesse*. Zignorowała zaczepkę.

– Ma na imię Gerrard – powiedziała Natalie. – I może nas nauczyć pewnej gry.

– Strategicznej? – zapytał Guy Debord. Madame Isou podeszła z butelką dżinu, który nalała Isadorze i Natalie do metalowych kubków.

– Ta gra dotyczy czasu – powiedział Gerrard. – To właściwie bardziej pewna technika niż prawdziwa gra.

– To gra w sny – powiedziała Natalie.

Większość towarzystwa była już pijana. Chichotali nad zmodyfikowanym komiksem, palili papierosy, poklepywali się po plecach i nie słuchali. Natalie przebiegła palcami po blacie stołu, wyczuła pod opuszkami popiół i zaczęła się nim bawić, rysując w nim twarz. Narysowała na niej uśmiech, który zaraz starła.

– Gra w czas i sny? – zapytał Guy. – Sny jako takie to ślepy zaułek. A poza tym czas się zatrzymał. Terazniejszość jest stała. Moda, ubranie, muzyka, filozofia, wszystko się zatrzymało. Świat kapitalizmu żąda od nas, byśmy zapomnieli o przeszłości i poddali

się przyszłości.

– Ta gra wymaga używania pamięci – powiedział Gerrard.

Ale Debord go nie słuchał. Chciał mówić o Françoise Sagan, o tym, że pisarka, którą wybrał dla Natalie, wygłaszała ostatnio jakieś lewicujące sądy ze swojego ferrari. Debord uwielbiał czytać o bogatych nierobach, bo te historie pokazywały, jak płytkie okazywały się wszelkie utopie i jak libertyńskie odruchy giną w innych, lepszych ideach. Françoise Sagan i idea wolnej miłości były atrakcyjne jeszcze z innych powodów, ze względu na ich właściwości emancypacyjne.

Natalie wszystko to słyszała już przedtem.

– A wiesz, że *Bonjour tristesse* mogłoby być znacznie lepszą książką? – zapytała.

– Gdyby co?

– Gdyby Cecylia odrobiła lekcje i nauczyła się czegoś. W ten sposób całe to durne zamieszanie skończyłoby się zupełnie inaczej.

Guy z uśmiechem pochylił się nad stołem.

– Wypijmy jeszcze po kieliszku wina. – Nalał ze swojej butelki Natalie i sobie. Wino było białe, odrobinę zbyt słodkie, ale przełknęła je jednym haustem, do dna, podczas gdy Debord upił zaledwie mały łyżeczek ze swojej szklanki.

W książce Saganki główna bohaterka niszczy drugie małżeństwo swojego ojca po to, by wykręcić się od

czytania Henri Bergsona. Przyszła żona ojca Cecylii oczekuje, że dziewczyna zda egzamin z filozofii i zrobi coś ze sobą, ale ona chce żyć między plażą a restauracją, spędzać czas w czystej pościeli hotelowego łóżka i patrzeć na wirujące w powietrzu pyłki. Unikanie wysiłku związanego ze studiami jest jednym z głównych motywów postępowania bohaterki tej powieści, podczas gdy Natalie przeczytała Bergsona, Sartre'a i wielu innych. Co więcej, Natalie uznała, że Cecylia niewiele pojęła z Bergsonowskiej fenomenologii. Filozof głosił przecież, że pociąg seksualny był jednym z najważniejszych czynników rozwoju ludzkiej cywilizacji.

Gerrard odstawił swój kieliszek.

– „W rzeczywistości przeszłość zachowuje się sama, automatycznie. W swej całości być może podąża za nami w każdym momencie i wszystko, co czuliśmy, myśleliśmy, czego pragnęliśmy od niemowlęctwa, jest w niej, ona pochyla się nad obecną chwilą, tą, z którą się połączy, otwierając portale świadomości, którą najchętniej zostawiłaby za sobą” – cytował Bergsona. – O tym jest moja gra. Wymaga tego, by przeszłość wciągać w teraz oraz użycia pamięci jako katalizatora, który zmienia terażniejszość.

Guy chciał wypić następną kolejkę i nalał znów z butelki, którą postawiła przed nimi właścicielka. Siedzieli we troje za kieliszkami z winem i obserwowali poruszającą się scenę kawiarni. Mimo że wszyscy

siedzieli spokojnie, ktoś cały czas się poruszał, poruszał szybciej, niż wzrok śledzącej go Natalie. Isadora zmieniała się w plamę kolorów, żółci i czerwieni. Butelki wina dookoła nich opróżniały się, rozmowy zmieniły w pozbawioną znaczenia płataninę słów.

– Samoloty, samochody, latarnie, telefony, parasole, mnóstwo innych towarów, jak detergenty i fanta – tłumaczył jej Gerrard.

– Co mówisz?

Gerrard opowiedział jej o Guyu Debordzie, o tym, jak jego rodzina wyjechała do Cannes z Paryża, prosto na południe, kiedy naziści zajęli Paryż. Jechali w citroenie Traction Avant z 1929, aucie należącym do jego matki. To był piękny samochód, jeden z niewielu luksusowych przedmiotów, jakie zachowali w czasach Wielkiego Kryzysu. Wprawdzie rodzina Debordów nie miała przed sobą żadnych perspektyw jeszcze przed inwazją niemiecką, ale z Paryża uciekli na czas.

Nigdy wcześniej Natalie nie myślała o dzieciństwie Deborda, o tym, że musiał przeżyć niemiecką okupację.

Isadora i Guy byli teraz przy pianinie, Isadora pociągnęła z metalowego kubka, usiadła na krzeselku przy pianinie i zaczęła grać *Jazz á gogo* France Gall.

– Wiem, że potrzeba nam jazzu z gogo – śpiewała.

– Precz z gogo! – krzyknęła do niej Natalie. – Precz ze społeczeństwem France Gall!

Isadora jednak śpiewała dalej głupawą piosenkę w rytmie yé-yé. Wszyscy pili dalej, ale gdy Natalie

i Gerrard wstali, zbierając się do wyjścia, najbardziej pijany był Guy. Wziął ze stołu komiks z *Barbarellą* i przycisnął go do kieliszków, które zabrał ze sobą, odprowadzając ich do drzwi.

Przystanęli na zewnątrz, by się naradzić, jak najłatwiej dotrzeć z powrotem do Nanterre, bo żadne z nich nie było pewne, kiedy odjeżdża ostatni pociąg.

– Chcę wam o czymś opowiedzieć – powiedział Guy. – Macie czas jeszcze na jednego?

Miał ze sobą trzy kieliszki, każde wzięto po jednym, tręcili się. Guy Debord łyknął wina niewiele, ostrożnie.

– Kilku już szaleństwo mi odebrało – powiedział Guy.

– Kilku czego? – zapytał Gerrard.

– Przyjaciół. Szaleństwo mi ich odebrało, Gerrardzie.

Opowiedział im o swoim rosyjskim towarzyszu, który mnóstwo zrobił dla rewolucji w 1953 roku. Uważali się wtedy za artystów, a ten jego przyjaciel uważał się za poetę. Pracowali razem, ten poeta i Debord, nad teoriami urbanizmu. Nad zrozumieniem przestrzeni społecznej.

– Jego idee architektoniczne, dotyczące sposobu wyrażania czasu i przestrzeni, były znakomite. – Debord oparł się o kuty żelazny płot, który otaczał ogródek ze stolikami Chez Isou. Spojrzał w górę, na elektryczne lampy oświetlające Rue du Four, i wspominał. – „Nuży nas miasto, które nie jest już Świątynią Słońca. Pomiedzy nogami przechodzących kobiet dadaści widzą klucz francuski, a surrealiści kryształową misę”. Całkiem niezły był ten Iwan Szczegłow, ale zwariował.

Zamknęli go i zniszczyli do szczętu. Psychiatryzy wyprali mu umysł do czysta prochami i elektrowstrząsami.

– Co to była za choroba? – zapytała Natalie.

– Zwyczajna. Wierzył, że choć o tym nie wiemy, kieruje nami Dalajlama. Sądził, że na wieży Eiffla ukryte jest czarne światło – mówił Guy.

– Czarne światło?

– Postanowił zniszczyć wieżę. Którejś nocy wyszedł po to, by ją zburzyć, ale w końcu wylądował w jakimś miejscu podobnym do tego. Upił się i porozbijał kieliszki, zastawę. Potem zaczął rzucać stołami i krzesłami – opowiadał Guy.

Wszyscy troje stali w świetle ulicznych latarni. Guy wypuścił chmurę dymu ze swego cygara i wypił kolejny łyk wina ze swego kieliszka.

– Powinniśmy iść. Metro – powiedziała Natalie.

– Żona wydała go policji. Uznano go za wariata, a potem zniszczono jego umysł – powiedział Guy. – Powinniście zostawić tę grę w sny. To donikąd was nie doprowadzi, w najlepszym razie do mistycyzmu, a w najgorszym do psychozy.

– Tak sądzisz? – spytał Gerrard.

– Wiem, w jaką grę powinniście zagrać zamiast tej.

Gerrard pożyczył papierosa z paczki gitanesów Natalie, nie smakował mu, więc popił go winem.

– W zmianę porządku rzeczy, w dekompozycję – powiedział Debord. Pokazał Gerrardowi jedną ze stron komiksu z *Barbarellą*, trzymając go tak, by chłopak

mógł czytać w świetle ulicznej lampy.

– Widzieliśmy to – powiedziała Natalie.

– Każdego elementu, bez względu na to, skąd został wzięty, można użyć do stworzenia nowej kombinacji. Może da się w ten sposób zdekomponować całe miasta?

– Czy ja wiem – powiedział Gerrard.

– Zapomnijcie o tym, co przedtem mówiłem. Życie bywa mylące. Po prostu. Szaleństwo to ryzyko, ale takie dekomponowanie to mógłby być wasz projekt, coś, co właściwie już robicie.

Gerrard wypuścił smużkę dymu. Wyglądało na to, że nie jest w stanie, który pozwalałby uzmysłwić sobie, jakie otrzymał zaproszenie. Cyryl Natalie okazał się równie twardogłowy i uparty jak Cecylia z *Witaj, smutku*. Zaczął kaszleć i Guy Debord walnął go w plecy, żeby pomóc mu pozbyć się dymu. Kiedy kaszel osłabł i chłopak zaczął kichać, Guy uśmiechnął się.

– Musicie tylko pamiętać o jednym – powiedział.

– O czym?

– Cała sztuka polega na tym, by tworzyć chaos, nie kochając go.

12.

Amerykańska rodzina, która pojawiła się w księgarni, wydawała się bardziej zainteresowana oglądaniem jego, spotkaniem z Christopherem Robinem Milne'em, niż kupowaniem jakichkolwiek książek. Trudno było powiedzieć, w jakim wieku był chłopiec, mógł mieć z osiem lat, a jego rodzice pytali, czy Chris ma w sprzedaży pluszowe zabawki, i pomagali mu w przeszukiwaniu sklepu, by wytropić w nim ślady obecności pana Woreczko.

Christopher znalazł tom poezji swego ojca i wręczył im.

– A nie macie książek o misiu? – zapytał tata.

– Szybko schodzą. Muszę zamówić więcej.

– Nie ma pan ani jednego egzemplarza? Zupełnie nic?

– Mam tylko prywatne, ale one, oczywiście, nie są na sprzedaż.

Amerykanin zastanawiał się. Christopher czekał na ofertę, pewny, że ten człowiek w garniturze z szerokim kołnierzem i wystylizowaną żoną, której suknia w kolorze rdzy ozdobiona była na biodrach jaskrawą żółcią słoneczników, obrazi go jakąś kwotą, ale tak się nie stało. Mężczyzna miał natomiast inną, choć wciąż wielce niestosowną, propozycję.

– A może mógłby pan przeczytać mojemu synowi jakąś historyjkę z pańskiego egzemplarza?

Christopher cofnął się o krok od kasy i odruchowo podniósł ręce, ale turysta nalegał.

– Mógłby pan poczytać obu chłopcom – powiedział Amerykanin. Wskazał ręką Daniela, który siedział w odległym kącie sklepu, przykucnąwszy po indiańsku na wysokim taborecie. Liczył wszystkie książki z czerwonymi okładkami.

– Nie sądzę.

– Nie czytuje pan synowi?

Christopher, oczywiście, czytywał Danielowi, ale nigdy nie były to książeczki dla dzieci. Jego syn nie potrafił pojąć najprostszej fabuły, za to z upodobaniem słuchał o ogrodnictwie, fotosyntezie i majsterkowaniu. Christopher nigdy nie zamierzał czytać Danielowi książek swego ojca i nie zrobiłby tego, mimo prośby Amerykanina, gdyby nie to, że chłopczyk porzucił liczenie i pochwycił ten pomysł.

– Pora bajki? – spytał Daniel. – Dziadka bajka?

– Nie, Daniel. Nie teraz – powiedział Chris. – On zupełnie nie pamięta mojego ojca.

– Chcę słuchać pory bajki dziadka – powiedział Daniel. Wziął ze sobą dwie czerwone książki, *Buszującego w zbożu* oraz *Nowy Testament*, i usiadł ciężko na jednym z pufów. Christopher, zaskoczony zainteresowaniem Daniela, zrozumiał, że opieranie się tej prośbie byłoby jeszcze bardziej krępujące niż

poddanie się jej.

Mały Amerykanin był bardzo cichutki. Christopher przeczytał spis treści *Kubusia Puchatka* i poprosił chłopca, żeby wybrał swój ulubiony fragment, ale mały mu nie odpowiedział. Wobec tego Christopher wybrał to, czego sam chciał posłuchać. Kiedy usiadł na drewnianym bujanym fotelu, odchrząknął i znalazł stronicę, od której powinien zacząć, ogarnęło go poczucie *déjà vu*, jakby rozpoznawał coś, co doskonale znał. Chris czytał słowa swojego ojca. Zwalniał, kiedy pojawiały się wielkie litery.

– „Tu chyba jest jakaś wiadomość – mruknął do siebie – to pewne. A ta litera to jest P i ta też, i ta też, a P to pewnie znaczy Puchatek, czyli że jest to bardzo ważna wiadomość dla mnie, a ja nie mogę jej odczytać. Muszę pójść do Krzysia albo do Sowy, albo do Prosiaczka, bo oni są Uczeni i umieją wyczytać, co tu jest napisane, to mi powiedzą, co ta wiadomość oznacza. Ale jak się do nich dostać? Nie umiem przecież pływać. Masz ci los!” – czytał.

Kiedy skończył, spojrział tam, gdzie – jak sądził – siedział chłopiec z Ameryki, ale go nie zobaczył, a para Amerykanów w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Zamiast pilnować syna, oglądali książkę leżącą na stoliku do kawy, potężny album z fotografiami zatytułowany *Moulton's Barn*.

– Przepraszam – odezwał się Christopher. Rozejrzał się po sklepie w poszukiwaniu chłopca, ale nigdzie nie

było go widać. – Przepraszam – powtórzył, podnosząc się z fotela.

Małżeństwo nie wyglądało na specjalnie przejęte, kiedy podszedł do nich. Przeczytał zaledwie jedną historyjkę z *Kubusia Puchatka*, gdy zauważył zniknięcie chłopca, ale rodzice, zamiast mu pomóc, dalej przeglądali ofertę księgarni.

– Czasem mu się to zdarza – powiedział ojciec.

– Czasem JEJ się to zdarza – poprawiła matka.

– Myślałem, że to uzgodniliśmy.

– A czy to naprawdę ma jakiegokolwiek znaczenie? Poza tym ja zawsze chciałam mieć dziewczynkę.

Zanim Christopher zdołał zadać jakiegokolwiek pytanie, zanim zdał sobie sprawę z tego, co się tu dzieje, wtrącił się Daniel.

– Woodentopowie spadają – zawył.

Chris podszedł do syna, zorientował się od razu, że chłopiec za moment przełączy się ze zwykłego trybu liczenia i powtarzania w nadzwyczajny tryb wybuchu. Wyciągnął ręce, by chwycić Daniela, zanim ten zacznie kopać i bić, zanim nastąpi niekontrolowany atak agresji, ale syn odsunął się i Chris upadł i rozciągnął się jak długi na pufy i pomarańczowy dywan. Daniel popędził przez sklep, przewracając stojaki z pocztówkami na podłogę, obijając się o półki, z których zrzucał książki, i w końcu sam upadł na ziemię, plując i kopiąc.

Amerykanie zachowali obojętność.

– Zrób zdjęcie, Tom – powiedziała żona. Stali nad

nimi, kiedy Chris, mówiąc do Daniela, próbował przywrócić go do zwykłego stanu cichego wycofania. Opowiadał mu o rozkładzie jazdy pociągów, średnich temperaturach, wymieniał numery kanałów telewizyjnych.

– Dwunastka, ósemka i trójka – mówił.

– A na ósemce nic nie ma. Brak sygnału na ósemce. Tylko ekran – odezwał się Daniel. – Sam ekran. – Jego ramiona i nogi rozluźniły się. Chris przytrzymał chłopca i poczuł, jak ulatnia się z niego waleczna energia.

– Słusznie. Żadnego obrazu na ósemce, sam ekran – powiedział Christopher.

Kiedy widowisko się skończyło, a Daniel przycupnięty na stołku wrócił do skrupulatnej inwentaryzacji książek, Amerykanie podziękowali Chrisowi za poświęcony im czas i zaczęli zbierać się do wyjścia.

– Poczekajcie chwilę – powiedział Christopher. – Przecież musimy znaleźć waszego syna.

– Albo córkę – oświadczył ojciec.

– Wszystko jedno. Dziecko wam zginęło – powiedział Christopher.

Jednak Amerykanie zaprzeczyli. Naprawdę nie mieli żadnego dziecka, żadnego prawdziwego dziecka. A w ogóle to sprawa osobista i dotyczy tylko ich dwojga.

– Kupimy ten zbiór wierszy. Wierszy pana ojca, dobrze? – zapytał mąż. – Czy to wystarczy?

– Był pan taki miły. Bo to bardzo uprzejmie z pana strony, że zechciał pan jej poczytać – powiedziała żona.

Christopher siedział na betonowych stopniach wbudowanych w stok wzgórza dzielącego Dartmouth. Od wieków ograniczało ono miasto, rozdzielało je. Ludzie budowali domy u podnóża, póki wystarczało miejsca, a potem wspinali się w górę, szukając solidnego gruntu, i dalej budowali. I tak na wzgórzu powstał pas dziewiczej zieleni, naturalny rezerwat, w którym można było zabłądzić, kiedy szło się z Townstal do znajomego mieszkającego wyżej. To znaczy był to kiedyś rezerwat, ale teraz władze miasta uznały, że rozwiążą problem, łącząc dwa brzegi ugoru betonowymi schodami.

Christopher usiadł dokładnie w połowie stopni, żeby pozwolić obrzydzeniu jątrzyć się w żołądku. Puste zbocze wzgórza było pełne naturalnego piękna, ale zastąpiły je schody, po których chodziło się łatwo i wygodnie. Siedząc tak na zimnym betonie, wsłuchując się w wiatr, miał wrażenie, że niczego nie rozumie, że bez tego wzgórza, bez pasma trawy rozdzielającego górę i dół, on właściwie nie rozpoznaje tego miasta. Widział własną księgarnię, budynek biblioteki, szeregi pięknych domów i trawników, ale samo Dartmouth zniknęło z pola jego widzenia.

Christopher wyszedł z domu tego wieczora, by uciec

od Abby i Daniela. Chłopiec zawsze oglądał swoje ulubione programy, telewizja go bawiła i zazwyczaj ojciec nie żałował mu tej przyjemności, nawet jeśli jej z synem nie dzielił. Jednak tego wieczora Chris otworzył okno w gabinecie jeszcze przed włączeniem tego pudła z obrazkami i poczuł na twarzy chłód powietrza, którym odetchnął z taką przyjemnością, że perspektywa godziny spędzonej przy BBC czy Eurowizji napełniła go obrzydzeniem.

Rzucił zebranymi po drodze kamieniami. Często zbierał kamyki, gałązki o dziwnych kształtach, jadalne grzyby i korzonki, jeśli się na nie natknął. Zrzucił w dół okrągły piaskowy kamień, patrzył, jak odbija się od betonowych schodów.

Kiedy miał osiem czy dziewięć lat, jego ojciec napisał o nim wiersz, wiersz o małym Krzysiu. Utwór nosił tytuł *Po ciemku* i pokazywał Krzysia, który rozmawia ze smokami, wyobraża sobie siebie jako pirata, aż w końcu zapada w mocny sen.

To było kłamstwo. Ojciec opisywał czas przed zaśnięciem jako kolejny przykład niewinnej i narcystycznej przyjemności doświadczanej nieustannie przez syna, choć w rzeczywistości Christopher rzucał się w łóżku, przewracał z boku na bok bez wyraźnej przyczyny. Nigdy nie było mu wystarczająco wygodnie i nie potrafił nawet na chwilę uwolnić się od strachu.

Wysłuchując się w stukot spadającego kamienia, przypomniał sobie, jak próbował zatańczyć

z pierwszą dziewczyną, w której się zadurzył. Przypomniawszy sobie okupowane Włochy i to, jak ją poznał. Miała na imię Elena.

Chris tracił w jej towarzystwie całą pewność siebie i, mimo że całkiem dobrze znał kroki walca, kiedy znalazł się z nią na parkiecie, nie zdołał rozpocząć tańca, bo nie potrafił wejść w rytm. Nogi mu drżały. Przesunął lekko do przodu prawą stopę, potem ją cofnął i znów się zatrzymał. Czy ona pozwoli się poprowadzić i będzie się poruszać razem z nim, czy też ich ciała się nie dogadają? Zamartwiał się tym tak, że stał jak sparaliżowany przez całą piosenkę. I nie zatańczył do melodii *Honeysuckle Rose*.

Chris znał się na budowaniu mostów, był dobry w przyznawaniu i zdobywaniu orderów podczas wojny, ale w tańcu okazał się beznadziejny.

Kiedy był bardzo mały, śniło mu się, że spada. Nie chodziło o takie spadanie jak ze skały w pustkę, raczej o coś w rodzaju szybowania w powietrzu... Christopher przymykał oczy i czuł jak sunie, ślizga się w dół, jakby zjeżdżał ze zjeżdżalni albo jakby ktoś ciągnął go na linie.

Ojciec pisał o nim różne historyjki, o Krzysiu, który był mały i głupiutki. Czy naprawdę tak go postrzegał? Czy ojciec rzeczywiście chciał, żeby jego syn był właśnie taki?

Siedząc tak na schodach, Christopher nie potrafił rozstrzygnąć, co ściągnęło go w dół: Amerykanie ze

swoim wymyślonym synem, sposób, w jaki zmieniło się Dartmouth, czy może sprzedaż Cotchford Farm i destrukcja wszystkiego, co wypracował ojciec. Nie miał pojęcia, dlaczego śmierć ojca sprawiła, że poczuł się jak schwytyany w pułapkę, jakby z powrotem był małym Krzysiem. Kiedy przeprowadzał się do Cambridge, po raz ostatni zdawało mu się, że wyzwolił się od pluszowego misia i chłodnego osądu ojca. Myślał wtedy, że choć ojciec nie potrafił dać tego, czego syn potrzebował – bo przecież nie dostał od taty niczego, co pomogłoby mu przemienić się z niemal pozbawionego osobowości, nazbyt dziewczęcego dzieciaka z ojcowskich bajek w dorosłego mężczyznę – i tak nieźle sobie z tym poradził.

W Cambridge Christopher kupił sobie fajkę, żeby pykać z niej podczas rozwiązywania równań i wykonywania obliczeń z matematyki stosowanej, którą studiował. Wydawało mu się, że w ten sposób staje się dorosły, ale nieporadny chłopiec z długimi włosami i pluszowym misiem miał wkrótce powrócić.

Niełatwo było natrafić na gramofon wśród murów Cambridge, ale chłopak, z którym mieszkał Chris w 1939 roku, miał takie urządzenie, mógł więc odtwarzać płyty dniami i nocami. Gdy Christopher uczył się w salonie albo miał ochotę pogadać o polityce czy sporcie, jego współlokator przeszkadzał mu dźwiękami symfonii Satiego, wydobywającymi się spod igły

gramofonu, albo zawodzeniami którejś ze śpiewaczek jazzowych, Bessie Smith czy Josephine Baker. A jednak w tamtym momencie życia istnienie gramofonu nie było szczególnie uciążliwe. Chris przyzwyczał się do niego, a nawet potrafił cieszyć się wszechobecnością odtwarzanej muzyki. Dopiero kiedy jego współlokator zaczął wykorzystywać sprzęt do głupich żartów, Christopher złożył podanie o przeniesienie do innego akademika.

Chłopak nazywał się Simon Palmer i dostał skądś nagranie *Modlitwy Krzysia* Gracie Fields, piosenki, która była po prostu przystosowaną do melodii wersją wiersza jego ojca *Pacierz*.

Żart polegał na tym, że kiedy Christopher miał gości, jego kolega dwa razy odtworzył ten utwór. Płyta się obracała, a twarz Chrisa stawała się coraz bardziej i bardziej czerwona.

Boże, daj zdrowie mamie, jak zawsze przede wszystkim. Aha, daj zdrowie tacie – prawie zapomniałem.

Problem nie w tym, że się z niego śmiali, choć się śmiali, lecz w tym, że on sam nie potrafił odróżnić małego chłopca, który zwraca się do Boga, mówiąc paciurek, od Christophera, który miał nadzieję, że Bóg zauważy, jak pali fajkę i pozwoli mu w końcu dorosnąć. Poczul się płaski jak gramofonowa płyta, jak płyta

z wrytymi rowkami i nutami, które nie przez niego zostały stworzone.

13.

W styczniu 1968 roku w Nanterre został otwarty nowy basen pływacki, Natalie przysłała na ceremonię otwarcia z zamiarem jej zakłócenia. Gerrard stojący tuż obok niej, przy samym brzegu krytego basenu, zaproponował, by wyobrazili sobie, że ten budynek jest butelką od mleka. Że zamiast betonowych murów otacza ich przejrzyste szkło, zasnuwane parą unoszącą się z nad chlorowanej, niebieskawej tafli. Natalie zamyśliła się nad tym, wpatrując w błękit wody. Nie oderwała od niej wzroku aż do momentu, w którym rektor wymienił uścisk dłoni z François Missoffe'em, ministrem do spraw młodzieży i sportu, po czym zaczął mówić do mikrofonu.

Na otwarcie basenu przysłała może z setka ludzi, w tym reporterzy, profesorowie, urzędnicy, studenci i wszyscy nudzili się śmiertelnie. Mężczyźni i kobiety w kostiumach pływackich stali szóstkami w rzędach nad płytszym krańcem basenu. Mężczyźni stali pierwsi, bliżej brzegu, kobiety za nimi. Ziewali i drżeli w czarnych elastycznych strojach. Minister do spraw młodzieży i sportu, szczupły mężczyzna w sile wieku, o kędzierzawych siwych włosach przypominał gwiazdora filmowego, był nawet nieco podobny do

Paula Meurisse'a. Pewny siebie, ubrany w beżowy bawełniany trencz, kamizelkę, beżowe spodnie i skórzane rękawiczki, zakaszłał uprzejmie, zdjął rękawiczki, płaszcz i podał je trenerce pływaczek. Kobieta, blondynka w średnim wieku w czerwono-brązowo-pomarańczowym garniturze, zabrała rzeczy ministra na trybuny, złożyła płaszcz i wsunęła rękawiczki do górnej kieszeni, a potem podała wszystko młodszej kobiecie w rogowych okularach.

Minister poczekał, aż rektor zakończy powitania, później podszedł do mikrofonu, uregulował go na statywie tak, by podniósł się wyżej, do linii jego warg, a potem ogłosił wszem wobec, że jest bardzo zadowolony.

– Ta nowa inwestycja na Uniwersytecie w Nanterre przyczyni się do większej sprawności fizycznej i pozwoli uprawiać sport tutejszym studentom i wykładowcom. Uważam, że jest ona absolutnie niezbędna, bo służyć będzie zarówno organizmom studentów, jak i organizmowi uniwersytetu, a wreszcie największemu z nich, organizmowi całej Francji – mówił. – Bo dzisiejsi studenci uniwersytetu koncentrują się na konstruowaniu własnej kariery zawodowej, z determinacją szukają dróg, by osiągnąć sukces w wybranej przez siebie dziedzinie, i trudno wobec tego orzec, czy znajdą dość wolnego czasu, by poświęcić go na pływanie dla odpoczynku. Nie wiemy zatem, jaki odsetek studiujących skorzysta z nowej inwestycji –

oznajmił. – Stąd imperatyw, by zajęcia wychowania fizycznego były obowiązkowe dla wszystkich, a szczególnie nacisk zostanie położony na skuteczną naukę pływania, która stanie się jednym z przedmiotów obowiązkowych w zakresie wykształcenia ogólnego.

Był tylko jeden powód, dla którego uniwersytet przykrył nowy basen szkłem, jeden powód, dla którego zamknięto ich w butelce od mleka – doprowadzenie studentów do znudzenia. Natalie patrzyła na kobietą drużynę pływacką stojącą na zimnym betonie, widziała, jak dziewczyny się przeciągają, ziewają, skubią rąbki kostiumów, i czuła, że ich siła i energia wyparowuje. Cała ta uroczystość była zaplanowana i przygotowana po to, by zamknąć studentów za szkłem, zakorkować w butelce chłopców i dziewczyny w czarnych kostiumach. Basen tłumził pożądanie, nazywając je zdrowiem.

Natalie nie była znudzona. Nie została schwyтана w butelkę od mleka. Była uzbrojona w młot.

Uśmiechnął się do niej pewien chłopak. Nazywał się Daniel Cohn-Bendit i wiedział, co ma robić. Rudowłosy i pryszczaty, on też nabrał wyglądu filmowego gwiazdora, a może nawet samego Elvisa Presleya, kiedy szedł wzdłuż basenu w stronę ministra, szedł powoli i uważnie, żeby się nie poślizgnąć. Miał dwadzieścia trzy lata i był chyba najstarszy wśród zebranych tu studentów. Wysunął się do przodu i podniósł rękę, chcąc przerwać ministrowi do spraw młodzieży, nie zamierzał jednak

czekać, aż ktokolwiek udzieli mu głosu.

– Pan, jak rozumiem, napisał o nas książkę? – zapytał Daniel Cohn-Bendit.

Pan Missoffe próbował mówić dalej o wychowaniu fizycznym i osobistych ambicjach, chciał ciągnąć dalej swoje wyrazy poparcia dla jednego i drugiego, głosić konieczność istnienia jednego i drugiego w nowoczesnym, kapitalistycznym państwie, ale Cohn-Bendit nie ustępował.

– Napisał pan grubą książkę o młodzieży we Francji – powiedział Cohn-Bendit. Odwrócił się, żeby spojrzeć przez basen na studentów. Było ich może z dwunastu i to oni stanowili jego prawdziwą publiczność. – Ma jakieś trzysta stron, prawda?

– To prawda. Napisałem książkę. Czy mogę mówić dalej?

– Ja czytałem pańską książkę – powiedział Cohn-Bendit. – Całkiem sporo w niej materiału, dużo mówi o nas, studentach uniwersytetu, tylko pominął pan w niej jedną kwestię, która z kolei nas najbardziej interesuje. – Cohn-Bendit ponownie odwrócił się przodem do swego adwersarza. Uśmiechnął się do ministra i zamilkł na chwilę. – Nie napisał pan ani słowa na temat takiego problemu, jakim jest seks.

Ministrowi nawet nie drgnęła powieka.

– Ma pan problemy z seksem?

– Tak, proszę pana. Tylko że pan nawet o tym nie wspomniał w swojej książce. Pan daje

wskazówki w kwestii kariery, osobistego rozwoju, jednostkowego wysiłku. A seks to problem ekonomiczny. Coś, co dziewczyna oszczędza, by mieć posag. Coś, co mężczyzna nabywa jak samochód albo też za pomocą samochodu.

– Patrząc na pana wygląd, specjalnie się nie dziwię, że seks stanowi dla pana problem – oznajmił minister.

– Pan chce skanalizować nasze naturalne popędy, przekształcić je w pracę, produkcję, służbę państwu. Ta polityka wypierania i tłumienia to zwykły faszyzm.

Natalie wiedziała, że Cohn-Bendit był oportunistą, ale tym razem była mu wdzięczna, podziwiała jego bezczelność.

– Jeśli ma pan aż takie problemy z seksem, że nie potrafi pan zapanować nad potrzebą mówienia, jeśli jest pan tak nieprzystosowany, że musi pan przerywać publiczne wystąpienia przy takiej okazji jak otwarcie basenu i wtrącać coś, co nie ma żadnego związku...

Cohn-Bendit wskazał na półnagą drużynę pływacką.

– Dla nas ten problem jest zawsze obecny. Bez związku? Czyżby?

– Dlaczego nie skoczysz pan do basenu, żeby ochłonać? Proszę skoczyć. Może nawet zanurkować?

– Pan chce, żebym wskoczył do wody?

– Jeśli ma pan tyle problemów z seksem, to powinien pan.

– Faszysta.

– Gówniarz.

Wszyscy tkwili w szklanej pułapce, wszyscy zostali wciśnięci do narożnika, ale Natalie miała swój młotek.

– Ja skoczę – powiedziała. Wyszła do przodu, ściągnęła przez głowę wełniany sweterek. Rozpięła spódnice, pozwoliła jej opaść na ziemię. Wysunęła się z bielizny, podkreślając moment, w którym odpięła stanik i odrzuciła go na brzeg basenu szerokim gestem godnym zawodowej striptizerki, a potem wskoczyła do basenu. Chwyciła się za nogi i wpadła do wody, wywijając koziółka. Opryskała zarówno ministra do spraw młodzieży, jak i Daniela Cohn-Bendita.

Kiedy wypłynęła z powrotem na powierzchnię, zobaczyła, że Gerrard też zdejmuje ubranie, podobnie jak dwie inne studentki z ich grupy, obie z akademika Natalie. Kolega Gerrarda, student socjologii, który nie należał do Les Détournés i był po prostu widzem, zaczął się rozbierać razem z nimi.

– Wszyscy do basenu – powiedział socjolog i wskoczył do wody, nie zdejmując okularów.

Już po chwili niemal wszyscy studenci znaleźli się w basenie, goli, rozpryskiwali wokół siebie wodę. Dziewczęta z drużyny pływackiej pływały tuż pod powierzchnią, jak foki.

Dziennikarze robili zdjęcia, odsuwając się na moment od brzegu, żeby chronić swoje aparaty.

– Skończone – powiedział minister.

– I tu bym się zgodził – odezwał się Cohn-Bendit.

Jedyny student, który miał jeszcze na sobie ubranie i był suchy. – To na pewno skończone.

14.

22 marca 1968 roku było ich około setki, zgromadzonych pod szklaną markizą z północnej strony budynku, w którym mieściła się administracja. Daniel Cohn-Bendit stał przed podwójnymi drzwiami i przemawiał. Mówił, że ten gmach symbolizuje wszechobecne oko uczelnianej biurokracji, że zgnilizna struktur uniwersyteckich stała się tak nieznośna, że studenci nie mogą już brać w niej udziału, nie są w stanie nawet biernie się jej przyglądać. Jednak zanim skończył, studenci z Les Détournés przepchnęli się za jego plecami i otworzyli drzwi.

W ten sposób zaczęła się okupacja budynku. Wejście nie było zamknięte na klucz, więc po prostu weszli do środka.

Gerrard siedział obok Natalie na kafelkowej podłodze czwartego piętra. Przysunął się do niej i pokazywał jej przekomponowaną wersję komiksu z Lukiem Orientem, nad którą właśnie pracował. Komiks nosił tytuł *Tajemnica siedmiu światel* i tego Gerrard nie zmienił, ale przygodową fabułę zastąpił metafizyczną rozmową na temat snów. Główny bohater, Luc Orient, sprzecza się ze swoją dziewczyną i jej mentorem, hinduskim profesorem Hugonem Kala, o to, czy mogą obserwować

swoje prawdziwe życie w telewizji.

– Musiałoby nie być różnicy w czasie między tym, co robimy, a tym, co pojawia się na ekranie – powiedział Luc.

Troje bohaterów przygląda się kolorowemu telewizorowi, ale obraz na ekranie jest niepełny. Wyświetlają się tylko jakieś abstrakcyjne kształty, więc Lora oponuje.

– Jeśli będziemy obserwowali nasze życie w czasie rzeczywistym, to nic nie będzie mogło się zdarzyć – powiedziała. – To tylko regres.

Luc Orient w ramach komiksu wyglądał na zdziwionego. Natalie nie dostrzegła specjalnego sensu w przekomponowanym komiksie, ale musiała przyznać, że Gerrard wziął sobie do serca radę Deborda i pracował nad dekomponowaniem porządku rzeczy. Od tamtego czasu Natalie ani razu nie widziała go na wykładach, ale za to natykała się na niego często w bibliotece. Gerrard przesiadywał tam godzinami, dekomponując gazety i wycinając obrazki z czasopism.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął bliżej do siebie.

– A co się stało z twoją koleżanką od Citroena z rozsuwanym dachem? – spytał.

– Uważa, że to niemoralne – powiedziała Natalie. Odsunęła się od Gerrarda, wstała i poszła znaleźć ciekawszą rozmowę niż ta Lory i Luca, którą przeczytała przed chwilą, trafiła jednak na studentów filozofii dyskutujących nad Heglem, więc właściwie

było tak, jakby wróciła do takiej samej dysputy, od jakiej uciekała. Ale Gerrard i tak ruszył jej śladem. Stał obok niej i przysłuchiwał się przez chwilę rozmowie, a potem sam wygłosił swoje zdanie.

– Wszyscy mamy podwójną świadomość – powiedział Gerrard. Wyglądał na spokojnego i zdrowego na umyśle, ale mówił dalej: – Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że jesteśmy bohaterami komiksów, czytającymi o własnych przygodach z Tintinem.

Natalie była już zmęczona tą jego grą i kiedy zajmowali salę konferencyjną na ósmym piętrze, starała się znaleźć sobie takie miejsce, w którym byłoby już za ciasno dla Gerrarda. Wcisnęła się tuż obok młodego mężczyzny w pomiętej kurtce i wełnianej kamizelce. Chłopak wydawał się bardzo zdziwiony tym, że uparła się usiąść akurat obok niego, a ona wsunęła się pomiędzy niego a oparcie ławki. Nie wystarczyło to jednak, aby pozbyć się Gerrarda, który po prostu usiadł w przejściu. Zaczął nucić, a potem cichutko sobie podśpiewywać pod nosem popularną piosenkę. Fałszował okropnie, śpiewając *Smoke Covers My Eyes* Johnny’ego Hallydaya.

– „Wszystko zmienia się w sen – mruczał – w którym tkwię”.

Natalie była już niemal pewna, że nie chce go więcej widzieć. Jej przyjaciele z Les Détournés uważali go za niezrównoważonego, niegodnego zaufania, a nawet

jeszcze gorzej, i choć Debord usankcjonował jej wybór, ona sama uważała, że Gerrard jednak nie pasuje do jej projektu. Przenoszenie książki Sagan do rzeczywistości, przeżywanie jej było bliskie dążeniu do wolnej miłości. I choć kiedy o niej czytała, wydawała jej się zła, przeżycie jej naprawdę pozwalało zrozumieć przesłanie powieści, ale sypianie z Gerrardem nie miało nic wspólnego z wolną miłością. Bycie kochanką Gerrarda miało swoją cenę.

Przyśnił się jej, we śnie mieszkali razem w centrum Nowego Jorku, w artystowskim lofcie, przestrzennym, niezagraconym, czystym, nowoczesnym. Niedawno wzięli ślub. Natalie była sama w ich nowym domu. Poszła schodami w górę, przechodząc z minimalistycznego białego salonu wyłożonego wykładziną, na której stała biała, winylowa sofa, do sypialni zalanej słonecznym światłem – tu jedynym meblem był biały materac. Minęła sypialnię i weszła do łazienki, srebrna kabina prysznicowa była już zupełnie zaparowana. Kurki do ciepłej i zimnej wody zrobiono ze szkła.

Po kąpieli owinęła się białym ręcznikiem i weszła do niemal pustej sypialni. W klimatyzowanym pokoju było chłodno, więc kiedy zrzuciła ręcznik poczuła, że marznie.

Następnie była już z Gerrardem, jedli razem lody tuż przed idealnie białą lodówką. Wzięła łyżeczkę i zjadła zamrożony kęs, ale rozczarowała się, bo okazał się

zupełnie pozbawiony smaku. Obiecał jej pomarańczowo-śmietankowe lody, a do jedzenia dostała coś zupełnie bezbarwnego. Jakieś nic. Kiedy się obudziła, nie mogła pozbyć się wrażenia, że ciągle jeszcze jest tam, w Ameryce. Co gorsza, przeżyła we śnie orgazm. Pozbawione smaku amerykańskie lody przysporzyły jej fizycznej rozkoszy.

Gerrard wciąż rozmawiał ze studentami filozofii, chciała, żeby przestał, ale on nawet nie spojrzał w jej stronę. W końcu pochyliła się do niego i szepnęła mu do ucha.

– Zamknij się, proszę cię – powiedziała. – Ciiiiii!

Jeden z kolegów Natalie, chłopak imieniem Rene, wyszedł na mównicę. Wysoki, elegancko ubrany blondyn o starannie uczesanych włosach najpierw podniósł do oczu skulone palce, jakby sprawdzał stan skórek przy paznokciach, potem chrząknął.

– Les Détournés nie mogą znaleźć wspólnego języka ze stalinistami.

Natalie popierała propozycję tego przystojniaka, by tych pięciu czy iluś tam studentów znanych ze swych stalinowskich poglądów opuściło salę. Mówił o tym chłodno, z nonszalancką obojętnością i bardzo słusznie.

Daniel Cohn-Bendit wszedł na mównicę zaraz po nim, jego rozczochrane rude włosy i naznaczona trądzikiem twarz wyglądały wyjątkowo pospolicie w porównaniu z obliczem i fryzurą ultralewicowca. Jednak Cohn-Bendit uśmiechnął się do członków Les Détournés,

pokiwał głową, jakby się całkowicie z nimi zgadzał. Wyglądał tak, jakby udzielał błogosławieństwa studentom z pierwszych rzędów.

– Ci z was, którzy byli stalinistami, nie są już stalinistami – powiedział Cohn-Bendit.

– Co? – wykrztusił członek Les Détournés.

– Wznieśliśmy się ponad podziały i pospolite ideologie.

– Niby jak? – zapytał przystojniak. – Chwila, chwila. Staliniści powinni wyjść. Jeśli oni nie opuszczą sali, to my wyjdziemy.

– Ci, którzy byli dotąd stalinistami, już nimi nie są – powtórzył Danny. Uśmiechnął się i uśmiechał nadal, kiedy członkowie Les Détournés zaczęli wychodzić z pomieszczenia. Natalie również wstała, choć zastanawiała się, jak do tego doszło, że działanie grupy, która zaczęła od buntu wobec profesorów, zmieniło się teraz w rozbijanie strajku. Mimo wszystko wstała, żeby dołączyć do przyjaciół. Gerrard także zaczął się podnosić.

Natalie odwróciła się do niego.

– Ty zostajesz – powiedziała.

– Co?

– Już po wszystkim – powiedziała. – Koniec z nami. Za dużo się dzieje, za dużo ważnych rzeczy.

Gerrard patrzył na nią, ale nic nie mówił.

– Nie mogę sobie pozwolić, żeby cokolwiek mnie teraz rozpraszało. Więc zostań tu. Ja wychodzę, a ty

zostajesz.

Kiedy Natalie podeszła do swoich przyjaciół stojących w korytarzu, zauważyła, że większość z nich zatrzymała się jakby w oczekiwaniu na coś. Jeden z nich, chłopak w dżinsach, miał przy sobie futerał z gitarą i wyglądał na bardzo rozczarowanego.

– Miałeś coś zagrać? – zapytała go Natalie. Zaczął jej opowiadać o fingerstyle w jazzie i wyjaśniać, na czym polega jego oryginalność, ale Natalie szybko straciła zainteresowanie. Stojąc tak w korytarzu i nic nie robiąc, sami siebie skazali na banicję.

Natalie spojrzała za siebie, odwróciła się, otworzyła drzwi do sali wykładowej i zobaczyła, że Gerrard wciąż siedzi w przejściu. Skrzyżował nogi i wyglądał tak, jakby uważnie słuchał tego, co miał do powiedzenia Cohn-Bendit.

Natalie przypatrywała się mu przez chwilę, z nadzieją, że się odwróci i zauważy jej spojrzenie.

15.

Czekając na metro, które miało go zawieźć z powrotem do domu w Ménilmontant, Gerrard myślał o Krzysiu. Wpatrywał się w ciemność, kierując wzrok na zachód, w stronę nikłych, czerwonych świateł osadzonych w regularnych odstępach na okopconym murze, niknących za zakrętem, i starał się myśleć o Natalie. Zwyczajny zawód miłosny sprawiał mu przyjemność. Było jak w kinie. Gdyby się skoncentrował, mógłby wyobrazić sobie siebie jako główną postać melodramatu: samotnego, porzuconego przez kobietę bohatera, który czeka na pociąg.

Właśnie tak chciałby się widzieć, w tę stronę chciałby pokierować swoje refleksje, ale po kilku minutach czekania, minutach, które rozciągnęły się na tyle, by scena stała się nudna, a nie romantyczna, jego myśli opuściły Natalie, jej krótkie blond włosy i brązowe oczy i powędrowały ku zarysowi fabuły, na jaką składało się całe jego dotychczasowe życie. Przypominał sobie kolejne kłopotliwe momenty, jeden po drugim, jak na przykład ten, kiedy w czwartej klasie podstawówki miał krwotok z nosa.

Pamięta, jak oddawał test z algebry, kartka była pochłapana krwią. Nauczycielka wymierzyła mu za to

karę. Powiedziała, że nie powinien dłużyć w nosie podczas lekcji, i kazała stać przed całą klasą i trzymać palec w dziurce. To, że był winny, czyniło karę jeszcze bardziej przykrą.

Gerrard znalazł się w niewłaściwej powieści. Nie chciał żyć w *Witaj, smutku* ani w komiksie *Luc Orient*, chciał istnieć w *Kubusiu Puchatku*. Dekomponował niewłaściwą fabułę. Wagonik metra zatrzymał się przed nim na peronie, wsiadł do pociągu, postawił walizkę i rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca do siedzenia. Patrzył na każdego z pasażerów, próbując ściągnąć na siebie ich wzrok, ale nikt na niego nie spojrział. Biznesman w wąskim krawacie i czarnym swetrze miał włosy gładko zaczesane do tyłu, a nieobecny wyraz oczu sprawiał, że wydawał się niebezpieczny; blondynka w sukience w modną kratę, stojąca tuż za nim, miała łagodne rysy, ale ich łagodność wskazywała wyłącznie na różnicę wieku pomiędzy nią a mężczyzną w średnim wieku. Płakała i wpatrywała się w dół, w czubki swych kosztownych butów.

Siedzący naprzeciwko stary człowiek o rzednącej linii włosów i gęstwinie białych kłaczek nad drucianymi okularami, w czystej wyprasowanej flanelowej koszuli był jedyną osobą, która zareagowała na pojawienie się Gerrarda. Mężczyzna utkwiał w nim wzrok, jak gdyby chciał powiedzieć coś, na co nie mógł sobie pozwolić. Siedział więc absolutnie spokojnie, trzymając między kolanami papierową torbę z zakupami i wpatrywał się

w Gerrarda.

– O co chodzi? – zapytał Gerrard.

– Za młody pan jest, żeby o tym wiedzieć – odpowiedział stary. – Ale była wojna. I okupacja. – Mężczyzna zdjął okulary i zagapił się w ciemność, na betonowe ściany tunelu metra. Miał na szyi czarną chustkę, a jego prochowiec wydawał się o wiele za duży. Stary musiał się skurczyć od czasu, kiedy go kupił. – Ja już za długo żyję – powiedział.

Gerrard spostrzegł, że ten człowiek mówi po angielsku. Odwrócił się od staruszka. Nie miał ochoty na niego patrzeć. Zaczął natomiast przypominać sobie ojca, przypominać sobie, jak ojciec wyglądał, jak brzmiał dźwięk jego głosu, ale jego myśli zboczyły ku Krzysiowi, Krzysztofowi Milne'owi i jego zabawkom. Gerrard przypomniał sobie jego pluszaki, pomyślał o Stumilowym Lesie, chłopcu, jego misiu. Przypomniał sobie fotografię tych pluszowych zwierzątek. Po objeździe Ameryki zostały wystawione w domu wydawniczym w Nowym Jorku. Miał wtedy sześć czy siedem lat, wyciął ich zdjęcie z egzemplarza „Paris Match” i powiesił fotografię nad swoim łóżeczkiem.

Metro ruszyło, stukając po torach. Gerrard nie miał pewności, czy ten starszy pan był Francuzem czy Anglikiem, nie był już pewny, czy ten człowiek w ogóle się do niego odezwał. Wyglądał przez okno, na popielaty beton, potem zatkał sobie nos i popatrzył na zegarek. Dopóki na niego nie spojrzął, nie pamiętał

nawet, że nosi zegarek. Minęły dwie minuty, pociąg zatrzymał się w tunelu. To samo graffiti, domagające się wyzwolenia ludzkości, pojawiło się w polu widzenia i zniknęło.

Gerrard myślał o Krzysiu Milnie, o tym, jak spędzał czas ze swoim misiem w Stumilowym Lesie, gdzie bawili się razem przez cały czas. W jednej z tych historii Krzyś był rycerzem czy królem. Poprosił wtedy Puchatka, żeby mu obiecał, że zawsze będzie o nim pamiętał, nawet kiedy chłopiec się zmieni, nawet kiedy będzie miał sto lat.

Krzyś przeżył drugą wojnę światową. Gerrard przypomniał sobie, jak czytał kiedyś, że Christopher walczył jako żołnierz w tej wojnie. Chłopiec z opowieści o misiu musiał zapewne widzieć śmierć z bliska. Na polu bitwy historii Krzyś dowiedział się, jak to wszystko się toczy, jak to wszystko się kończy. Gerrard popatrzył na zegarek i znów wstrzymał oddech. Liczył w głowie: jeszcze dziesięć dodatkowych sekund i do tego jeszcze kolejnych dwadzieścia.

Krzyś prowadził w Anglii księgarnię. Gerrard gdzieś o tym czytał. Zapewne się ożenił i pewnie kupił sobie kolorowy telewizor.

Gerrard wyjął walizkę spod siedzenia, położył ją na kolanach i otworzył. Wyjął z wewnętrznej kieszeni czarno-biały notes i wieczne pióro, potem zamknął walizkę, ale nie zdjął jej z kolan. Jeszcze podczas jazdy metrem zaczął pisać do Krzysia. Popatrzył na kobietę

w sukience w kratkę i mrugnął do niej. Pisząc, wstrzymywał oddech i nie przeszkadzało mu to, że tekst zaczął mu się wymykać.

Odkurzacz w Pańskiej księgarni i świeże powietrze na pomarańczowym dywanie, niczego więcej Pan tam nie znajdzie. Telewizor jest jak kobieta, która nie ma pojęcia o wojnie. Telewizor ma Pan w swoim łóżku.

Krzyś Milne był żołnierzem podczas drugiej wojny światowej i widział, jak sens jego życia wylatuje w powietrze. Jedyne, czego mógł potrzebować, to przypomnieć sobie, jak miłe i nieskomplikowane jest nicnierobienie, słuchanie tego, czego nie słyhać, i widzenie tego, czego nie ma. Potrzebował, uznał Gerrard, by ktoś mu przypomniiał, jak to jest, kiedy ma się za przyjaciela pluszowego misia.

– Nicnierobienie to moje ulubione zajęcie – powiedział mężczyzna w płaszczu. Gerrard nadal nie miał pojęcia, czy tamten mówi po francusku czy po angielsku, otworzył po prostu notes, przewrócił kartkę i zaczął od nowa.

Napisał tak: *Drogi Krzysiu!*

16.

Po przeczytaniu listu od Gerrarda Christopher nie mógł spać. Była ciepła noc, w drugiej połowie kwietnia 1968 roku, Chris rozebrany do samych majtek wgramolił się do łóżka, w którym spała już Abby. Zrzuciła z siebie kraciatą kołdrę, a podwinięta koszula nocna odsłoniła jej biodro. Christopher znieruchomiał, by popatrzeć przez chwilę i pogłaskać jej kasztanowe włosy, zanim ułożył się obok niej i okrył ją kołdrą. Na pół uśpiona wyciągnęła dłoń, pogładziła go po policzku i zmierzwiła mu włosy. Christopher odsunął się na swoją stronę łóżka, odwrócił się plecami do żony i wpatrzył w czas. Obserwował sekundy zmieniające się na wyświetlaczu radiobudzika marki Tymeter. Czasami, zwłaszcza wtedy, gdy nie mógł zasnąć, miał wrażenie, że jego życie to mechanizm przypominający zegarek, tylko że jego wskazówki obracają się w drugą stronę. Przysłuchiwał się oddechowi Abby, czekał, aż na pewno uśnie, a potem usiadł i włączył radio w swoim budziku. Kiedy przekręcał gałkę, pierwsza stacja, na jaką natrafił, nadawała lekką popową muzykę w stylu, którego nie znosił. Myślał o tym, by próbować szczęścia dalej, szukając kolejnego programu, gdy drzwi otworzył Daniel, który wgramolił się na pościel, wpętl

między rodziców i znalazł sobie miejsce w nogach łóżka, w poprzek pościelenia.

Christopher wyłączył radio, poczekał, aż syn z powrotem zapadnie w sen, a potem wstał i cichutko przeszedł po drewnianej podłodze, macając lewą ręką kamienną ścianę wiejskiego domu, by utrzymać prawidłowy kierunek.

Wprowadzili się do tego domu w 1966 roku, a Chrisowi wciąż brakowało mieszkania nad księgarnią. Na Fairflax Place jego bezsenność bywała użyteczna. Schodził na dół, przestawiał książki na półkach albo wypełniał formularze zamówień – teraz, gdy się obudził, nie miał nic do roboty, mógł tylko czekać aż przyjdzie sen. Miał białe stopy, a chłód kamiennej ściany przenikał jego rękę i pełził przez ramię. Wziął parę kapci i frotowy szlafrok, otworzył drzwi schowka i wyjął z niego kartonowe pudło, a potem poszedł do kuchni, gdzie rozbroił puszkę ciastek, zdjął kapsel z butelki mleka i usiadł przy kuchennej wyspie.

Rozczarowany odkrył, że maślane ciasteczka się skończyły, zamoczył więc w mleku suche ciastko czekoladowe i przeniósł się do gabinetu, gdzie stało jeszcze jedno radio. To było trochę większe, miało obudowę z drewna, a na pokrywie szklany wyświetlacz, pokazujący programy, co ułatwiło Christopherowi manipulowanie, ale kiedy szukał swojej ulubionej stacji, natknął się na 1910 Fruitgum Company, zespół, który jeszcze śpiewał swój bezsensowny popowy przebój, czy

raczej śpiewał go bez przerwy.

– Tytuł tej piosenki to *Simply Simon Says*, a ja proszę cię, żebyś śpiewał z nami – namawiał Chrisa Mark Gutkowski, lider „Owocowej Gummy”. Po chwili jednak, w połowie utworu, igła została zdjęta z rowka, a na radiowym odtwarzaczu ułożono inną płytę. *It Hurts To Say Goodbye* Françoise Hardy wypełniło ciszę chwilowej awarii, a Christopher uznał, że wybrał niewłaściwą stację.

Była trzecia nad ranem, Chris siedział w swoim gabinecie, słuchając dziewczyny śpiewającej lekki pop po francusku. Otworzył pudło, wyjmował z niego każdy przedmiot i układał kolejno na kuchennym stole. Najpierw wyjął kota marki Merrythought, potem zepsutą figurkę prosiaczka, słoik błota, pomarańczowy plakat, egzemplarz *Bonjour tristesse*, papierek od czekoladek Munchies, a na koniec ten list od chłopaka, który nazywał się Gerrard Hand. Siedząc we własnym gabinecie, w miękkim fotelu z brązowej skóry i przyglądając się temu wszystkiemu, Christopher poczuł się mały, poczuł się jak dziecko. Próbował znaleźć w radiu coś innego, ale dla niego nie było nic. Ani Beethovena, ani Bacha. Zupełnie nic, w którąkolwiek stronę kręcił gałką.

Christopherowi odechciało się spać. Nie chciał już usnąć. Wrócił natomiast do kuchni, przygotował sobie filiżankę czarnej herbaty i zjadł kolejne czerstwe czekoladowe ciasteczko. Zaparkował przy kuchennym

stole i raz jeszcze przyjrzał się każdej z rzeczy. Zastanawiał się, czy opakowanie od czekoladek Munchies rzeczywiście pasuje do pozostałych rekwizytów, ale nie potrafił zmusić się do tego, by je wyrzucić.

Skoro już i tak nie zamierzał spać, zaczął się zastanawiać nad książkami do księgarni. I postanowił zrezygnować z prowadzenia antykwariatu. Była to ważna ekonomicznie decyzja. Klienci, którzy szukali używanych książek, nie byli prawdziwymi czytelnikami, tylko kolekcjonerami, a jako tacy bardzo różnili się od zwyczajnych bywalców księgarni. Nabywców używanych książek nie interesowało nic poza ich ceną. Kosztowało go to zbyt wiele energii i ostatecznie nie było warte tego wysiłku.

Zmagał się z tym problemem choćby tego ranka. Starszy mężczyzna chciał, aby Christopher spuścił mu z ceny całego funta za sześć książek, i poczerwieniał na twarzy, gdy księgarz odmówił. Nie obniżył ceny, a staruszek udawał, że zamierza wyjść ze sklepu, choć i tak zawrócił.

Christopher odprowadził go do drzwi, poklepał po plecach i życzył wszystkiego dobrego. Otworzył drzwi dla kolekcjonera i właśnie wtedy zobaczył poranną przesyłkę. List leżał na wycieracze tuż pod progiem.

Zaczynał się po angielsku, ale z czasem przechodził na francuski. Zaczynał się jak zaproszenie, a kończył jak

paranoiczne oskarżenie.

Chris już wcześniej, od czasu otwarcia księgarni, dostawał mnóstwo listów od fanów. Sześciolatki pisały, pytając o jego misia. Dorośli, którzy jako dzieci czytali książki ojca, zadawali dokładnie te same pytania. Wszyscy chcieli mniej więcej tego samego, ale Christopher nie bardzo umiał im odpowiedzieć. Przecież sam nie wiedział, jak można znaleźć Stumilowy Las ani gdzie przez te wszystkie lata podziało się dzieciństwo, nie miał też pojęcia, dlaczego tak trudno jest poczuć prawdziwą radość. Wyrzucił niemal wszystkie te listy, nie były przecież do niego, pisane były do tamtego Krzysia, którego stworzył jego ojciec.

Napisany przez ojca Krzyś miał służyć jako zabawne tło dla zwierzęcych postaci, które istniały dzięki swoim wadom. Odgrywał rolę zwyczajnego człowieka wobec misia o bardzo małym rozumku, skrajnego pesymisty osiołka i pyszałkowego królika, ale dzieląc ich przygody, przejmował także ich cechy, które miał kontrastowo uwydatniać.

Postać Krzysia okazała się wielkim sukcesem, prawdziwy Christopher sukcesem takim nie był. Nawet nie dlatego, żeby rozczarował ojca albo zawiódł jego oczekiwania, tylko dlatego, że jego istnienie podważało prawa świata, który zbudował dla siebie ojciec, sztucznego świata jego sławy i jego literackich przygód. Jako ktoś, kto przypominał A.A. Milne'owi o minionej

młodości, a co gorsza – przypominał o nieprzewidywalnym, niepoznawalnym świecie rzeczywistości, którego starszy Milne unikał uparcie i z wielkim wysiłkiem, Christopher stanowił pewien kłopot.

Pomimo wszystko – dowodził bezczelnie nadawca listu – tęskni Pan za swym ojcem. Ale nie znajdzie go Pan ani w Dartmouth, ani na farmie, gdzie nic po nim nie pozostało.

Christopher wrócił do łóżka, położył się, a kiedy zamknął oczy, jego myśli wypełniły Słonie. Żona i synek oddychali głęboko, spokojnie, a jemu przeszkadzał w zaśnięciu obraz wyświetlany w technikolorze: różowe i fioletowe Słonie, zwierzaki z hollywoodzkiej kreskówki zrealizowanej na podstawie książek taty. Christopher nie potrafił odpędzić tych Słoni, nie umiał przestać myśleć i śnić o Nieprzyjacielskich Zwierzętach, łasicach.

Jeżeli chce się Pan od niego uwolnić, musi Pan najpierw na nowo go odnaleźć. Musi Pan odkryć to, co zrobił dla Pana, kogo z Pana zrobił – pisał po francusku autor tego listu. – Niedźwiadek na Pana czeka.

Dawid uwielbiał żaglówki, uwielbiał wypowiadać

słowo „żaglówka”, bez względu na to, czy jakaś znajdowała się w polu widzenia, czy nie, choć zazwyczaj kilka dało się dostrzec. Z okna księgarni Daniel i Chris mogli policzyć żagle.

– Żaglówka, żaglówka, żaglówka.

Był trzeci maja 1968 roku, Chris wylatywał tego dnia do Paryża. Obudził Daniela wcześniej, pomógł mu się ubrać w turystyczne spodenki, flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę i buty. Daniel każdego dnia nosił ten sam zestaw ubrań, potrzebował takiej rytualnej regularności, a Christopher przywykł do niej bez trudu, jakby była jego drugą naturą.

Księgarnię mogli otworzyć trochę później, poza sezonem nie było pośpiechu. Zostawili śpiącą Abby, otworzyli drzwi wejściowe i wyszli na promenadę. Dartmouth było równie przyjemnym miejscem do spacerów jak Cotchford Farm. Odetchnęli głęboko wilgotnym powietrzem, poczuli zapach oceanu, popatrzyli na zielone wzgórza na drugim brzegu rzeki Dart. Chris czuł się doskonale, słuchając wody, czując zapach zielonych wzgórz i choć po Danielu nie było widać żadnej zmiany, był pewien, że i chłopiec był naprawdę poruszony. Chris wskazał na domki wzniesione w czasach średniowiecza i próbował nauczyć syna słów „plecionka” i „głina”. Kiedy Daniel zauważył łódź żaglową, Christopher przypomniał mu, że tutejszy port był dawno temu ulubionym schronieniem piratów i innych słynnych wilków

morskich.

Chłopiec zatrzymywał się co kilka metrów, aby podnieść kamień i wrzucić go, z wielkim wysiłkiem, ponad nabrzeżem, do rzeki.

– Jest taka bajka o Woodentopach – powiedział Daniel. Rodzina Woodentopów pochodziła z telewizora.

– Widzisz Dartmouth Castle? – zapytał Chris. Pokazał budowlę Danielowi, stała po drugiej stronie rzeki, na południe.

– Była sobie mama Woodentop i dzidzia, i tata Woodentop, i Willie.

Był to sposób mówienia charakterystyczny dla Daniela, te mechaniczne, opóźnione echolalia wydawały się zwykle pozbawione sensu, ale przecież można go było czasem w nich odnaleźć. Zdarzało się, że Daniel komentował to, co działo się wokół niego, jakimś cytatem z „Koła fortuny” albo używał tych mimowolnych wypowiedzi po to, by zwrócić na siebie uwagę. Christopher najczęściej mówił dalej, tak jakby Daniel się nie odezwał, ale sens jego słów był dla niego zrozumiały i miał takie poczucie, jakby prowadzili zwyczajną rozmowę.

– Wyjeżdżam dziś z Dartmouth. Ty i mama poprowadzicie za mnie księgarnię, kiedy będę w Paryżu. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Paryżu? Polecę tam samolotem odrzutowym.

Daniel znalazł kolejny kamień i rzucił go na drugą

stronę.

– Taka bajka o Woodentopach – powiedział znów Daniel. – Była sobie mama Woodentop i dzidzia, a po wszystkich był bardzo największy łaciaty pies, jakiego widziałeś. – Daniel stanął nad samym brzegiem, pochylił się i zanurzył palce w wodzie, potem położył się na drewnianych deskach i zaczął wymachiwać ręką. Rozpryskując wodę wokół siebie, wyglądał jak zupełnie zwyczajny siedmiolatek, a Chris poczuł się winny fali ciepłej czułości, jaka rozlała się w jego sercu. Dlaczego miałyby kochać tego chłopca bardziej, gdy wygląda na normalnego?

Chris rozciągnął się obok syna, zwiesił ramię na dół w ten sam sposób, pozwolił palcom zanurzyć się w wodzie i poczuć nurt rzeki.

– Nie wyjeżdżam na długo, nie będzie mnie może z tydzień. Mama się tobą zaopiekuje.

– Każdy rząd ma swoje służby specjalne – odezwał się znowu Daniel. – Ameryka – CIA, Francja – Deuxième Bureau, Anglia – MI5.

– Nie martw się. Mama poradzi sobie ze wszystkim, a ja wrócę, zanim się obejrzysz.

– To bajka o Woodentopach – powiedział Daniel.

– Masz rację.

Rzeka była od nich większa i bardziej trwała, a przy tym zupełnie nie obchodzili jej oni ani ich nastroje. Chris czuł chłód wody Dart i myślał o tym, ile razy już zanurzali dłonie w tej samej wodzie, myślał o szyprze

Chaucera, o latach piractwa i wojny domowej. Patrzył przez wodę na drugi brzeg, na brązowy piach i wybujałą trawę po tamtej stronie.

– Nic nigdy, przenigdy się nie zmieni – powiedział Chris. Wstał gwałtownie, nagle zniesmaczony sobą i całą tą sytuacją.

– Bajka o Woodentopach. I o CIA, Deuxième Bureau i MI5.

– Nie będzie mnie tylko przez chwilę. Nic ci nie będzie. Nic ci nie będzie – powiedział Chris. – Ja szybko wrócę, synku.

Christopher zamieszał coca-colę zieloną słomką, którą przyniosła mu stewardesa. Stwierdził, że z podniesionym oparciem i spuszczonej stolikiem zajmował naprawdę niewielki fragment powierzchni, nieprawdopodobnie mały.

Zamieszał słomką colę, ale bez rezultatu. Płynna zawartość kubka pozostała nieruchoma, doskonale stabilna, statyczna. Słoneczne promienie przesączały się przez plastikową szybę luku. Blask słońca sprawiał, że napój mienił się lśniącymi odcieniami pomarańczy i brązu. Poruszając słomką w płynie, miał poczucie, że czas się otworzył, że łatwo będzie mu się wyrwać, ale gdy uświadomił sobie, gdzie się znalazł, gdy pomyślał o pustych przestworzach, o powietrzu dookoła, o tym, że nie potrafi latać, zrozumiał, jak iluzoryczne było to wrażenie swobody.

Powiedział Abby, że musi spróbować rozwikłać pewną tajemnicę. Ten, kto napisał do niego z Paryża list, znał takie szczegóły z życia Chrisa, jakich znać nie powinien, a nawet nie mógł. Opisał na przykład, co się zdarzyło, kiedy Chris otrzymał rozkaz, by wejść na wieżę ciśnień i znieść stamtąd zwłoki strzelca, który zaplątał się w metalową drabinkę. Ciało już zeszywniało, nogi mężczyzny utknęły pomiędzy szczebelkami i żeby go stamtąd dźwignąć, musiał zrezygnować z próby zniesienia go w stanie fizycznie nienaruszonym. Miał dziurę w klatce piersiowej, Chrisowi przyszło więc zmierzyć się także z płynami, które zawiera każde ludzkie ciało, zmieszanymi z obrzydliwą cieczą wylewającą się z trupa dopiero po śmierci. Chris był przytłoczony parszywym smrodem i sztywnością zimnych kończyn tego człowieka.

Abby nie rozumiała, dlaczego Chris miałby interesować się francuską polityką i właściwie o co chodzi tym studentom z Sorbony. Dlaczego on się miesza w to wszystko? Ale Chris powiedział jej, że autor tego listu wie, jak czuje się ktoś, kto przeżył wojnę. Zna poczucie winy i wrażenie nieobecności Boga, które kryją się za przetrwaniem. Wojna to zdarzenie chaotyczne i bezlitosne, i nawet jeśli wybucha z jakichś powodów, żaden z nich nie zmienia faktu, że każda przemoc i każda śmierć jest pozbawiona sensu i bezcelowa.

Christopher przyznał, że wcale nie zależy mu na tym,

żeby dowiedzieć się, skąd francuski student o radykalnych poglądach zna ciemne szczegóły jego biografii. Nie dlatego tam jedzie. W rzeczywistości wojennej odnajdywał się z wielkim trudem, ale i przedtem, kiedy poszedł na uniwersytet, był jakby nie na swoim miejscu, podczas gdy jego ojciec nigdy nie miał podobnych kłopotów.

Kiedy Alan był osiemnastoletnim dzieciakiem, jego przyjaciel, wydawca „The Elizabethan”, oznajmił, że chętnie wyprowadziłby poza Cambridge wychodzące tam pismo „Granta”, i Alan się na to zgodził. Powiedział, że mógłby zostać jego redaktorem. W ten sposób opuścił Westminster i został liczącym się pisarzem. Po prostu podjął decyzję.

Christopher, z drugiej strony, był zbyt świadom wszelkich przeszkód. Na przykład teraz, w samolocie, okrągłe okienko otwierało widok na kawałek świata, którego nigdy nie da się zobaczyć w całości, i dlatego Chris nigdy nie potrafił podejmować decyzji.

Kiedy przyszedł ten list od francuskiego wielbiciela, który go namawiał, by się przyłączył, Abby chciała się dowiedzieć, co stało się w Paryżu. Odtworzyła sobie historię tych wydarzeń na podstawie egzemplarzy „International Herald Tribune” oraz „Timesa”, bo obie gazety można było dostać w sklepach spożywczych w Devon. Opowiedziała mu o przerwaniu ceremonii otwarcia basenu i o tym, jakie kłopoty sprawiają studenci w Nanterre i Paryżu. Byli młodymi ludźmi,

którym powiedziano, że ich droga prowadzi donikąd, że francuska polityka ekonomiczna nie przewidziała dla nich właściwie miejsca.

– Ale zaczęli działać – powiedział Chris. – Podjęli decyzję.

17.

Na Sorbonie znalazł przytulną kafejkę, ze stolikami na zewnątrz i parasolami w czerwono-biało-niebieskie paski, dokładnie naprzeciwko ulicy, przy której znajdowało się centrum dowodzenia zagniewanych studentów. 2 maja Daniel Cohn-Bendit został zawieszony w prawach studenta Nanterre, po postępowaniu dyscyplinarnym w sprawie wydarzeń z 22 marca, i tego samego dnia spłonęła sala związku studentów. W telewizji pojawił się dziekan Grappin i poinformował, że zamyka kampus, studenci w odpowiedzi wyszli na ulice, akurat wtedy, kiedy Christopher czekał na swojego drinka. Na przykład Cohn-Bendit pojawił się z megafonem dokładnie w tym samym momencie, w którym Chris dostał swoją mimozę i nie wiedział, ile ma za nią zapłacić, bo zasłuchał się w słowa Cohn-Bendita, próbując coś zrozumieć. Jego francuski był bardzo zaśniedział, a mowa Cohn-Bendita bardzo rozwichrzona.

Chris popijał swój poranny koktajl i patrzył. Miał pusty brzuch i zastanawiał się, czy nie zamówić herbaty, żeby złagodzić działanie szampana, ale kiedy pojawił się kelner, zamówił filiżankę mocnej kawy. Christopher spojrział na wieżę Sorbony, kopułę i potem znów na

studentów na ulicy. Barokowe dekoracje tej walki, budynek Sorbony z kolumnami, ozdobnymi posągami, majestatyczna powaga instytucji, przeciw której się buntowali, zdawały się działać na ich korzyść. Przecież rebelie i strajki zdarzały się tu już wiele, wiele razy od pierwszej rewolucji. Czemu więc nie miały się znów zdarzyć? Sorbona eksponowała swoją historię, przeszłość malowała się na marmurowej elewacji, sprawiając, że każda zmiana wydawała się możliwa.

Studenci wyglądali całkiem przyzwoicie. Chłopcy mieli krótko obcięte włosy, nosili sportowe marynarki i krawaty, a dziewczęta długie włosy, spódniczki i sukienki. Chris zastanawiał się, który z nich nazywa się Gerrard Hand. Zastanawiał się, jak on wygląda.

Stół, przy którym siedział Christopher, był wyślobiony, pełen rowków. Wizerunki zwierząt – wężów, kaczek, jaszczurek, sów – zostały wyryte w marmurowym blacie, na krześle obok ktoś zostawił egzemplarz broszury zatytułowanej *O nędzy studenckiego bytu*. Zaczytał się we francuskim tekście, a w tym czasie kawa mu wystygła. „Przebudowa świata i przemiana struktury życia społecznego są dla proletariatu jednym i tym samym. Dla proletariatu rewolucja jest albo świętem, albo jej nie ma”.

Chris nie był pewien, czy dobrze rozumie ten tekst. Nie widział wyraźnego związku między pierwszym a drugim zdaniem. Wyjął list Gerrarda z wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki, oddzielił go od

poprzerabianych ogłoszeń prasowych, przysłanych w tej samej przesyłce.

Disneyowi i Slesingerowi udało się nakręcić filmy animowane na podstawie książek ojca, a jedno z tych ogłoszeń było reklamą pierwszego z nich, zatytułowanego *Kubuś Puchatek i miiododajne drzewo* – widać było na nim misia stojącego przed dużym lustrem i zakrywającego oczy krępyimi łapkami. Gerrard wymazał oryginalny podpis spod rysunku i zastąpił go francuskim napisem.

„Wszystko, co niegdyś po prostu żyło, teraz staje się odbiciem”. W tym kontekście można było uznać, że miś zakrywa oczy, bo nie chce widzieć własnego odbicia w lustrze.

Tubę wzięła teraz studentka. Krzyczała coś na temat Nanterre, ale Chrisowi wydawało się, że protestują przeciwko wszystkiemu. Nieśli transparenty sprzeciwiające się dyskryminacji rasowej, wojnie w Wietnamie, pracy, „przemysłowi edukacyjnemu”. Ktoś napisał po angielsku, że robotnicy powinni złożyć „ciała na silnikach i trybach, żeby je zatrzymać”, Studenci byli przeciwko wszystkiemu i wszystkiego chcieli. Jeden z nich trzymał tablicę z napisem „Zabrania się zabraniać”.

Czy to przesłanie miało być prowokujące czy też absurdalne? Przypomniał sobie pewną żartobliwą linijkę z jednej z książek ojca: „Czy kiedykolwiek zatrzymałeś się, żeby pomyśleć i zapomnieć zacząć na nowo?”.

Mówił do nikogo, sam do siebie. „To nie jest fajka”. Chris wypowiedział te słowa na głos, w powietrze. Widział te słowa na obrazie pewnego Belga nazwiskiem Magritte, komercyjnego artysty, który najpierw projektował tapety, a potem znalazł sposób na to, by dostać się do muzeów, malując gładkie realistyczne obrazy pytające o surrealistyczne wizje. Chris widział obraz z fajką w „Timesie”, w dziale poświęconym sztuce. Wizerunek fajki, która nie jest fajką, nosił tytuł *Zagadkowe życie przedmiotów*.

Dzieło to nie zrobiło większego wrażenia na Chrisie, ale doceniał jego odkrywczość. Jedynym powodem, dla którego go zapamiętał, był towarzyszący mu artykuł, głoszący – odkrywczo albo wręcz przeciwnie – że twórca, o którym mowa, René Magritte, był surrealistą, a surrealizm z kolei był reakcją na okrucieństwa wojny, szczególnie okrucieństwa pierwszej wojny światowej. To karabin maszynowy, a także, w przypadku Magritte’a, inwazja na Belgię spowodowały powstanie wizerunku fajki, która zaprzecza własnemu istnieniu. Świata nie dało się już dłużej malować; fajka nie była już fajką. Po pierwszej wojnie światowej w Europie nie pozostało już nic poza poczuciem, że wszystko się porozłączało, i to właśnie Magritte usiłował przenieść na swoje płótna, niczym płonące trąby czy gigantyczne zielone jabłka.

– To nie jest fajka – powtórzył Christopher.

Po drugiej stronie Boulevard Saint-Michel pojawili się

policjanci w kepi. Wmaszerowali na plac, a Chris o mało się nie zakrztusił. To było nierealne. Policjanci rzucali w tłum granaty z gazem łzawiącym. Ten atak, zamiast rozproszyć studentów, sprawił, że ich liczba zaczęła się rozrastać. Skąd oni się pojawiali, ci chłopcy i te dziewczyny? I jeszcze ważniejsze: dlaczego? Współczesna Europa była gorzką pigułką powlekaną słodką osłonką i wszyscy oni będą musieli ją jakoś przełknąć. Po co to wszystko? Bez sensu. Może były i prawdziwe problemy, jak na przykład konflikt we francuskiej Algierii, który zachwiał pozycją Francji, ale ci studenci byli zaledwie dzieciakami, kiedy skończyła się tamta wojna. Tak, to, co Amerykanie wyczyniali w Wietnamie, było z pewnością straszne, ale to chyba nie był faktyczny powód. A jednak to się działo, pojawiła się policja, połała się krew, a oni ani drgnęli.

Może, jak głosili, mieli dość lukrowanych pigułek. Sprzedawano im jakąś wersję ich samych, czytali w książkach i gazetach o swoich wyimaginowanych przeciwnikach, widzieli swoje fałszywe wizerunki w teatrze, na ekranach telewizorów i nie mogli dłużej znieść tej farsy.

Chris nie zdołał się opanować. Kiedy jeden z policjantów uderzył młodego człowieka w okrągłych okularach i czapce z daszkiem, jego ciało mimowolnie drgnęło. Bezwiednie zerwał się na równe nogi i zanim jeszcze postanowił jakoś zareagować, już szedł w tamtą stronę. Policjant ćwiczył pałkę na plecach chłopaka,

pchnął go twarzą w dół na bruk, postawił czubek buciora na karku studenta. Chris przepychał się między dziewczynami w wełnianych swetrach, pod transparentami i czarnymi flagami, w oparach gazu łzawiącego. Ukucnął za policjantem w mundurze, wyciągnął przed siebie obie ręce, chwycił funkcjonariusza za kostki i pociągnął go za nogi. W ten sposób odciągnął gliniarza kilka metrów od chłopaka, zanim pojawili się następni dwaj oficerowie.

Chris uświadomił sobie, że atakując policjanta, zachował się jak idiota. Próbował coś naprawić, przeprosić, ale tamci zaczęli go bić. To sprawiło, że poczuł się oczywiście jeszcze większym głupcem, a potem wpadł w gniew. Wkładali w to zbyt wiele siły. Kiedy uderzył twarzą o bruk, próbował poskarżyć się po francusku, najlepiej, jak potrafił, ale usta miał pełne krwi, mózg wstrząśnięty i zdołał wydobyć z siebie tylko zniekształcone angielskie słowa.

– Nie możemy wszyscy – powiedział Chris, kiedy dwóch oficerów podniosło go do pionu i powlekło w stronę policyjnej furgonetki. – Nie możemy wszyscy i nie wszyscy to robimy – wyjaśniał.

Gerrard odnalazł Krzysia w więziennej celi pod muzeum policji. Bohater bajki miał wielki worek lodu owinięty w zielony ręcznik i przykładął go do rany nad lewym uchem. Rozpoznanie go, odkrycie, że ten mężczyzna w średnim wieku, mówiący kiepskim

francuskim z eleganckim brytyjskim akcentem, to Krzyś ze Stumilowego Lasu, zajęło Gerrardowi kilka godzin, ale gdy tylko zyskał pewność, nie wahał się ani chwili i postanowił się przedstawić. Przeszukał jego kieszenie, znalazł trzy słomki do picia i ułożył na wełnianym kocu pomiędzy nimi. Słomki miały czerwone i zielone pionowe paseczki. Z dwóch Gerrard ułożył kształt V, trzecią położył w poprzek.

– Poznajesz to? – spytał.

– Słomki do picia.

– To dla ciebie tylko trzy słomki, ale dla wykształconych to dużo, dużo więcej – powiedział Gerrard.

– To A – powiedział Christopher. To był motyw wzięty z jednego z rozdziałów. Kłapouchy pokazał innym literę A, ułożoną z patyków.

Gerrard uśmiechnął się.

– Litera A. Zgadza się – powiedział. Otwierał usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale zamknął je, widząc trzy dziewczyny stojące przy kracie w celi naprzeciwko. Patrzyły na niego. Gerrard wstał i przycisnął twarz do krat, żeby odezwać się do blondynki.

– Czy ma pani może kabriolet 2CV, mademoiselle? – spytał.

– Tak, proszę pana. Dlaczego pan pyta?

– Gdzie jest Natalie?

– Ty jesteś Gerrard? Natalie powiedziała mi, że już się z tobą nie spotyka.

Gerrard wyczuwał za plecami rosnące zniecierpliwienie Christophera. Słyszał, jak kaszle i wierci się na pryczy, ale nic nie mógł na to poradzić. Chciał dowiedzieć się czegoś o Natalie.

– Jesteś katoliczką, prawda? Nie przepadasz za mną?

– Ja już nie jestem katoliczką – powiedział dziewczyna. – Jestem rewolucjonistką.

Znów się uśmiechnęła. Wszyscy zaczęli się uśmiechać i wymieniać uśmiechy. Blondynka ściągnęła do tyłu swoje długie włosy, przyłożyła palec do górnej wargi, jakby się nad czymś zastanawiała, potem pokręciła przecząco głową i przestała się uśmiechać.

Christopher poklepał Gerrarda po ramieniu.

– Ty jesteś Gerrard? – zapytał.

Gerrard popatrzył na trzy słomki na zielonym kocu. Przez zakratowane okno sączyło się do celi słoneczne światło, rzucające cień na cementową podłogę. Christopher miał na twarzy zmarszczki, zmarszczki pełne zgryzoty.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego ty... to znaczy, czego właściwie ode mnie oczekujesz? – spytał Chris.

Sens dekomponowania Krzysia, wycięcia go z ram Devon i wklejenia do podziemi policyjnego muzeum krył się w tym, by przekształcić Paryż. Był jego bronią w walce, która długo nie nadchodziła, ale nareszcie nadeszła.

Chris był kimś nieprawdziwym, podrabianym i dlatego właśnie pomocnym. Gerrard próbował

wyjaśnić mu, że Stumilowy Las na niego czekał, opowiedzieć mu o snach i o tym, że przeszłość istnieje w teraźniejszości, ale Chris wciąż zaczynał od początku.

– To nie chodzi ani o ciebie, ani o mnie. To jest tak jak z tymi słómkami – mówił Gerrard.

– Doprawdy?

– One są tylko trzema głupimi słómkami wtedy, kiedy nie wiesz, jak je interpretować, jeśli nie wiesz, że składają się na literę A, ale jak już się dowiesz, że to A, nie możesz już tego nie wiedzieć. Jesteś tu po to, żeby pokazać ludziom nową literę A.

– Bardzo po francusku – powiedział Chris. – Chciałem powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– Posłuchaj! Ty dobrze wiesz, dlaczego do ciebie napisałem. Ty jesteś Krzysiem – wyjaśniał Gerrard.

– Nie jestem. Te książki, które przeczytałeś, nigdy nie opowiadały o mnie – oznajmił Chris. Ściągnął zielony, przesiąknięty krwią ręcznik ze swojej głowy, popatrzył na zakrzepłą krew w fałdach froty, zaschniętą w nich kałużę krwi. Przełożył ręcznik, szukając czystego kawałka, i znów przyłożył go do rany.

– Czemu miałbym potraktować cię poważnie? – spytał Chris.

To rozśmieszyło Gerrarda. Roześmiał się, nie szyderczo jednak, ale tak, jakby coś sobie uświadomił i cieszył się z tego.

– Już potraktowałeś mnie poważnie – powiedział

Gerrard. – Mimo wszystko jesteś tutaj.

18.

Kiedy malarz Donald Berreby podszedł do niej w Café Carbon, Natalie dała się poderwać. Sprawdziała prawdziwość rzeczywistości; Guy Debord żalił się, że studenci popełnili błąd, nie wykorzystując całości uwarunkowań, a ona obserwowała Alice Becker Ho, która dotykała jego karku, starając się go uspokoić. Natalie patrzyła na Alice i widziała jej zazdrość. Mogła wyrecytować z pamięci numery tych stron z *Witaj, smutku*, które pokazywały zazdrość Cecylii, a było tego niemało. Natalie wiedziała nawet, dlaczego Cecylia była zazdrosna. Zatrzymała na stronie czterdziestej piątej, znalazła czwarty akapit i przeczytała ostatnie zdanie: „Siedzieliśmy we troje na tarasie, pełni niedomówień, ukrytych niepokojów i szczęścia”.

Natalie zatkała nos, zamknęła usta i odliczała w myślach, kiedy podszedł do niej Donald Berreby. Usiadł naprzeciwko niej i powiedział, że jest piękna. I nie był to komplement, dodał, lecz zwyczajne stwierdzenie faktu. Drugi fakt był taki, że Donald potrzebował towarzystwa pięknej kobiety, aby świętować. Wskazał palcem na Deborda, który z ponurą miną kreślił coś na serwetce, i powiedział głośno jeszcze raz, tak aby Debord usłyszał.

– Potrzebuję pięknego towarzystwa, aby świętować nasze zwycięstwa!

Guy zerknął na Donalda, a potem odwrócił się i włączył do dyskusji toczącej się przy stole.

Natalie wyszła z Donaldem, który obiecał, że zabierze ją na dżin do Café de Flore, a na burgunda naprzeciwno, do Les Deux Magots. Donald Berreby był angielskim malarzem, wypadł z łask Deborda i jego bandy z dziesięć lat wcześniej. Był przewidywalny. W wieku Deborda, ale wysoki, przystojny, o prostych czarnych włosach i jasnych oczach. Podobał się jej w tej idealnie wyprasowanej koszuli i dżinsach.

– Dziś wieczorem powinniśmy bawić się tak, jak bawią się bogacze, i sprawdzić, czy poczujemy różnicę – powiedział Donald. Wziął Natalie pod ramię, a kiedy wychodzili na ulicę, dziewczynie przyszło do głowy, że bierze udział w jakiejś farsie. Berreby miał nieprzeniknioną twarz. Gdy już wyszli, ruszył prosto do celu i pociągnął ją za sobą, choć zatrzymał się, gdy na nią spojrział.

Wyglądał naprawdę pociągająco, gdy stał na ulicy z beżowym wełnianym płaszczem przerzuconym przez ramię. Przypominał jej trochę Cyryła Saganki: „Był wysoki i chwilami piękny tą urodą, która budzi zaufanie”, nawet jeżeli wywracał swoją żaglówkę, a zwłaszcza wtedy, co właśnie miało miejsce, zabierał cię do apartamentu swojej przyjaciółki na Saint-Germain, żebyś mogła przebrać się z czegoś, co nazwał

domowym strojem robotnicy, w coś bardziej eleganckiego.

Apartament należał do niegdysiejszej przyjaciółki rodziny Wright, a choć mieścił się na najwyższym piętrze i miał nisko zawieszony sufit, był urządzone z pewnym przepychem, miał kryształowy żyrandol, tapety na ścianach i ozdobną toaletkę.

– Wydaje mi się, że dobrze ci będzie w czerwonym – powiedział jej Donald. – Dla siebie znajdę po prostu krawat.

Natalie weszła do łazienki, żeby się przebrać, złapała zasłonę od prysznicy, nie mogąc utrzymać równowagi, i o mały włos ściągnęłaby ją na ziemię. Była już pijana. Udało jej się rozpiąć bluzkę, zdjęć ją, a potem odkręcić prysznic tak, że mogła pochylić się nad słabym strumieniem wody, ale kiedy się obejrzała, sprawdzając, gdzie wetknęła swój egzemplarz *Witaj, smutku*, zobaczyła, że książka spadła z brzegu wanny. Podniosła ją i włożyła do umywalki. Wróciła pod prysznic. Starając się nie zamoczyć włosów, napiła się rdzawej wody, zakręciła kurek i zdjęła spódnicę. Potem stanęła, starając się utrzymać równowagę, myślała, co ma dalej zrobić.

Nie miała pojęcia, jak powinna się zachować wobec dziwnego mężczyzny, który ją wystroił, a jej podręcznik spuchł od wody. Ruszyła się, wślizgnęła w czerwoną, aksamitną wieczorową suknię i znów popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Sukienka była śliczna, dodała

jej pewności siebie. Natalie poprawiła rękami włosy, wsunęła bose stopy w pantofelki, szpilki z odkrytymi palcami. Wzięła swoją książkę, strząsnęła nad umywalką, ostrożnie chwyciła ją lewą ręką, a prawą otworzyła drzwi łazienki. Na zewnątrz czekał już Donald. Trzymał pod pachą obraz, który zamierzał zabrać ze sobą do Café de Flore. Umówił się tam na spotkanie z jakimś klientem. W ten sposób ueziera parę franków i kupi Natalie, pięknej kobiecie, która zgodziła się mu towarzyszyć, lampkę najlepszego paryskiego burgunda.

Donald rozłożył obraz, by mogła go podziwiać, a Natalie od razu przysły do głowy dziecięce kolorowanki z labiryntami, łamigłówkami i łączeniem punktów według kolejności. Okazało się, że malowidło nosi tytuł *Połączenia*.

– To po prostu parę kresek – powiedziała.

– Bardzo wnikliwe. Dziękuję. Chce ci się pić?

Kiedy znaleźli się w kawiarni, Donald zostawił ją samą przy stoliku i poszedł poszukać klienta, który chciał kupić obraz. Natalie miała wrażenie, że trwa to bardzo długo, ale minęło zaledwie kilka minut i wrócił do stolika z garścią pełną franków. Natalie poprosiła kelnera, żeby przyniósł jej porcelanową filiżankę pełną dzinu, a Donald zamówił butelkę pinot noir. Dzin był gładki i łatwy do przełknięcia, ale Natalie nie była pewna, czy jest lepszej jakości, czy nie. Czwarta

filiżanka dzinu była zawsze łatwiejsza do przełknięcia niż pierwsza. Pociągnęła kolejny łyk i poczuła coś w środku głowy, jakieś dzwonięcie. Odstawiła filiżankę i zapytała kelnera, czy mogłaby dostać coś do jedzenia, może kromkę chleba? I może szklanek wody.

Natalie zjadła i próbowała utrzymać się w pionie na krześle, używając dłoni i łokci, by wyprostować głowę. Patrzyła na ulicę przed restauracją, daleko, gdzieś za czerwonymi kanapami i żółtymi światłami. Nad bulwarem Saint-Germain powoli mościł się mrok. Zadziwiał ją panujący tam spokój.

Natalie była pewna, że bohaterka *Witaj, smutku*, Cecylia, przespałaby się z Donaldem. Uwiodłaby go i zostawiła w poczuciu, że od samego początku tak to właśnie wymyślił. Tak czy owak, Donald właśnie się zbliżał.

Natalie położyła dłonie na przemokniętym egzemplarzu książki, papierowa okładka była w nieco lepszym stanie, podeszła na stole, ale wiadomo było, że opuchlizna zostanie na kartkach na zawsze.

Donald wyciągnął z kieszeni marynarki mapę Paryża. Pokazał ją Natalie. Mapa została pocięta na kawałeczki, zdekomponowana i naklejona na nowo na powierzchni innej mapy, starszego planu Paryża. Zainspirowany przez Deborda Donald od dziesięciu lat zajmował się psychogeografią. Wprawdzie wyrzucono go z grupy, ale on pracował dalej. Powiedział jej, że policyjne barykady wzniesione wokół Dzielnicy Łacińskiej zostały

zbombardowane. Chciał obserwować, jak zmienia się miasto, jak przemienia się jego architektura.

– Miałeś to wszystko zaplanowane?

– Ani trochę – powiedział Donald, ale po chwili spojrzął na zegarek i zapytał, czy chciałaby jakiegoś drinka albo kolejną kawę, zanim będą musieli wyruszyć w drogę do Dzielnicy Łacińskiej.

– Dlaczego musimy stąd wyjść?

– Idziemy? Masz jeszcze ochotę na odrobinę dżinu?

W Les Deux Magots dżin był słodzony wodą sodową, a kelner odmówił przyniesienia jej alkoholu w porcelanowym kubku, dostała zatem szklankę z lodem, wodą sodową i dżinem. Tutejsze otoczenie wyglądało mniej więcej tak samo, nieco więcej było klasycznych kolumn, żółte światła lamp elektrycznych i kanapy wymoszczone czerwoną skórzaną tapicerką.

Natalie rozwinęła paryski kolaż wykonany przez Donalda. Tamten Paryż ze starszej mapy był znacznie mniejszy od tego nowoczesnego, zdemontowanego Paryża. Dawny plan był bardziej spójny. Natalie zastanawiała się, czy w mieście mogły mieszkać smoki.

– W którym roku została wydana ta oryginalna mapa?

– zapytała.

– W 1871. – Donald opróżnił kieliszek wina jednym haustem.

– Myślisz, że to jest rewolucja? Myślisz, że ta sytuacja się jakoś rozwinie? – pytała Natalie.

– To, co ja myślę, nie ma żadnego znaczenia –

powiedział. – Wszystko zależy od studentów, ludzi pracujących w fabrykach i od pięknych kobiet w pożyczonych balowych sukniach.

Figurki dwóch Chińczyków w kapeluszach z bambusowej słomki, kupców, od których kawiarnia wzięła swoją nazwę, patrzyły na Natalie i pozostałych siedzących tu turystów z niegasącymi, protekcyjnymi uśmiechami. Natalie dopiła swój napój z wody i dżinu, wytarła usta grzbietem dłoni.

– Zmęczyło mnie już czekanie, aż pokaże się tu Sartre i Simone – powiedziała.

– Nie podoba ci się tutaj? – zapytał Donald.

– Już teraz pamiętam, dlaczego Debord założył własną kawiarnię. Café Deux Magot. A poza tym ja nie jestem Anną Kareniną, która musiała czekać na swoją wielką szansę.

Donald spojrział na zegarek i pokręcił głową.

– Mamy jeszcze pół godziny. Jesteś pewna?

Bulwar Saint-Germain był obudowany witrynami sklepów oferujących manekiny i plakaty gwiazd rocka, antyczne komody i ekskluzywne jednorazowe gadżety. Skręcili w Rue du Bac i przeszli przez Pont Royal. Kiedy zatrzymali się, by popatrzeć na wodę, Donald wziął Natalie za rękę. Ale i tak zaraz ją puścił, żeby zapalić papierosa, a Natalie poczuła się nagle rozczarowana. Donald wcale nie chciał się z nią przespać, on naprawdę zamierzał tylko zaangażować ją w swoje starannie wykoncypowane przeżycie estetyczne. Zastanawiała się,

czy przyczyną jego obojętności był wiek. Szli razem w milczeniu, dotarli do Luwru, ogród i majestatyczny przepych, należący niegdyś do władcy, był teraz własnością narodu. Błądzili wśród pałacowych zabudowań, podziwiając fontanny i wtedy przyszło jej do głowy, że najlepszym sposobem na niego będzie bezczelna nachalność.

– Dlaczego nie chcesz przespać się ze mną? – zapytała.

– Dopiero się poznaliśmy – odpowiedział Berreby. – U mnie to zawsze idzie powoli.

– Zналиśmy się wcześniej.

– Słyszałaś o tej francuskiej parze, która ustanowiła rekord świata? – zapytał Donald.

– Nie.

– Pobili Amerykanów w konkurencji polegającej na tym, jak szybko da się obejrzeć dzieło sztuki. Przebiegli przez muzeum przez zaledwie dziewięć minut. Wydaje mi się, że to byli nowożeńcy. Słyszałem w radiu wywiad z nimi. Dziewczyna wydawała się zirytowana całym tym scenariuszem, ale skoro wzięła w nim udział, to musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

– Pytanie, jak długo chcę przebywać w środku. Sztuka powinna być tutaj, na ulicach.

Coś przykuło uwagę Donalda, bo zostawił ją i ruszył w kierunku Palais Royal. Natalie potykając się, pospieszyła, by go dogonić. Zdziwiła się, kiedy weszła na dziedziniec i zobaczyła, co go od niej odciągnęło. Wyłożony asfaltem dziedziniec został podzielony przez

namalowane na nim kropkowane linie. Na każdym kawałku przestrzeni o kwadratowym kształcie stał niewysoki biały betonowy słup w identyczne pionowe czarne pasy, ciągnące się wokół postumentu.

– Co to jest? – spytała Natalie.

Paski na kolumnach przypominały wzór, jakim można ozdobić markizę nad piekarnią. Były proste, nowoczesne, minimalistyczne. Donald wziął ją za ramię i poprowadził ku szachownicy. Natalie wyobrażała sobie jak wyglądają, idąc tak tuż obok siebie, para pięknych ludzi, którzy mają u stóp nowiuteńki wzór przypominający lukrecjowego cukierka.

Natalie otworzyła *Witaj, smutku* i znalazła następne linijki mówiące o długich pieścizotach, namiętych pocałunkach i obolałych wargach, ale nie było tam ani słowa o szachownicach czy lukrecji.

Zaczęło padać, zrobiło się mgliście, Donald zdjął swój płaszcz i okrył nagie ramiona Natalie.

– Jesteś cudowna – powiedział jej.

– Myślę, że jestem pijana – odpowiedziała Natalie. – Chcesz spróbować nas odnaleźć? – spytała go.

– Co?

Natalie otworzyła mapę Paryża, którą dał jej Donald, i rozłożyła ją na szczycie jednego z wyższych słupków.

– Możemy spróbować odnaleźć się na tej mapie – powiedziała. – Spróbuj pokazać, gdzie jesteśmy.

– Wydaje mi się, że nigdzie nas nie ma – powiedział Donald. – Jesteśmy poza mapą.

Natalie znalazła na planie Rue de Rivoli, ale ulica kończyła się przed Luwrem. Była ucięta.

Donald pochylił się nad mapą i pokazywał wszystkie miejsca, przy których wyrysował koło, plamę. Przesuwał palcem wskazującym wzdłuż linii łączących na papierze jedną część miasta z następną, wskazując miejsca, w których się na siebie nakładają.

– To jest rama – powiedział.

– Czy kiedykolwiek sprawdzałeś rzeczywistość? Próbowałeś kiedyś wstrzymać oddech albo przypomnieć sobie dzieciństwo, żeby upewnić się, czy to, co uznajesz za realne, jest naprawdę realne, naprawdę prawdziwe? – zapytała Natalie. Otoczyła ramionami jego kark i przytuliła swój policzek do jego twarzy. Miał szerokie ramiona, jego ciało było twarde, choć przy niej może nieco zbyt szczupłe i wyraźnie się od niej odsuwało.

– Do diabła – powiedziała Natalie. Znowu otworzyła *Witaj, smutku*, znalazła stronę dwudziestą trzecią i przeczytała ulubiony fragment.

– Myślę, że zaraz się zacznie – powiedział Berreby.

– Czekaj, skoro my jesteśmy poza ramą, to jak możemy mieć nadzieję, że cokolwiek osiągniemy? – zapytała Natalie.

Zanim wzniesiono barykady, Berreby zdążył się z nią już pożegnać. Było wprawdzie jeszcze dość wcześnie, ale on był z kimś umówiony, w innym pokoju, z jasnymi ścianami, wysokimi sufitami i szampanem na lodzie.

Jednak Natalie musiała zostać. Szła Dzielnicą Łacińską na wysokich obcasach, ubrana wciąż w czerwoną, balową suknię Karen Wright i patrzyła, jak studenci z Sorbony wykopują kostki brukowe.

Christopher i Gerrard zostali zwolnieni o dziewiątej wieczorem. Wiele się zdarzyło w czasie, kiedy oni siedzieli zamknięci pod policyjnym muzeum. Dziesiątki tysięcy wyszły na ulice, żądając uwolnienia zatrzymanych uczestników protestów 3 maja, co jednak tylko pogorszyło ich sytuację, bo policja nie chciała pokazać, że ustępuje. Kiedy rozpoczęli wypuszczanie zatrzymanych, w pierwszej kolejności dziewczęta i chłopców wywodzących się z dobrych rodzin (jedną ze zwolnionych najwcześniej była sąsiadka Natalie z akademika), robili to w tajemnicy. Policjant przychodził po studenta czy studentkę w środku nocy i wyprowadzał z celi.

Kiedy przyszli po Christophera, kiedy strażnik powiedział mu, że spokojny angielski gentleman nie pasuje do więzienia pełnego ultralewicowej hołoty, Christopher zaprotestował.

Jeśli chcą go wypuścić, muszą zwolnić razem z nim Gerrarda. Chris powiedział im, że Gerrard jest umyślowo chory i że on miał się nim zaopiekować. Gerrard nie potrafi sobie poradzić i bez wątplenia zginie w więzieniu, jeśli zostanie pozostawiony samemu sobie.

Okazało się, że policjant był bardziej niż zadowolony, mogąc się pozbyć ich obu. Christopher ledwo zdążył

podpisać oświadczenie, że wychodzą na własną odpowiedzialność.

Gdy za więzienną bramą otworzył brązową kopertę, zobaczył, że jego kieszonkowy zegarek został rozbity, a portfel opróżniony, ale wcale go nie okradziono. Wszystkie jego franki były w oddzielnej foliowej torebce, zamykanej na górze dziwnym zamkiem błyskawicznym.

Gerrard wyjął ze swojej koperty paczkę papierosów i podniósł ją do światła. Dostał to pudełko od Natalie niemal dwa miesiące temu, podczas okupacji Nanterre, 22 marca. Otworzył paczuszkę, wysunął papierosa i poczęstował Chrisa, który skinął głową i wziął go. Powiedział też, że nie pali. Próbował przyzwycząić się do palenia podczas wojny, ale mu się nie udało. A jednak wziął papierosa i przychylił się, kiedy Gerrard zapalił zapałkę, tylko potem zaczął się dusić i kaszleć.

– Obrzydliwe – powiedział.

Gerrard wziął od Chrisa papierosa i sam się nim zaciągnął. Był zbutwiały. Wyrzucił go i przydepnął, a potem schował paczkę z powrotem do koperty.

Gdy zbliżali się do Rue des Écoles, Gerrard rozpoznał z tyłu Natalie. Rozpoznał jej barki, kark, króciutkie jasne włosy, to, jak się poruszała, ką, jaki tworzyły jej ramiona, gdy swobodnie opuściła ręce wzdłuż ciała. Miała na sobie czerwoną suknię na cienutkich ramiączkach i stała przy Rue Saint-Jacques, patrząc na

zachód. Przez skrzyżowanie, przy którym stała, przelewał się uciekający przed czymś tłum studentów.

Gerrard podszedł bliżej, patrzył na włoski na jej szyi, a Christopher przeszedł na drugą stronę ulicy, by zobaczyć, co się dzieje. Gerrard położył dłoń na nagim ramieniu Natalie, a kiedy odwróciła się, żeby sprawdzić kto to, wyciągnął w jej stronę swoją kopertę, tak nią potrząsając, że paczka gitanesów wypadła wprost na jego otwartą dłoń.

Początkowo Natalie nie wyglądała na uszczęśliwioną widokiem Gerrarda, nie uśmiechnęła się i splótła ramiona w obronnym geście, ale po chwili wsparła ręce na biodrach i dała się poczęstować papierosem, kiedy chłopak wysunął go dla niej. W końcu, gdy pochyliła się, żeby dotknąć czubkiem papierosa płomienia zapalniczki zapalanej przez Gerrarda, popatrzyła na niego.

- Cały czas o tobie myślałem – powiedział.
- Słyszałam, że cię aresztowali – powiedziała.
- Właściwie to przed chwilą nas zwolnili.
- Was?

Gerrard odwrócił się, żeby przedstawić ją Krzysiovi Milne'owi, ale okazało się, że starszy mężczyzna odszedł. Christopher próbował przedostać się na drugą stronę Rue Saint-Jacques, ale tłum porwał go ze sobą w kierunku Sorbony. Gerrard bez zastanowienia ruszył za nim. Wziął Natalie za rękę i pociągnął ją za sobą w tłum, ale kiedy dotarli do skrzyżowania Saint-Germain and Rue Saint-Jacques, pochód zaczął się

blokować. Ludzie napierali na siebie ramionami, kiedy wszyscy naraz próbowali zawrócić, docierając do policyjnej barykady na Rue des Écoles.

– Powinniśmy być razem – powiedział Gerrard.

Stojąc na rogu Rue Saint-Jacques, patrząc nad głowami studentów na apartamentowce wzniesione w stylu Haussmanna, z żelaznymi balustradami i neoklasycznymi fasadami z wapienia, Gerrard zauważył, że stoi na błocie. Budynki o kremowych elewacjach postawiono na miękkiej ziemi, a studenci poruszali się na niej z trudem, stawiając krok za krokiem, krok za krokiem. Dogonili Chrisa za stosem kamieni. Znaleźli go za studencką barykadą na bulwarze Saint-Germain, wyciągał z piachu kamienie brukowe i podpowiadał studentom, w którym miejscu ułożyć kolejny głaz.

Kiedy Gerrard przedstawił Natalie Christopherowi, dziewczyna podała mu rękę. Zgubiła gdzieś po drodze buty. Wyglądała tak krucho, stojąc w błocie pomiędzy poprzewracanymi renault i peugeotami, kabrioletami i sedanami, tworzącymi trójbarwną barierę. Zatrzymali się przy rosnącym stosie kamieni za osłoną barykady, Natalie drżała w swojej czerwonej sukience bez rękawów.

– Będziesz miała skórę poparzoną od gazu. Powinnaś założyć jakąś kurtkę albo, jeszcze lepiej, powinnaś stąd odejść – powiedział Christopher i wręczył Natalie swój prochowiec. Natalie podała Gerrardowi książkę

i wsunęła ręce w rękawy płaszcza.

Gerrard odszedł od nich, wyszedł poza barykadę, na chodnik, dokładnie w tej samej chwili, w której policjanci zaatakowali kolejną porcją granatów z gazem. Policja była dość daleko, zielony dym snuł się po bruku, ale Gerrard nie mógł poruszać się dość szybko, brodząc w błocie.

Powietrze pozieleniało, Gerrard zobaczył przed sobą cętki i plamki. Wyciągnął palce, by dotknąć tych cętek i plamek. Zgiął się w pół od kaszlu, a potem zaczął się dusić i wymiotować. Uratował go Christopher. Wybiegł na ulicę, chwycił za kołnierz i wciągnął z powrotem za barykadę.

Pojawili się policjanci w skórzanych nieprzemakalnych płaszczach i kepi, z policyjnymi pałkami i zapasem granatów z gazem łzawiącym. Nadciągali ulicą w szyku bojowym, biegnąc rzędem i krzycząc chórem, ale choć robili ogromne wrażenie, musieli się jednak zatrzymać. Powitał ich grad brukowych kamieni, więc cofnęli się o metr i odpalili granaty z gazem. Rzucali gazowymi pociskami raz po raz, aż jeden ze studentów, chłopiec w okularach z czarnymi plastikowymi oprawkami, w starannie zapiętej wizytowej koszuli, upadł, przykrywając głowę rękami. Gerrard nie umiał powiedzieć, co go uderzyło, jeśli uderzyło, ale widział krew ciekącą po twarzy chłopaka. Policja zraniła jednego z nich.

Słyszeli, jak zbliżają się policjanci. Słyszeli

wywrzaskiwane polecenia nawołujące studentów do rozejścia się. Natalie chwyciła kamień z bruku. Oboje, Natalie i Gerrard, podnieśli się tak, żeby zobaczyć coś ponad stosem kamieni i osłoną z poprzewracanych samochodów. Młody chłopak z jasnymi włosami wymykającym się spod policyjnego hełmu był bardzo blisko, Natalie wycelowała i podniosła rękę. Kamień uderzył młodego gliniarza w twarz. Gerrard słyszał dźwięk łamanego nosa i widział, jak trysnęła krew.

– To była wielka satysfakcja – powiedziała Natalie.

Ktoś podał jej mokry zielony ręcznik, żeby przez niego wdychała powietrze. Wciąż drżała pod prochowcem Chrisa i nie przestała drżeć nawet wtedy, gdy rzucała kolejnym kawałkiem bruku. Podnosili oboje jeden kamień po drugim, aż Gerrard poczuł, że słabnie mu ramię, ale rzucać nie przestawał. Coś nim sterowało, coś kierowało nimi obojgiem.

19.

Kiedy pojawił się recepcjonista z zaspanymi oczami, ale gotowy do pracy, Christopher zapytał go, czy jest gdzieś w okolicy jakiś sklep z obuwem, bo zgubił w błotach Sorbony jeden ze swoich mokasynów. Zapłacił czekiem podróżnym i wziął klucz do pokoju na piątym piętrze. Gerrard miał rację, mówiąc, że to niedrogi hotel, choć chyba była to jedna z bardzo nielicznych jego zalet.

Christopher postanowił, że zanim pójdzie do pokoju, wypije w barze jednego drinka. O bagaż nie musiał się martwić, ponieważ zgubił walizkę, kiedy go aresztowano.

Chris zamówił szklaneczkę szkockiej whisky, przyniesiono mu trunek w kryształowym naczyniu, a potem zaczął się przysłuchiwać rozmowie toczącej się przy sąsiednim stoliku. Trzech chłopaków z obsługi hotelu dzieliło się erotycznymi marzeniami na temat kobiety mieszkającej na trzecim piętrze, opowiadając, jak po kolei robiliby to z nią. Najwyraźniej zwracała się do każdego mężczyzny z obsługi z prośbą o jakąś pomoc.

– Ona jest jak Brigitte Bardot na rowerze – powiedział jeden z nich.

– Czyli co? – zapytał inny.

– Taka wyzwolona. Wiatr dmucha i rozwiewa jej włosy – odrzekł ten pierwszy.

– Ale to ją trzeba dmuchać – roześmiał się trzeci.

Chris domyślał się, że strajkują. Zastanawiał się tylko, po co w takim razie w ogóle tu przyszli. Czy nie powinni raczej walczyć na ulicach, zamiast pojawiać się w hotelu, grać w szachy i odpalać papierosa od papierosa? Chris zupełnie nie rozumiał, czym się kierują, ale siedząc przy barze i obserwując ich, coraz mniej rozumiał swoją własną motywację.

Paryż mu nie odpowiadał. Chris nie był radykalny. Nie chciał wikłać się w spiski i nie miał nic wspólnego z teoriami i fantazjami hotelowych boyów i studentów. Kiedyś przyjaciel jego współlokatora, dość grubawy student, który wyróżniał się tym, że nosił brodę i, jak ojciec Christophera, palił fajkę z czereśniowego drewna, zapytał Chrisa, czy rozumie, o co chodzi w socjalizmie. I Christopher musiał przyznać, że nie rozumie. Nie był do końca pewny, co oznaczają definicje i fakty.

– To czemu tego nie sprawdzisz? Przyjdź na zebranie. Przekonaj się sam.

Przyjaciel jego współlokatora – miał na imię bodaj John – rozłożył ramiona w serdecznym, zapraszającym geście. Socjaliści z Cambridge byli blisko, by na dobre zniechęcić Christophera do równości, wolności i braterstwa. Spotykali się w pubie w okolicach Cambridge, lokal nazywał się Hogshead, mogli tam pić

piwo i herbatę oraz głosić absurdy.

Wojna w Europie była wojną imperialistyczną, wywołaną przez konkurujące ze sobą imperialistyczne potęgi, więc imperialistyczne państwo, jakim jest Anglia, walczy wyłącznie w interesach brytyjskiego imperializmu i niczego więcej. Prawdziwą nadzieję na światową rewolucję wiązali z Indiami. Socjaliści powinni prowadzić tam poważną agitację.

Chris zapytał, czy po rewolucji będzie jeszcze tradycyjny podwieczorek. Nie podobał mu się pomysł, by agitować do czegokolwiek, a już zupełnie nie odpowiadała mu idea poważnej agitacji. Nawet teraz czuł, że zupełnie nie pasuje do rewolucji. Był tradycjonalistą, uznał więc, że żadna rewolucja nie będzie go tolerować. Przecież żadna rewolucja nie będzie tolerować człowieka, który ma księgarnię i żonę. I żadna rewolucja nie może konkurować z przyjemnością przechadzki po alejkach ogrodu.

Christopher popił łyk szkockiej i już po chwili był pijany.

Cieszyły go irracjonalne aspekty posiadania księgarni, wszystkie te sztuczki i handelki. Nawet fakt, że sprzedaje byle jakie książki, po to, by zarobić na życie, wydawał mu się znakomitym rozwiązaniem. Sprzedawanie tej lichoty dawało pewność, że nie stanie się zbyt protekcyjnalny albo oderwany od życia.

Mówiąc uczciwie, oznaczało to, że jest dorosły. Jak zatem mógł dać się wciągnąć w ten dziecinny sen?

Walczył z policjantami na ulicy, jakby chciał coś udowodnić. Potrzebował działania, walki?

Wciąż był lekko pijany, kiedy zadzwonił do Abby z płatnego automatu w hotelowym holu. Ucieszyła się, kiedy usłyszała jego głos, i chciała się dowiedzieć, co się stało. Powiedział jej, że znalazł się w więzieniu, i próbował wyjaśnić, że zaatakował oficera policji, wytłumaczyć, dlaczego to zrobił, ale stwierdził, że jeśli chce, żeby coś wiedziała, powinien jej opowiedzieć o wojnie.

Christopher opuścił Cambridge, żeby wstąpić do armii, kiedy zobaczył, jak Londyn ucierpiał pod niemieckimi bombami. Miasto wydawało się bardzo odległe, ale gdy zobaczył na zdjęciu w gazecie tyle zniszczeń, zrujnowanych budynków publicznych, szeregowych domów mieszkalnych, poczuł, że musi wyjść naprzeciwko rzeczywistości, zmierzyć się z tym, co dzieje się dookoła. Zobaczył te fotografie i poczuł, że musi chronić swój dom. Wspólnie z ojcem zastawili miny i postawili blokady na drodze do Cotchford Farm.

Niemcy nigdy tam nie dotarli, miny okazały się nieużyteczne, ale tak właśnie należało się zachować. Gdyby w którymś momencie Niemcom udało się stanąć na wybrzeżu Sussex, oni z pewnością nie zastanawialiby się ani chwili i rozwinęliby drut kolczasty, i ustawili „zęby smoka”, takie niepotrzebne gesty sprawiły, że Chris miał potrzebę działań obronnych. Takie absurdalne działania, jak zaminowanie drogi, były

pierwszym, absolutnie koniecznym krokiem.

Po rozmowie z Abby przestał martwić się o demonstracje, policję i chłopaka, który go tu sprowadził, docenił swój schludny pokój, z okien którego rozciągał się widok na paryskie ulice. Podniósł ciężkie skrzydło okna, odetchnął świeżym powietrzem, w którym unosiła się woń gazu łzawiącego znad bulwaru.

Około północy Natalie przyniosła Chrisowi jego zgubiony but. Zastukała do drzwi pokoju, a kiedy je otworzył, wręczyła mu mokasyn, po czym bez zaproszenia weszła do środka i wspięła się na parapet. Stała tak, sięgając głową sufitu. Miała w jednej ręce butelkę dżinu, a w drugiej książkę Saganki.

Nie miała pojęcia, czego właściwie chce. Na siódmej stronie powieści Cecylia przyznaje, że zawsze bardziej interesowali ją przyjaciele ojca niż chłopcy w jej wieku. Mężczyźni pod czterdziestkę prawili Cecylii komplementy i mówili słodkie słówka.

Natalie zastanawiała się, czy Christopher patrzy na jej nogi. Przeciągnęła się i popatrzyła w drugą stronę, na widok za oknem. Paryż był ciemny. Widziała światła ulicznych lamp, jasne punkciki, ale budynki i samochody, rysy Paryża były zupełnie niewidoczne. Stała w oknie, a potem przeszła wzdłuż pokoju, stawiając bosc stopy na gzymsie. Wlaziła na szafę, podciągnęła się na półkę nad wieszakami, usiadła tam,

a potem odwróciła się i spojrzała na niego z góry.

– Chcesz drinka? – zapytała.

– Będę musiał wziąć szklanekę – odpowiedział Christopher.

Gerrard prosił ją, żeby przyprowadziła Christophera do niego, żeby sprowadziła człowieka, który był sławny tylko dlatego, że kiedyś zdarzyło mu się być dzieckiem. Gerrard miał nadzieję, że uda mu się wejść w nową fabułę, w inny sen, ale Natalie wciąż próbowała odegrać drugą linijkę ze strony siedemdziesiątej pierwszej oryginalnego wydania *Witaj, smutku*: „Po raz pierwszy w życiu poznałam tę niezwykłą rozkosz: przeniknąć kogoś, przejrzeć, obnażyć i... trafić. Tak jak ktoś lekko dotyka sprężyny, która w tym samym momencie odskakuje, spróbowałam z największą ostrożnością zgłębić drugiego człowieka i nagle wszystko w nim stało się dla mnie jasne”.

Chciała odkryć Christophera dla siebie. Wspinała się po ścianach jego hotelowego pokoju, żeby odkryć otaczające go granice.

Christopher podał jej papierowy kubek, który znalazł przy umywalce, a potem wręczył Natalie popielniczkę.

– Gerrard mówi, że możesz pomóc zmieniać rzeczy – powiedziała.

– Jakie rzeczy?

Natalie popatrzyła mu w oczy, a potem podciągnęła lekko skraj czerwonej sukienki, tak by usiąść po turecku.

– Wierzysz w przeznaczenie?

– Nie – odpowiedział Christopher.

– A w porządek przyczynowo-skutkowy?

– To naprawdę nie jest kwestia wiary.

– Jak możesz mówić, że nie wierzysz w przeznaczenie, skoro wierzysz w przyczynę i skutek? – zapytała.

Natalie wzięła łyżeczek dzinu. Arystokratyczne pochodzenie Christophera, wartości nabyte w Cambridge, królewska tradycja, wszystko było widoczne na powierzchni. Miał na sobie plastikowe, prostokątne okulary i wełnianą kamizelkę w charakterystyczne romby. Wszystko w jego garderobie i sposobie bycia, nawet poza, w jakiej przysiadł na brzegu łóżka, mówiło o jego klasie.

– Jeszcze odrobinę dzinu? – zapytał.

– Ależ oczywiście – powiedziała.

Kiedy próbowała spojrzeć mu prosto w oczy, Christopher odwrócił wzrok. Patrzył do kubka, który napełniał dzinem. Gdy nalał do pełna, ona wciąż trzymała kubek wyciągnięty w jego stronę, aż w końcu poddał się i popatrzył na nią.

Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

– Mogę zadać ci jedno pytanie? – zapytała.

– Spróbuj.

– O co chodzi z tymi Słoniami?

Christopher westchnął. Wstał z łóżka i podszedł do okna, przez chwilę myślała nawet, że zamierza wspiąć się na nie i usiąść obok niej na półce, ale nie zrobił tego.

Po prostu stał i patrzył przez okno.

– Twój przyjaciel Gerrard jest osobą nieźrównoważoną – odezwał się Christopher.

– Tak myślisz?

Christopher skinął głową, nie odwracając wzroku od szyby.

– W takim razie dlaczego tu jesteś?

Jego pokój hotelowy był czyściutki, znacznie czystszy, niż się spodziewała, ale było to dość plugawe pomieszczenie. Małeńkie, z wysokim sufitem, w budynku liczącym z trzysta lat. Nie było tu kurzu i pokój urządzony był bez zarzutu, ale ściany pożółkły ze starości, farba była popękana.

– Posprzątałeś w tym pokoju?

– Co takiego?

– Odkurzyłeś tu?

– Pomyślałem, że to pomoże mi zasnąć. Nie wiedziałem, oczywiście, że mnie odwiedzisz.

Natalie zeskoczyła ze swojego gniazda, znów napełniła kubek dżinem i usiadła na brzegu łóżka. Poklepała miejsce tuż obok siebie, zapraszając Chrisa, żeby usiadł przy niej, ale on tylko popatrzył na nią badawczo.

– Po co znowu tu przyszłaś?

– Gerrard prosił, żebym przyniosła ci but.

– A on gdzie jest?

– Zaczęliśmy okupację Sorbony.

– Rozumiem.

Christopher podszedł do niej, usiadł na łóżku i znów wstał. Podszedł do stolika nocnego i odkręcił butelkę dżinu, ale potem się zawahał. Stał przy łóżku, zastanawiając się, czy sobie dolać. Natalie skrzyżowała ramiona i czekała. Nie wiedziała, czy robi postępy. Każda dziewczyna potrafiłaby zrobić to samo. Czy o to właśnie chodzi w wolnej miłości, o bycie anonimowym? Miała na imię Natalie, ale równie dobrze mogłaby nosić imię Cecylia, Elza, jakiegokolwiek inne.

– Nie odpowiedziałeś mi jeszcze – powiedziała.

– A jakie było pytanie?

– O co chodzi ze Słoniami?

– Czytałaś książki mojego ojca? – spytał.

Nie, nie czytała, ale Gerrard opowiedział jej kilka historyjek. Mówił jej o pluszowych zwierzątkach i o lesie. I opowiedział o tym, że Krzyś obiecał misiowi, że zawsze będzie o nim pamiętał.

– Słoń to taki wyimaginowany stwór – powiedział Chris. Nalał sobie dżinu i usiadł obok niej.

– Stwór?

– Wymyślony stwór. To taki rodzaj stworzenia, że jeśli ktoś zastawi na niego pułapkę, może złapać w nią tylko siebie samego.

Natalie wyciągnęła się na łokciach i przymknęła na chwilę oczy.

– Gerrard mówi, że my szukamy Słoni.

– To przekłete zajęcie – powiedział zdawkowo Chris.

– Gerrard tak nie myśli – odrzekła ona.

Wyciągnęła ramiona do Christophera i objęła go za szyję. Przewrócił się na nią, wcale nie niezręcznie. Wsunęła język do jego ust. Smakował kawą i miętową gumą do żucia. Potoczyli się na łóżko, mnąc pościel, aż ona znalazła się na nim, obejmując nogami jego pas. Okulary Christophera zaparowały. Zdjął je.

– Wierzysz w Boga, Natalie?

– Nie. – Może wierzyli w Boga jej rodzice, ale ona nie. Bóg był dla niej facetem uśmiechającym się do niej z billboardu na stacji metra albo ze zdjęcia w jakimś piśmie. Był nowym biustonozem, zupą w puszcze, lukrecjowym lizakiem w papierku. Natalie nie była już grzeczną katolicką dziewczynką, mówiącą paciorki do Jezusa i lukrecjowych cukierków. Natalie chciała być niewdzięcznicą. Chciała pozbyć się Boga i społeczeństwa, przez które on przemawia.

– Ja też nie wierzę, ani w Boga, ani w Słonie – powiedział. Podniósł Natalie, zsunął ją z siebie, a potem usiadł i odwrócił się, żeby wstać z łóżka. – Musisz już iść.

– Muszę?

Christopher zdjął jej paczkę papierosów z półki nad szafą i wziął butelkę dzinu stojącą na nocnym stoliku. Podał jej jedno i drugie.

Natalie wzięła od niego butelkę, ale poprosiła o ostatniego papierosa, którego chciała wypalić jeszcze na miejscu.

Zaciągnęła się dymem i wypuściła.

– Czego ty właściwie chcesz? – zapytała.

– Ja niczego nie chcę.

– To co tutaj robisz? Dlaczego jesteś w Paryżu?

Christopher nie odpowiedział, otworzył tylko drzwi. Jeszcze raz zaciągnęła się papierosem i czekała, aż odpowie.

– Do widzenia.

Poszła we wskazanym kierunku i właśnie wychodziła, już prawie była na korytarzu, kiedy nagle przypomniała sobie o Gerrardzie.

– Czekaj. Przecież ty miałeś pójść ze mną.

20.

Tego ranka w pracowni plastycznej Akademii Sztuk Pięknych Christopher dołączył do sekcji propagandy. Pomieszczenie było obwieszane dookoła arkuszami papieru plakatowego, zawieszonymi jak pranie na linkach. Stało tu też pół tuzina roboczych stołów, każdy z nich zastawiony był plastikowymi kubkami z farbą i innymi chemikaliami, glinianymi pojemnikami wypełnionymi piórkami i skalpelami, na każdym stała też drewniana rama z naciągniętym jedwabnym pergaminem. Jakaś dziewczyna w okrągłych okularach i płóciennej koszuli z podwiniętymi rękawami, o brązowych włosach upiętych w kok, wzięła wałek do ciasta i rozprowadzała atrament po naciągniętym na ramie jedwabiu. Wzięła szpachelkę, żeby oddzielić papier od ramy.

Lśniące, jednobarwne plakaty miały kolor czerwony albo czarny, albo niebieski, albo zielony i Christopher patrząc na nie, poczuł niezwykły przypływ optymizmu. Rysunkowy wizerunek niebieskiego policjanta, w hełmie i goglach, z policyjną pałką wydrukowany na kremowym papierze, wydał mu się dziwnie znajomy.

– Mam w domu podobny plakat, w takim samym stylu – powiedział. – Znalazłem go w księgarni jeszcze

w 1961 roku.

– Jeden z tych? – zapytał Gerrard. – A który?

Jeden z nich przedstawiał grafikę, na której zarys Kaplicy Sorbońskiej przenikał się z obrazem fabryki. Proste przesłanie plakatu głosiło: „Uniwersytet Ludowy? Tak!”. Inny pokazywał premiera Georges’a Pompidou jako kurczaka. Jeszcze inny przedstawiał wzorcową fabrykę podpisaną słowami: „Maj 68, początek walki długotrwałej”.

– Wszystkie są po trosze do niego podobne – powiedział Christopher. – Rysunki są w tym samym stylu, ale żaden z nich nie jest taki sam jak ten mój.

Ustalono zestaw wspólnych symboli i określoną stylistykę, którą musiał przyjąć każdy, kto miał dołączyć do sekcji, ale udział w jej pracach był prosty, jeśli opanowało się te reguły. Natalie pokazała mu zaprojektowaną przez siebie grafikę. Dłoń uderzająca w sam plakat, wzniesiona pięść, która rozbija jego środek, a pod spodem napis: „Przebij się przez swoje życie”.

Kolejny plakat przedstawiał kobietę, której głowa była owinięta bandażami, a usta spięte agrafką. Jej oczy wyglądały jak tablice strzelnicze. Podpis głosił: „Młodość zbyt często niepokojona przez przyszłość”.

Christopher znalazł swój plakat zaraz po tym, jak Gerrard wyciął z papieru szablon, przedstawiający brązowego misia siedzącego z baryłką miodu i otoczonego kręgiem policjantów. Niedźwiadek

szczyrzył zęby, a policjanci czaili się bezradnie z pałkami. Poza misiem były jeszcze dwie postaci. Jedna przytulała niedźwiadka, stojąc na jego kolanach i obejmując go za szyję, druga klęczała przy jego lewym boku. Napis, umieszczony nad ramą, głosił:

*VOUS NE RÉCUPÉREREZ PAS CET OURS DANS SON
CAGE.*

Gerrard wykonał swój plakat pomarańczową farbą na żółtym papierze o jedwabnej powłoce. Wytłoczył trzysta kopii.

Tego popołudnia cała ich trójka dołączyła do kontyngentu studentów okupujących Sorbonę, głównie organizatorów Ruchu 22 Marca i innych członków Wściekłych, wyruszających pochodem do fabryki Renault. Gerrard i Natalie nieśli rulony plakatów, a Christopher dźwigał czerwony emaliowany garnek wypełniony po brzegi mącznym klejem.

Studenci byli ubrani oficjalnie – mężczyźni mieli na sobie sportowe marynarki i wąskie krawaty; kobiety zielone spódnice i czarne golfy – z wyjątkiem Gerrarda i Natalie, obdartych i brudnych. Gerrard był wciąż w tych samych amerykańskich dzinsach, które miał na sobie, gdy Christopher spotkał go w więzieniu, a Natalie była ubrana w suknię balową, która przestała już być elegancka. Zamiast pantofelków na szpilkach miała dwukolorowe półbuty na płaskim obcasie, które na nią

nie pasowały. Kiedy szła, zbyt duże buty zsuwały się z jej stóp.

Mokasyny Christophera były wciąż mokre po praniu w zlewie hotelowego pokoju, kiedy zaś bruk zmienił się w asfalt, a wreszcie w błoto coraz szerszych ulic, poczuł, że woda przesiąka przez skórzane buty i wsiąka w tkaninę skarpetek.

Tłum robotników z fabryki samochodów zgromadził się wokół bram fabryki, otaczając przedstawiciela związków zawodowych, który stał na mównicy po prawej i pocił się przez tkaninę trzyczęściowego wełnianego garnituru. Mówił powoli, prosto do mikrofonu, informując wszystkich, że właśnie odbywa się jednodniowy strajk, trwa okupacja fabryki i jeśli robotnicy czekający na zewnątrz zechcieliby dołączyć do swoich towarzyszy w środku, trafiliby prosto na odbywające się tam walne zgromadzenie.

Natalie trąciła Christophera i wskazała na dach fabryki, stało tam ze stu robotników w kombinezonach i kaskach. Machali do białych okularników z uniwersytetu, stojących w dole. Kiedy już zwrócili na siebie uwagę studentów, przesunęli się wszyscy na brzeg dachu. Gerrard pomyślał nawet, że zamierzają z niego zeskakiwać, ale oni, zamiast zmierzać ku autodestrukcji, zaintonowali pieśń. Christopher rozpoznał tę melodię. To była *Międzynarodówka*, którą bez wahania podjęli Wściekli i ludzie z Ruchu 22 Marca.

– Powinniśmy zabrać się do roboty – powiedział Gerrard. Najpierw wskazał na podwójne drzwi, ale zmienił zdanie i machnął ręką w lewą stronę.

Christopher ruszył w tłum za nim, choć martwił się, że plakaty nie będą się trzymały szorstkiego kamienia fabrycznego muru. Szerokimi pędzlami smarowali powierzchnię ściany, wypełniając jej pęknięcia glutowatym żelazem. Rozpostarli plakat przedstawiający sylwetkę Charles'a de Gaulle'a przemawiającego wewnątrz czterosuwowego silnika, a potem wygładzili papier dłońmi, żeby przesunąć pęcherzyki powietrza do samych krawędzi arkusza. De Gaulle'a dawało się rozpoznać po nosie, który wystawał znacznie poza obrys rąbka jego kepi.

Hasło u dołu plakatu głosiło: „Zniszczymy stare napędy”.

Na następnym plakacie również widać było silniki, tym razem tylko naszkicowane koła pozbawione zębatek. Z prawej strony plakatu wyłaniała się dłoń, która zatrzymywała pracę mechanizmu palcem wsuniętym pomiędzy silniki. Tu napis głosił: „Ustąpić niewiele znaczy przegrać wszystko”.

Pracując, śpiewali: „Bój to jest nasz ostatni, krwawy skończy się trud, gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”.

Kiedy ucichły słowa pieśni, do mikrofonu podszedł przedstawiciel Confédération Général du Travail, ale zdołał wyjąkać zaledwie kilka słów. Problem

gromadzących się robotników, człapiących chaotycznie wokół fabryki, nagle stał się jasny. Byli imigrantami i mówili po włosku albo algierską odmianą arabskiego, nie mogli zatem reagować na apele formułowane po francusku. Mężczyzna zasłonił mikrofon prawą dłonią i pochylił się do innego przedstawiciela związków, który dołączył do niego na mównicy. Ten drugi urzędnik był szczuplejszy, wyglądał swobodnie w błękitnym garniturze i wydawał polecenia, którym przytakiwał pierwszy z mężczyzn. Ten pierwszy urzędnik w granatowej kamizelce wyprostował się, otarł pot z czoła i poprawił kosmyk czarnych sztywnych włosów tak, by na powrót zakrywały łysinę.

– Jak rozumiem, studenci Sorbony przybyli tu z chęcią pomocy i bycia użytecznymi, a my potrzebowalibyśmy kogoś, kto mógłby wyjaśnić istotę strajku pracownikom pochodzącym z zagranicy. – Urzędnik znów pochylił się do swojego zwierzchnika. – CGT przyjmie taką ofertę od razu. Prosimy więc, żeby któryś ze studentów mówiący po arabsku lub po włosku przyszedł na mównicę.

Akurat przyklejali pierwszy plakat z Kubusiem Puchatkiem, kiedy Natalie wręczyła Christopherowi swój zwitek i z powrotem zagłębiła się w tłum. Weszła na drewnianą scenę i podeszła do związkowców z CGT. Kiedy urzędnik podał jej kartki, z których odczytywał swój tekst, i pokazał jej, skąd powinna zacząć, wysunęła się do przodu, zmrużyła oczy, bo raziło ją słońce,

i odchrząknęła.

Mówiła po włosku, może niezupełnie płynnie, ale całkiem dobrze, chyba lepiej od Chrisa. Czytała:

– Pracownicy fabryki Renault okupują zakład pracy. Trzynastego CGT proklamowało strajk solidarnościowy w obronie osób zatrzymanych przez policję i aresztowanych oraz w proteście wobec działań policji. W dniu dzisiejszym robotnicy postanowili kontynuować strajk nie tylko ze względów solidarnościowych, ale także w obronie własnych interesów. Mamy swoje postulaty.

Christopher zaczął się zastanawiać nad tym, jak to możliwe, żeby ten pomarańczowy czy brązowy plakat, który teraz przyniósł do fabryki, stał się wcześniej jego własnością i leżał sobie w jego domu, w kartonowym pudle. Nie znajdował na to, przynajmniej we własnym przekonaniu, racjonalnego wytłumaczenia, musiały tu zadziałać jakieś siły nadprzyrodzone, musiał zdarzyć się jeden z tych tajemniczych cudów, które jeszcze podczas nauki w szkółce niedzielnej wydawały mu się absolutnie absurdalne. Jaki sens miało przeniesienie tego plakatu w czasie, w rok 1961, i o co chodziło teraz, kiedy to dziwne przesłanie znalazło się we właściwym dla siebie kontekście?

– Jesteśmy zmuszeni do życia w pomieszczeniach z prefabrykatów, niezdrowych i obrzydliwych, nie zgadzamy się na spanie w piętrowych łóżkach sięgających sufitu – czytała Natalie swym niepewnym

włoskim. – Pracujący człowiek nie może rano usiąść i się wyprostować, musi leżeć płasko na twardym materacu dostarczonym przez zarząd fabryki. A nawet jak wstanie z łóżka, to nie ma gdzie usiąść. W każdym pokoju znajduje się sześć krzeseł na dwunastu mieszkańców, więc możemy siadać tylko na zmianę. Brakuje nam centrum medycznego. Nie ma dostępu do pierwszej pomocy. Kiedy zachorujemy, musimy sami opłacić sobie leczenie i leżeć w tym małym pokoju, rozprzestrzeniając chorobę na naszych towarzyszy pracy.

Natalie spojrzała na listę, przerzuciła kartki, które głośno czytała, tłumacząc po kawałku kolejne fragmenty.

– Brakuje rozrywki innej niż telewizja – mruzczała. – Wszelkie odwiedziny, łącznie z wizytami rodzin, są zakazane. Nie wolno robić zdjęć. Gazety, ulotki – tłumaczyła Natalie. A potem podniosła wzrok i powiedziała, nie czytając, bez ściągki: – Tylko że to nieprawda. Nic z tego nie jest już prawdą. Już nie. Wy, towarzysze, przejęliście fabrykę. Posłuchajcie mnie i zrozumcie – mówiła – żadna z tych starych reguł nie ma już zastosowania. Nie musicie niczego żądać od właścicieli fabryki. Teraz to wy jesteście jej właścicielami.

Natalie upuściła kartki na scenę, ale zmieniła zamiar, pozbierała je i wyrzuciła w tłum. Urzędnik podbiegł do niej i odsunął ją. Powiedział po francusku:

– Ci studenci próbują doprowadzić do rozłamu w naszych szeregach tylko po to, by nas osłabić.

Natalie przepchnęła się z powrotem i krzyknęła do mikrofonu:

– Studenci was wspierają – powiedziała po francusku, potem po włosku i znowu po francusku. – Odebraliśmy uniwersytet i teraz jest nasz, ale także i wasz – mówiła. – A co wam obiecują związki zawodowe? Urlop? Kolorowy telewizor? – pytała.

Kiedy oficjalny przedstawiciel GCT wykonał gest, jakby chciał ją zmieść albo uderzyć, Natalie wycofała się zza mównicy. Odeszła od mikrofonu i poszła w stronę bramy fabryki, w stronę tych podwójnych drzwi, Gerrard zgarnął Chrisa, który zajmował się plakatem z Kubusiem, żeby ją dogonić, zanim wejdzie do środka.

We troje podeszli do wejścia, do drzwi fabryki, pozostali studenci zostali z tyłu, wśród cudzoziemskich robotników, rozmawiając z nimi, rozdając ulotki.

Gerrard nacisnął klamkę, brama była zamknięta. GCT zabezpieczyło przed nimi teren fabryki i choć Gerrard ciągnął mocno, drzwi ani drgnęły.

21.

Gerrard prowadził Chrisa wąskimi uliczkami Paryża i po drodze badał grząski muł, który zastąpił bruk. Okazało się, że pod kamieniami znalazł nie piaszczystą plażę, lecz błotniste bagno. Gerrard miał nadzieję, że odnajdzie las z drzewami wysokimi na kilkadziesiąt metrów, las, w którym zdoła się zgubić, ale nie było tu nic poza bagniskiem i ulicami zarzuconymi kawałkami wyrwanego z jezdni bruku, zaśmieconych porozbijanymi cegłami i zawalonymi poprzewracanymi samochodami.

Dwie kobiety w wełnianych sukienkach i rozpinanych swetrach pomagały sobie przy przechodzeniu przez pozostałości barykad blokujących jezdnię i chodniki Rue Dante. Chwyciły się pod ręce i trzymając między sobą siatki z zakupami jako balast, wspinały się ostrożnie na stos luźnych cegieł.

„Tak! Fabryki wzięte!” Napis po lewej ręce Gerrarda był przyklejony mącznym klejem do postumentu latarni i przyłgnał ściśle do wyłobień słupa lampy. Klej przesiąknął przez warstwę papieru, więc czerwone litery zmieniły barwę na fioletową.

Gerrard nie spał od czterech dni. Chciał sprawdzić, ile czasu może wytrzymać bez snu i co się stanie, jeśli

będzie dalej doświadczał rozmaitych sennych wrażeń na jawie. Jak długo uda mu się śnić bez snu?

– Musisz wynaleźć sobie jakąś nową grę – mówił Gerrard do Christophera. – Tę samą, którą wymyślił dla ciebie ojciec.

– O co ci chodzi?

Pomysł polegał na tym, żeby dzięki dekompozycji Christophera Gerrard zdołał odkryć Stumilowy Las, swój sen na jawie, który leżał gdzieś ukryty pod warstwami kamieni i popiołu. Wciągając Krzysia w strajk, Gerrard pragnął użyć jego historii jako fabuły dla kolejnego snu, snu, który będzie przeżywał w rzeczywistości, ale już na następnym, wyższym poziomie. Szedł w kierunku rzeki, licząc kroki, wdychając głęboko zielone powietrze i próbując wyjaśnić to wszystko swemu towarzyszowi.

– Te zwyczajne drogi, którymi podążamy, aby przeżyć nasze życie, codzienna rutyna i motywacje, nie mają już w rzeczywistości żadnego realnego celu. Straciliśmy oparcie – powiedział.

– Tracisz oparcie? – zapytał Chris. – To by znaczyło, że możesz iść dalej.

Dotarli do niewielkiej księgarni przy Rue de la Bücherie, zatrzymali się przy stosie szkła z rozbitej szyby wystawowej, papieru z porozrywanych książek i półek walających się w zakrzepłym błocie. Christopher stanął i pochylił się, żeby przyjrzeć się okładkom.

– Czy ja mogę, widząc to, dobrze myśleć o tej całej

rewolucji i jej celach? – zapytał. – Gdzie w czymś takim jest miejsce na nadzieję?

Gerrard brodził wśród książek, sprawdzając, czy wśród rozgrabionych egzemplarzy znajdzie się jeszcze coś interesującego do czytania. Wszystkie były albo angielskie, albo były tłumaczeniami na angielski, choć tylko kilka nazwisk na okładkach mówiło mu cokolwiek (Coelho, Camus, Clausewitz), reszty po prostu nie znał. Większość z tych, które nie zostały rozkradzione, wyglądała na literaturę fantastyczną albo science fiction z Wielkiej Brytanii i Ameryki. Miały zielone, purpurowe i czarne okładki, a pod tytułami takie nazwiska jak Lafferty, Rus czy Silverberg.

Gerrard podniósł jedną z nich. Książka nosiła tytuł *Skoczkowie czasu*, a jej okładka przedstawiała biznesmena z teczką i tęczą promieniującą spod jego kapelusza. Zielone i niebieskie promienie ginęły gdzieś w mroku. Gerrard odwrócił książkę i przeczytał notkę na czwartej stronie okładki: „Nowa, błyskotliwa powieść o przyszłości tak opresywnej, że jedyną drogą ucieczki ze ściśle kontrolowanego otoczenia pozostaje przedarcie się z powrotem przez czas”.

Gerrard włożył książkę do tylnej kieszeni spodni, a potem popatrzył w dół, na inne tytuły, żeby się upewnić, że niczego nie pominął.

– Zabierasz to ze sobą? – spytał Christopher.

– A co, mam zostawić w błocie?

Gerrard buszował dalej, odwracając każdą książkę, by

obejrzeć tył okładki, ale nie znalazł już niczego, co przypadłoby mu do gustu, i właśnie miał odejść, kiedy coś zobaczył w gablocie wystawowej w oknie księgarni. Czerwono-czarne drewniane jojo zwisało z rozbitego okna. Gerrard wyłowił je spośród odłamków szkła. Zahaczył sznurek o swój środkowy palec i pchnął kółko w stronę bruku, zabawka wróciła do dłoni, zanim uderzyła w ziemię, a on był zachwycony tym odkryciem. W górę i w dół.

Christopher zmarszczył brwi, ale tym razem nic nie powiedział.

Na Quai de la Tournelle Gerrard wybijał jojo w stronę wody, a ono odskakiwało od rzeki, nim musnęło jej tafłę, i wracało do jego ręki. Pchnął je w kierunku swoich stóp, jojo stoczyło się po sznurku, uderzyło w błoto i utknęło w mazi. Linka się naprężyła. Jojo zostało uwięzione w miękkim, ruchomym gruncie Paryża.

– Musisz wymyślić nową grę – powtórzył Gerrard.

Christopher tylko wzruszył ramionami. Nigdy nie wymyślał żadnych gier. Gerrard musiał coś źle zapamiętać. Krzyś z książki był zwyczajnym człowiekiem dla tamtych zwierzczków, więc jeśli Gerrard chce, żeby on teraz przeżywał jakieś przygody albo zaczął gadać wierszem, to próbuje wyprowadzić go poza rolę, którą odgrywał.

– To był Kubuś Puchatek – powiedział Christopher. – Dlatego ta gra nazywała się Misie-patysie.

To niedźwiadek wpadł na pomysł zabawy w Misie-patysie. Potknął się kiedyś i coś wpadło mu do rzeki. Miś bardzo się zdziwił, kiedy okazało się, że to coś wypłynęło po drugiej stronie mostu, którym przechodził. Wrzucił coś z jednej strony mostu, a znalazł to po drugiej stronie.

– Szyszki. Wrzucił jodłowe szyszki – powiedział Chris.

Nawet jeśli to nie Christopher wymyślił tę grę, to umiał w nią grać. Może to wystarczy. Mogą spróbować w to zagrać nad Sekwaną i sprawdzić, czy ta nowa zabawa w upuszczanie przedmiotów z jednej strony i oczekiwanie aż wynurzą się po drugiej stronie, okaże się dość dobra.

– Mówiłeś, że chciałeś wziąć kilka historyjek mojego ojca i osadzić je w nowym kontekście? – zapytał Christopher. – Bo w bajce to niedźwiadek wymyślił grę w Misie-patysie.

Zanim zdążyli skomplikować to jeszcze bardziej, przerwali im funkcjonariusze policji, którzy nadeszli ze wschodniej strony. Czterech policjantów z dwoma chłopakami, studentami, prowadzonymi pomiędzy nimi. Szóstka mężczyzn podzieliła się na dwie grupy po trzy osoby, mundurowi szli po lewej i po prawej, młodych trzymając w samym środku.

Gerrard wypuścił linkę od jojo, próbując ją szybko odwinąć, i odkrył, że szpulka jest poowijana wieloma metrami szpagatu. Słyszał zbliżających się policjantów,

którzy coś mówili, a także studentów, którzy im pyskowali w odpowiedzi.

– Wy dwaj wcale nie jesteście zabawni – skarżył się jeden ze studentów, zwracając się do policjanta po swojej lewej stronie.

– Ja już wyrosłem z bycia zabawnym – odrzekł pierwszy funkcjonariusz.

Gerrard wyciągnął jojo z błota, a potem rzucił je tak, że cienki sznurek owinął się dookoła słupa ulicznej lampy stojącej nad wodą. Zabawka rozwijała się dalej, aż w końcu zniknęła pod wodą, ale Gerrard trzymał szpagat i razem z Chrisem przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie Christopher szybko przywiązał drugi koniec linki do gałęzi drzewa. Teraz słychać było tego drugiego policjanta. Mówił:

– To nie chodzi o to, że my nie wyznajemy waszych idei. I nie o to, że to są idee złe, bo nie byłyby, gdyby udało się je wcielić w życie. Ale ludzka natura na to po prostu nie pozwala. – On i jego kolega wykonali następny krok i trafili na linkę. Zatrzymali się i każdy z nich mimowolnie podniósł rękę do czoła.

Druga trzyosobowa grupka właśnie nadeszła i znów dwaj policjanci zatrzymali się na sznurku, podnieśli ręce, próbując się rozplątać, a studenci przykucnęli i przeszli. Jeden z nich, szczuplejszy, brązowowłosy chłopak w zamszowej marynarce, podszedł do czekającego kolegi, blondyna w szarym swetrze.

– Wszystko sprowadza się do abstrakcji. Wszystko da

się zredukować do ekonomicznej reprezentacji i wtedy rzecz sama w sobie traci swoją wartość – tłumaczył jednemu z policjantów, który odchylił się do tyłu i obmacywał przód swojego munduru, od dołu do góry.

– Poczekaj chwilę – powiedział policjant. – Cały czas cię słucham. Tylko coś mi się przyczepiło do guzika.

Dwaj studenci przyglądali się, jak funkcjonariusze walczą z powietrzem, aż wreszcie pojęli swoją szansę. Biegiem skręcili za róg. Jeden z policjantów wyprostował się i patrzył jak uciekają, a potem rzucił się w pogoń, zrywając sznurek od jojo. Reszta mężczyzn ruszyła jego śladem.

– Wygląda na to, że wymyśliłeś nową grę – powiedział Christopher.

Gerrard roześmiał się i zaczął odwiązywać z gałęzi drzewa linkę od jojo, ale w końcu się rozmyślił i zostawił sznurek. Był zmęczony, znów poszedł nad wodę. Usiadł na brzegu Sekwany, pomachał stopami nad wodą, a potem wyciągnął się na bruku i pozwolił swojemu ciału rozluźnić się, aż zapadło się nieco w ziemię.

Kiedy zamknął oczy i zaczął spokojnie oddychać, pomyślał o Natalie, o zarysie jej twarzy, o dotyku jej ust, kiedy ją całował, i zastanawiał się, jak to się stało, że ją stracił.

Zadzwoił telefon. Gerrard nie leżał już na kamiennym nabrzeżu Sekwany, ale na bujnym trawniku Jardin du

Luxembourg. I słyszał dźwięk telefonu. Stopy miał w ziemi. Podkopał się pod wielkie różowe kwiaty. Kamelie rosły w idealnych rzędach, w wilgotnej, żyznej glebie. Po drugiej stronie ogrodu stał spory biały namiot, zupełnie zwyczajny i równocześnie całkowicie niezwykły.

Znów rozległ się dzwonek telefonu. Dochodził z wnętrza namiotu.

Gerrard był pewien, że spotka w nim starsze panie o arystokratycznych manierach, w żółtych sweterkach z dekoltem w serek, wszystkie popierające de Gaulle'a i wszystkie popijające szampana, ale kiedy odsunął zasłonę i wszedł do środka, zobaczył, że namiot był zupełnie pusty, na drewnianych deskach pomalowanych w biało-czerwone pasy stały tylko wysokie lustra oraz czerwony stół z drewna, a na nim zielony telefon.

Lustra sprawiały, że wewnątrz namiotu wydawało się dwa razy szersze niż w rzeczywistości i kiedy Gerrard podszedł do dzwoniącego telefonu, poczuł się, jakby stał na samym środku ogromnej komnaty i można go było obserwować ze wszystkich stron, mimo że stół stoi tuż pod lustrem.

– Słucham.

Damski głos wydawał się znajomy, mimo że kobieta nie mówiła ani po francusku, ani po angielsku, ale w języku, który Gerrardowi przywodził na myśl amerykańskie westerny. Ta kobieta po drugiej stronie

słuchawki brzmiała jak Tonto z *Jeźdźca znikąd*.

– Nyangurnangku – powiedziała.

– Halo? Z kim mówię?

– Nie jesteś sam. Widzę cię – mówiła kobieta.

Gerrard spojrział przed siebie, za siebie, popatrzył w lustro, obejrzał przestrzeń między deskami w paski, ale poza sobą nie zauważył nikogo, kto przebywałby w namiocie. Przyłożył słuchawkę do ucha i wrócił do rozmowy.

– Halo?

– Sny mają swoją strukturę, Gerrardzie. Nie śniesz ich sam, a one do nikogo nie należą. One są pierwsze. Rozumiesz?

– Halo? – Gerrard powtórzył swoje przywitanie.

Po drugiej stronie pojawił się ktoś inny. Miał głos dziecka. Mały chłopiec recytował po angielsku:

– Kiedy miałem rok, ledwie zrobiłem skok – mówił. – Kiedy miałem dwa lata, dalej byłem tra-ta-ta.

Gerrard odłożył słuchawkę, wyszedł z namiotu, przeszedł przez ulicę i poszedł do teatru Odeon. Nie zatrzymał się nawet, żeby pomyśleć, jaka jest odległość od Odeonu do Jardin du Luxembourg, nie zastanowiło go też to, że kiedy wyszedł przez te same płócienne drzwi, przez które wszedł do namiotu, znalazł się w zupełnie innym miejscu niż to, z którego wyruszył.

Chciał zbadać logikę tej chwili, zobaczyć i zrozumieć działanie nowego porządku przyczynowo-skutkowego, ale na razie po prostu szedł po schodach Odeonu,

między klasycznymi kolumnami, zmierzając prosto do wielkich dębowych drzwi.

Gmach teatru został zajęty przez studentów, którzy wykorzystywali go jako salę zebrań. Kiedy otworzył drzwi, doznał szoku. Z całkowitej ciszy przeniósł się w gwar tysięcy rozmów. Pięciu wychudzonych, mizernych profesorów i studentów siedziało na scenie na rozkładanych metalowych krzesłkach, zachowując stoicki spokój, podczas gdy gwar rozmów toczonych na balkonach stawał się coraz głośniejszy. Młody mężczyzna oświetlony blaskiem reflektora wychylał się przez balustradę na trzecim piętrze. Gładząc się dłonią po niesfornej brodzie, krzychał tak, że ślina, która rozpryskiwała się z jego ust, musiała spadać na ludzi siedzących w krzesłach na parterze.

– To nie jest normalne, więc nie możemy udawać, że da się utrzymać bez końca to, co się właśnie dzieje. Ludzie się w końcu obudzą i sen się skończy – wrzeszczał młody człowiek.

– Chcesz powiedzieć, że robotnicy w końcu usną. Bo właśnie teraz się naprawdę przebudzili – powiedział starszy mężczyzna siedzący na scenie. Poprawił okulary i zaczął łagodnie mówić coś do stojącego przed nim mikrofonu.

Gerrard poczuł dotyk czyjejś zimnej dłoni na swoim karku, obrócił się i zobaczył stojącą tuż przy nim Natalie.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała go.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

22.

Gerrard był na Sorbonie razem z setkami innych, stał przyciśnięty do okna i patrzył na dwa inne skrzydła uniwersyteckiego Cour d'Honneur. Jakiś student, stojący przy rozkładanych krzesłach na samym czele tłumy, trzymał w dłoni megafon, wypowiadając oskarżenia pod adresem de Gaulle'a. Młody człowiek był nieogolony, ale poza tym schludny. Gerrard miał wrażenie, że zna go z Conterscarpe Café albo z okupacji uniwersytetu 22 marca. Chłopak tłumaczył właśnie, że to wypowiedzi de Gaulle'a były bezpośrednią przyczyną strajku.

De Gaulle powiedział po prostu: „Tak dla reform, nie dla chaosu”. Dokładnie jego słowa brzmiały następująco: *La reforme oui, la chienlit non*. Wyraz *chienlit* oznacza maskaradę, karnawał albo chaos, można jednak usłyszeć w nim inne słowa. Można usłyszeć w nim *chie-en-lit*, czyli „gówno w łóżku”. Jego zdaniem prezydent mówił szyfrem.

– On insynuuje, że jesteśmy dzieciakami, a nasz ruch jest wart tyle, co praca kiszek. Mówi, że nie panujemy nad tym, co się dzieje, że sramy pod siebie, ale zauważcie, że jego oskarżanie nas staje się w ten sposób paradoksalne. Mówi, że powinniśmy odrzucić karnawałowe maski, porzucić maskaradę, ale czy to, co

robimy, jest rzeczywiście karnawałową zabawą albo maskaradą? Czy nie jest raczej tak, że codzienne życie pod rządami de Gaulle'a, cała ta nowoczesna technokracja jest jakąś maskaradą? Bo w istocie ta ekonomia i to społeczeństwo tworzy spektakl, który wymaga od nas życia w maskach. Mamy zostać zdominowani przez te role, które podsuwa rynek.

Młody mężczyzna odczytywał przemówienie z notatnika w czerwonej okładce, a przed nim, w dole, tłum przemieszczał się po drewnianej podłodze. Czytał monotonnym głosem, przewracając kartki w notesie.

Student zauważył, że w siedemnastym wieku Pascal wskazał palcem coś, co dziś jest dla nas absolutnie oczywiste. Na trzysta lat przed powstaniem Office de Radiodiffusion-Télévision Française, przed emisją takich programów jak *Jeux Sans Frontieres*, filozof ten dostrzegł, że zabijają nas gry, w które grywamy w codziennym życiu, niszczą nas zakładane co dzień maski.

– Mielibyśmy żyć zgodnie z cudzymi pomysłami – czytał student. – Żyć wymyślonym życiem po to, by zachować wizerunek. Ale to dążenie do piękna, do utrzymania owej nieprawdziwej egzystencji niszczy wszystko, co w nas autentyczne.

Powiedział zgromadzonym, że ich dotychczasowe życie było maskaradą, a strajk i zajęcie budynków jest sposobem na wyrwanie się z karnawałowych płasów i powrót do rzeczywistości. A to oznacza, że tym

gównem w pościeli jest sam de Gaulle, a nie strajk czy inne radykalne rozwiązania.

Gerrard rozejrzał się i w tłumie na podwórzu zobaczył Natalie. Udało jej się przebrać od czasu ich ostatniego spotkania, wyglądała pięknie w czarnym wełnianym płaszczu i czystej bluzce. Nie był zupełnie pewny, ale chyba miała na ustach szminkę.

– Witaj, Cecylio – powiedział, kiedy dogonił ją na dziedzińcu. – Jak ci idzie poszukiwanie wolnej miłości?

Podniosła wzrok, spojrzała na niego, a potem znów wbiła wzrok w ziemię. Zaszurała nogami w błocie i ściągnęła wargi.

– Zawsze razem z tobą pojawia się jakieś zamieszanie.

Gerrard był już pewny, że za nim tęskniła. Musiał tylko sprawić, by zmierzyła się z tym faktem, i dać jej znać, że jego uczucia się nie zmieniły. Mogą być dalej razem. Okupacja sprawiła, że wspólne mieszkanie stało się łatwe, choć prywatność wciąż była rzadkim luksusem. A poza tym nie powinna już ciągnąć tego scenariusza z błahym bestsellerem Saganki w samym środku rewolucyjnej zawieruchy. Powinna odłożyć na bok ten połowiczny projekt, zwłaszcza teraz.

– Wolna miłość jest dla hippisów. To amerykański pomysł, żeby poprzebierać się jak Indianie i odgrywać gwiazdy rocka w krzakach Central Parku. Jeśli chcesz realizować ten pomysł, wystarczy, jeśli pójdziesz za wskazówkami, które znajdziesz w „Elle” albo „L’Express” – powiedział Gerrard.

– Gdzie twój przyjaciel Krzyś? – zapytała Natalie.

Krzyś bawił się teraz w turystę, trzymając się raczej w okolicach hotelu, choć od czasu do czasu wyprawiając się dalej, w poszukiwaniu turystycznych atrakcji. Na przykład zabrał Christophera, żeby pokazać mu Arc de Triomphe.

Natalie odgarnęła włosy z oczu i w końcu na niego spojrzała, a on wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę.

Miała ze sobą papierową torbę z jedzeniem, jakąś czerstwą bagietką i stwardniałym serem typu brie, ale i tak mu smakowało. Znaleźli miejsce pod plakatem przewodniczącego Mao, żeby móc tam usiąść i pogadać o tym, co chcą dalej robić.

Otoczały ich stopy obute w wyjściowe skórzane trzewiki, dziewczęce balerinki i pończoszki. Tłum przesuwiał się, przyplýwał i odpływał wokół nich, opartych o wapienną fasadę zdobionych kolumn otaczających zaryglowane drzwi. Natalie położyła głowę na jego ramieniu, kiedy przedstawiał jej możliwe opcje.

Na stwardniałym błocie położył trzy książki.

Pierwszą z nich była *The Time Hoppers*. Napisana przez Amerykanina nazwiskiem Silverberg, z okładką, na której narysowano strzałki wskazujące same na siebie tak, że same sobie zaprzeczały, wskazując dwa kierunki naraz, mężczyznę z tęczą zamiast głowy i topniejący stoper.

– To powieść o urzędniku państwowym średniego

szczebla, który dowiaduje się, że ktoś wędrujący w czasie, albo cała grupa takich podróżników, może zakłócić delikatną strukturę czasową, łańcuch przyczyn i skutków, wspierający działalność instytucji, którą przysiągł ochraniać. Fabuła się rozwija, każdą postać trawia jej własne pragnienia, ale na końcu nic się nie zmienia. Nawet ktoś, kto podróżuje w czasie nie może odwrócić zasady celowości rządzącej książką ani zmienić układu sił sprawujących kontrolę nad postaciami.

Potem Gerrard wyłożył swój egzemplarz *Bonjour tristesse*. Obrazek na okładce przedstawiał zaokrągloną linię kobiecych pleców, z pośladkami widocznymi pod przezroczystą sukienką. Otaczały ją jak klamra dwa prostokąty, czerwony i niebieski. W trójkolorowej kompozycji pozostawiono dla niej centralną, białą płaszczyznę.

– Ta...

– Pozwól mi – powiedziała Natalie. – To, podobnie jak powieści science fiction, opowieść o tym, co niemożliwe. Główna bohaterka, młodziutka Cecylia, jest najbardziej konserwatywna ze wszystkich bohaterów książki. Przywiązana do rutyny i do swego rozwiązłego trybu życia, zamierza zniszczyć każdy wątek prowadzący do odkrycia jej braku samoświadomości. Broni się przed wszelką autorefleksją i w końcu jedyną wolnością, jaką zdobywa, jest możliwość powitania własnego smutku – mówiła Natalie.

Wtedy ją pocałował. Odpowiedziała pocałunkiem, wsunęła nawet język do jego ust, ale kiedy pocałunek przygasł, a uścisk osłabł, odsunęła się od niego. Wycofała się.

– Gerrard. Proszę. Nie – powiedziała.

Ciemnowłosa dziewczyna z przedziałkiem pośrodku była z Nanterre. Czytała na głos coś z „L’Humanité”, a otaczające ją wianuszkami na sorbońskim podwórzu dziewczęta słuchały uważnie. Natalie je znała, ale nie pamiętała ich imion. Tak czy owak one zupełnie nie rozumiały tego, co się działo dookoła.

Każda z nich wydawała się zachwycona artykułem z gazety i żadna nie dostrzegła kryjącej się w nim groźby. Gazeta pisała o rozdźwięku pomiędzy robotnikami i studentami. Informowała, że Daniel Cohn-Bendit jest przywódcą Les Détournés, a przecież nie było żadnego rozdźwięku, a Cohn-Bendit nie należał do Les Détournés. Cohn-Bendit był kimś w rodzaju niezależnego anarchisty. Natalie słyszała pogłoski, że publicznie pokłócił się z Debordem. Rudowłosy ulubieniec mediów spoliczkował Deborda podczas przypadkowego spotkania w École des Beaux-Arts.

Natalie nie wiedziała, dokąd zmierza strajk, i na pewno nie czuła się na tyle pewna, żeby znosić chichoty z tego, czym się martwili. Poszła sobie stamtąd. Przyglądała się ścianom o delikatnych odcieniach brązu i żółci. Sorbona była bardzo piękna.

Natalie chciała zyskać coś w rodzaju przeczucia, intuicji, podpowiadającej jej, w jaki sposób zakończyć sukcesem strajk studentów, okupację fabryk i ten dziwny stan, w którym się wszyscy pod ich wpływem znaleźli, ale Debord nie lubił Henri Bergsona.

Bergson głosił, że trzeba wznieść się ponad racjonalne myślenie, żeby dotrzeć do istoty rzeczy, a Debord uważał ten pogląd za niepoważny. W tej chwili jednak Natalie nie widziała żadnej innej możliwości dotarcia pod powierzchnię zjawisk. Wszyscy oni, dobrze urodzeni, ale rozczarowani studenci, którzy czuli się u siebie w budynkach projektowanych przez Louisa Treize'a, młodzi robotnicy w skórzanych kurtkach, tak skwapliwi, by pomóc Natalie lub jakiejś innej dziewczynie w realizacji postulatu wolnej miłości, ale też pozostali uczestnicy strajku grali w tę samą grę, w stwarzanie pozorów, ale żaden z nich nie miał pomysłu, gdzie miałyby się skończyć ta gra. Otaczający ją studenci kręcili się bezustannie dookoła podwórza, wszyscy dyskutowali nad tym, co będzie dalej, ale potrafili sformułować tylko jeden, banalny postulat.

Okupacja będzie trwała dalej.

Mogli wygrać tylko pod warunkiem, że Bergson miał rację. Jeśli racjonalność nie była warunkiem koniecznym, a nawet stawała się przeszkodą, zwycięstwo było możliwe. Mogli wtedy zanurzyć się w czasie i dać się ponieść chwili. Spontaniczne działanie pozwalało im zbliżyć się do pełni, uchwycić ją.

Upewniła się co do własnej racji, kiedy znów pojawił się Gerrard i coś, co wydawało się twardym gruntem, zmieniło się w miękki muł.

Gerrard miał własną teorię na temat *Bonjour tristesse*.

– W książce Sagan chodzi o to, że wolność nie oznacza, że możesz robić ze swoim ciałem to, co ci się podoba. Nie oznacza nawet tego, że możesz robić, co chcesz, ze swoim umysłem. Wolność wymaga znacznie więcej: to wybór tego, co ma cię ograniczać, zgodnie z twoją wolą. Cecylia nie była zręczną manipulanką – wydawało jej się, że chce być wolna, ale tak naprawdę chciała tylko jednego: pozostać we władaniu tego, do czego przywykła... – Sorbona nacierała na nich, a Natalie znalazła się w zasięgu szerokich ramion Gerrarda. Mogła szukać schronienia w jego szalonych oczach i zmierzwionych włosach.

Miała dla niego coś do jedzenia i przez chwilę przyglądała się, jak żuje. Widziała w jego oczach coś, co przypominało miłość, i chciała kochać go w odpowiedzi. Może czerstwa bagietka i stwardniały brie wystarczą.

Siedzieli razem pod portretem przewodniczącego Mao, a Gerrard prosił, żeby pomogła mu wybrać, co powinien zdekomponować w następnej kolejności. Z Krzysiem niezupełnie udało mu się dokonać tego, na co miał nadzieję, więc musiał to jeszcze raz przemyśleć. Miał powieść science fiction i egzemplarz powieści

Sagan.

– W przewodniku dekompozycji Debord i Wolman podają, że najbardziej odległe elementy najlepiej do siebie pasują – powiedziała mu. Pozwoliła samej sobie oprzeć się o Gerrarda, nie myśląc nawet o tym, co robi i jak on na to zareaguje. – Na przykład, kiedy używamy do kolażu starych fotografii, można je zestawić z czymś bardzo nowoczesnym, jak reklama prasowa, a to da naprawdę rewolucyjny efekt. Debord opisuje jakiś metagraf, odnoszący się do hiszpańskiej wojny domowej, i twierdzi, że najbardziej wyraziste rewolucyjnie jest zdanie z reklamy pomadki. Brzmi ono: „Piękne usta są czerwone”.

Gerrard próbował ją pocałować, a ona mu na to pozwoliła, ale nawet kiedy wygięła się w łuk, myślała o Cecylii z *Bonjour tristesse*.

A jeśli się okaże, że słowa „wolna” i „miłość” mają przeciwne znaczenia?

A jeśli się okaże, że wolność, której wymaga intuicja, wymaga też rezygnacji z miłości?

Gerrard był szalony, ale jego pożądanie było przewidywalne, a romans, który jej proponował, był rutynowy. Zostać jego dziewczyną, wypełnić życie jego miłością oznaczałoby, że musi porzucić nieokreśloność, którą zdobyła, a na to nie mogła sobie pozwolić. Był to jedyny rodzaj wolności, jaką znała.

– Gerrard. Proszę. Nie.

23.

Abby Milne przyjechała do hotelu na Rue du Four rankiem 20 maja. Razem z Danielem zatrzymała się przed wejściem. Zanim otworzyła drzwi, zanim postawiła krok przenoszący ją z brukowanej ulicy do ciasnego holu, popatrzyła w lewo, na budynek apartamentowca stojący naprzeciwko hotelu, na narożniku pomiędzy dwoma innymi budynkami, i zobaczyła, że ktoś ją obserwuje. Jakiś człowiek patrzył na nią przez małe okienko, na tyle tylko duże, by widać było pół jego głowy. Kiedy się zorientowała, że jest śledzona, kiedy niespodzianie spojrzała w tamte oczy, stwierdziła, że nie jest w stanie wejść do środka.

Stała w progu, rozejrzała się po ulicy, a potem poszła w prawo, dookoła hotelu. Minęła inne okno, znacznie większe, okno hotelowej kawiarni, w której Christopher szukał kogoś, kto zechciałby podać mu herbatę. Chris zauważył przechodzącą żonę z synem, ale oni go nie widzieli. Abby nie zatrzymała się więc, tylko skręciła za róg i weszła pomiędzy beżowe ściany wąskiej uliczki starego Paryża.

Tam, trzymając w prawej ręce dłoń Daniela, a w lewej swoją zieloną tweedową walizkę, stanęła, wzięła głęboki oddech i starała się zebrać myśli. Oboje z synkiem byli

wyczerpani całodniową podróżą. Tego ranka musiała gonić go po pokładzie promu i niewiele brakowało, a spadłby jej do kanału. Chciała posadzić go na balustradzie, żeby coś zobaczył, był tak szczuplutkim, tak małym chłopcem, ale kiedy sadzała jego pupę na barierce, a on zaczął się kręcić, była pewna, że zaraz wypadnie za burtę. Chwyciła go mocno za sweter, ściągnęła na pokład, przeklinając własną głupotę. Chciała, żeby przestał biegać, chciała mu wytłumaczyć, jakie to niebezpieczne, i właśnie po to posadziła go na burcie? Po tym zdarzeniu uparła się, żeby resztę podróży spędzili w zamkniętym pomieszczeniu dla pasażerów. Usadowiła się na owalnym, plastikowym krzeselku i pozwoliła Danielowi ganiać w tę i z powrotem po przejściach, nie przejmując się więcej tym, że przeszkadzał innym pasażerom. Wystarczało jej, że był w miarę bezpieczny.

Abby stała w bocznej uliczce, z małym, jasnowłosym synkiem usadowionym na jej biodrze, i upominała się w myślach. Wyobraziła sobie, że jeszcze nie dojechała do Paryża. Że podróż pociągiem była majakiem i jakaś jej część została na promie, na kanale. Kiedy Christopher otworzył służbowe drzwi do hotelu tuż przed nią, kiedy wyszedł i stanął obok niej w małej uliczce, była nieco zaskoczona.

– Mówiłem ci, żebyś nie przyjeżdżała – powiedział Christopher. – Kto zadba teraz o księgarnię?

Nie odezwała się, tylko postawiła Daniela na ziemię

i patrzyła, jak biegnie do ojca. Chris podniósł chłopca i posadził go na swoich barkach.

– Niebezpiecznie jest biegać – powiedział Daniel. – Niebezpiecznie biegać.

Christopher podrzucił synka i pocałował żonę.

– Jak ci minęła podróż? Jak się czujesz?

Woda w kanale La Manche była zimna, niebo o poranku miało barwę ciemnoniebieską, a ona była pewna, że już nigdy więcej nie zobaczy Chrisa. Na promie, w kompletnym zamieszaniu, była przekonana, że go straciła. Dlaczego upierał się, żeby poczekał z dzieckiem? Nie miała siły, żeby wziąć chłopca na ręce.

– Christopher – powiedziała. Była tak szczęśliwa, widząc go, że nie dowierzała własnym oczom, nie wierzyła, że jest tutaj, stoi przed nią.

– Wejźmy do środka – powiedział. Odwracał się już, żeby wejść przez te same drzwi, którymi wyszedł, ale Abby chwyciła go za rękę i odwróciła do siebie. Pocałowała go, a potem rozejrzała się dookoła, próbując odnaleźć się w przestrzeni.

– Udało się. Jesteśmy w Paryżu – powiedziała.

Następnego ranka Christopher z całą swoją rodziną usiadł przy stoliku stojącym na chodniku przy hotelu, sięgnął po menu ułożone starannie pomiędzy naczyniami i przygotowywał się do zamówienia śniadania. Daniel siedział na kolanach Abby, przesuwając łyżeczkę po obrusie rozłożonym na blacie

z żelaznej siatki i skłaniając ją, by zagadała do noża:

– Uwolnić naszych towarzyszy – mówiła. – Witajcie u Woodentopów.

Christopher patrzył na syna i zastanawiał się, czy będzie w stanie zmienić coś, co stanowiło wyrwę w jego ustabilizowanym życiu, w zwyczajne wakacje, ale kiedy czekali na pojawienie się kogoś z obsługi, a dziesięć minut zmieniło się w pół godziny, sytuacja wyjaśniła się sama. CGT połączyło siły z grupami studenckimi i ogłoszono jednodniowy strajk generalny. Nikt nie podejrzewał, żeby ich obsłużyć.

Rue de Four była szara i chłodna. Christopher patrzył na uliczny bruk, burczało mu w brzuchu. Monolog łyżeczki w wykonaniu Daniela przybierał coraz bardziej ponury ton.

– Głupek. Zły głupek – oskarżycielsko oznajmiła łyżeczka.

Musieli sami zorganizować sobie jakieś śniadanie.

Odwrócił się w stronę Abby, wzruszając ramionami, z nadzieją, że może ona ma jakiś lepszy pomysł, bo jedyne, co jemu przychodzi do głowy, to sprawdzić, czy uda im się włamać do hotelowej kuchni.

– Miejmy nadzieję, że mają dobrze zaopatrzoną spiżarnię – powiedziała Abby.

Na szczęście ktoś, prawdopodobnie jeden z młodszych kucharzy lub kelnerów, zostawił otwartą kuchnię, a co więcej: na drzwiach przytwierdził kartkę zapraszającą gości hotelowych do samoobsługi i podpowiadającą, by

zrobili sobie omlet. Goście proszeni byli, żeby ograniczyć zużycie jajek do jednego na osobę. Jest to ważne, głosiła kartka, bo pozwala zapewnić zapasy żywności na czas strajku. Zastosowanie się do reguły jednego jajka na osobę i ograniczenie spożycia śmietanki zostanie uznane za gest solidarności wobec postulatów strajkujących.

Christopher startł ser na patelnię i właśnie zalał go naleśnikowym ciastem, kiedy otworzyły się drzwi do kuchni i stanął w nich Gerrard z triumfalnym okrzykiem:

– Tutaj jesteście!

Gerrard zatrzymał się w progu i patrzył na rodzinę Milne'ów krzątającą się przy przygotowywaniu śniadania. Usiadł razem z nimi do stolika przed hotelem i pod wpływem nalegań Abby zjadł dwa naleśniki. Christopher siedział bez słowa, przesuując kawałki swojego naleśnika po talerzu, i przyglądał się Gerrardowi.

– Pójdziemy dziś do zoo – powiedział Gerrard.

– Tak?

Abby skoncentrowała się na swojej filiżance espresso, podniosła ją do ust i popijała, Daniel zaangażował widelec i łyżeczkę do wystawienia kolejnego małego dramatu. Sztućce czuły się samotne, ich tatuś wyjechał, a mamusia była nożem do masła na księżycu.

– Spróbujemy jeszcze raz – wyjaśniał mu Gerrard. –

Miałeś wtedy rację. Sam nie możesz wymyślić nowej gry. Żeby cokolwiek zrobić, potrzebujesz niedźwiedzia.

– Pójdziemy do zoo poszukać niedźwiedzia? – zapytał Chris.

– Właśnie tak. I musimy już ruszać – powiedział Gerrard. Wstał.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Chris. – Sprzątnijmy najpierw ze stołu.

– Świetny pomysł – zgodziła się Abby.

– Równość. Braterstwo. Naczynia. – Christopher zabrał pusty talerz swojej żony.

W drodze do paryskiego zoo Gerrard opowiedział im, co się stało. Jak podawała prasa, w strajku wzięło udział blisko dziesięć milionów ludzi, nie tylko w Paryżu, ale w całej Francji. Gerrard powiedział im, że promy na kanale kursują normalnie, ale już metro i pociągi nie. Supermarkety są zamknięte, personel lokalnych stacji telewizyjnych zszedł z anteny. Według Gerrarda strajkowali nawet grabarze. To nie był dobry dzień na umieranie.

Paryż był właściwie zamknięty, ale komitety robotnicze utrzymywały w ruchu niezbędne urządzenia. Zajęte elektrownie utrzymywały miasto przy życiu. Radykalne gazety były drukowane i rozpowszechniane, możliwe było wysyłanie pilnych telegramów, dostarczano żywność dla mieszkańców, a brama zoo

była otwarta.

Christopher uspokoił się. Cała trójka – Gerrard, Abby i Daniel – zatrzymała się przy kutym żelaznym płocie, aby popatrzeć, a Chris do nich dołączył. Podziwiali wiekowy ogród botaniczny Le Jardin des Plantes. Gerrard opowiadał, że Królewski Ogród Roślin Leczniczych, który początkowo się tu mieścił, został założony przez króla Ludwika XIII i przetrwał czasy rewolucji. Ucichli na chwilę, patrząc przez bramę na kopuły Galerii Ewolucji, a potem otworzyli bramę. Daniel wyrwał się biegiem na otwartą przestrzeń.

– Powoli – powiedział Christopher. Chłopiec gnał wśród rabatek, pędził asfaltowymi ścieżkami prowadzącymi do Muzeum Historii Naturalnej.

– Szybko! – wrzasnął Gerrard po francusku do chłopca.

Ogród zoologiczny był po lewej stronie, ukryty za aleją symetrycznych, równiutko przystrzyżonych drzew. Kiedy szli tą ogrodową aleją, Abby wsunęła rękę pod ramię Chrisa i uparła się, żeby się zatrzymali i popatrzyli na flamingi widoczne za płotem, który oddzielał zoo od reszty ogrodu. Kiedy przeszli już przez bramę zoologu, trafili na plac pełen studentów. Młodzi ludzie stali między klatkami z lwem i tygrysem, gapili się na żółwia w otoczonym skałami stawie, zupełnie ignorując jąka.

Wewnątrz głównego budynku jakiś pracownik zoo, tęgi,

młody mężczyzna w kombinezonie i czerwonej czapce, stał przy oknie z pleksi i bronił dostępu do pingwinów. Krzyczało na niego z sześciu studentów, a on trzymał nad głową pęk kluczy i wrzeszczał na nich. Ciemna, długowłosa dziewczyna w bluzeczce z wzorami paisley podskakiwała do góry, żeby sięgnąć klucze, a w tym czasie jej kolega, w muszce i gładko zaczesanych włosach, wykladał mu kwestię klasowej samoświadomości.

Setki okiennych ram szklanego świetlika nad ich głowami rzucało cienie, tworząc geometryczną scenografię. Studenci powtarzali swoje żądania, aż wtrącił się Gerrard. Podszedł do dozorczy pingwinów i zdziwił się, widząc, że mężczyzna jest taki młody. Był gruby, a jego okrągła twarz zdradzała napięcie. Otok jego czapki był zbyt ciasny, wpijał się w głowę i kiedy zdjął czapkę, żeby otrzeć pot z czoła, widać było odcisnięty ślad. Z daleka wydawał się starszy, ale mógł mieć dwadzieścia kilka, najwyżej trzydzieści lat.

– Sam jesteś na dyżurze? – zapytał Gerrard.

– Przepraszam – powiedział dozorca, kiedy odwrócił się do Gerrarda – ale co to właściwie było?

– Wszyscy inni pracownicy strajkują. Ty jedyne jeszcze tu pracujesz, tak? – spytał Gerrard. Usłyszał, że studenci przestali wrzeszczeć. Twarz dozorczy pingwinów stała się jasnoczerwona. Rozłożył ramiona w rozpaczliwym geście i zaczął nimi trzepotać w górę i w dół niczym zraniony ptak. Nie mówił ani słowa, ale

Gerrard, patrząc na jego twarz, wiedział już, co tamten chciał powiedzieć.

– To bardzo dobrze – wtrącił Gerrard. Odwrócił się w stronę pozostałych studentów, do dzieciaka w zielonym swetrze i grubych okularach. – To bardzo dobrze, że on został i pracuje. Co by się stało, gdyby nie pracował? Kto zająłby się zwierzętami, gdyby nie ten jeden opiekun?

– Jestem im potrzebny – dozorca zwrócił się do dzieciaka w swetrze.

I Gerrard się z nim zgodził. Oczywiście, że jest potrzebny zwierzętom. Co innego mógł zrobić, jak nie przyjść do pracy, odbić kartę i odebrać dniówkę? Kiedy reszta kraju walczyła z de Gaulle'em, zakładała komitety i strajkowała, on, jedyny opiekun zwierząt, skupił się na tym, co było jeszcze ważniejsze: na pingwinach.

– Muszę pracować. Los zwierząt zależy tylko ode mnie.

– Ale dlaczego?

Teraz Gerrard musiał stać się czujny. Bo rzecz w tym, że zwierzęta są od niego zależne tak długo, jak długo są zamknięte w klatce. Skoro, póki pozostają w zamknięciu, muszą mieć kogoś, kto je karmi i po nich sprząta, to jaki jest sens, żeby zostawiać je w klatkach?

– Czego ode mnie chcecie? Mam je wypuścić z klatek? Wszyscy chcecie, żebym je wypuścił, ale przecież one nie umieją się same o siebie zatroszczyć.

– On ma rację – powiedział Gerrard do dziewczyny w bluzce we wzór paisley. Odgarnęła włosy z twarzy i znowu zaczęła podskakiwać, żeby dosięgnąć klucze do klatek.

– Nie, naprawdę. On ma rację. Czego żyrafa albo słoń indyjski miałyby szukać na ulicach Paryża.

– Pomyślcie o tym – powiedział pracownik zoo.

– Ale ty łamiesz strajkową solidarność i jeśli będziesz robił tak dalej, naciski będą coraz silniejsze. Coraz mocniejsze naciski, żebyś w akcie solidarności otworzył klatki.

– To byłoby straszne. Lew? Wydra morska? Dokąd miałyby pójść?

– Powinieneś wykonać jakiś symboliczny gest. Żeby się zadeklarować – powiedział Gerrard.

– Jak mam się zadeklarować?

Gerrard przechadzał się chwilę przed klatką, stawiając stopy pomiędzy cienistymi liniami na cementowej podłodze tak, by na pewno pozostawały w świetle, i próbując mimo wszystko rozmawiać.

– Widzisz tę przystojną parę w średnim wieku, tam przy orangutanach? Ten mężczyzna nazywa się Christopher Robin Milne, a kobieta to jego żona, Abby – powiedział Gerrard. Czekał, aż jego słowa zapadną głębiej.

– Tak? – zainteresował się dozorca.

– Pan Milne jest specjalistą od niedźwiedzi – powiedział Gerrard. Wszystko, o co prosił, to jeden

klucz, jedno zwierzę. Jeśli dozorca wypuści misia i powierzy go trosce Christophera Milne'a, jeśli zdoła zaufać członkowi Les Détournés, który zajmie się, powiedzmy, jednym małym niedźwiadkiem, to powinno wystarczyć. Poświęcając niedźwiedzia dla strajku, wypełni swój obowiązek wobec klasy robotniczej.

– Niedźwiedzie są bardzo wrażliwe. One mają dużo różnych potrzeb. I jeszcze specjalną dietę.

Gerrard wskazał palcem na Christophera i Abby. Przeszli przed kolejną klatkę, było to pomieszczenie za szkłem, które wydawało się puste, ale kiedy przyjrzeni się uważniej, zobaczyli w środku małą sowę tkwiącą na suchej gałęzi drzewa w odległym, lewym narożniku. Abby pomachała do Gerrarda, a dozorca zwierząt pomachał do niej w odpowiedzi.

– Sir Christopher Robin Milne jest synem pisarza A.A. Milne'a, który stał się sławny, bo napisał książkę o przygodach zwierząt z Lasu Ashdown, leżącego w okolicach Londynu. Christopher posiada szczególną zdolność rozumienia niedźwiedzi. Powiedz mu tylko, czego potrzeba misiowi, jestem pewny, że wypełni twoje instrukcje co do joty.

– Tylko jeden niedźwiedź?

– Jeden stary, głupi miś.

24.

24 maja Christopher i jego rodzina siedzieli w ciasnym hotelowym pokoju, odpoczywając przy szarym świetle zmierzchu sączącym się zza okna, grając w dwadzieścia pytań i pijąc herbatę. Ponieważ wszędzie unosił się smród gazu łzawiącego, słychać było krzyki i tupot biegnących nóg, więc nie otwierali okna. Z miejsca, w którym siedział, Chris widział wieżę Eiffla wystającą ponad pofałdowanymi blaszanymi dachami z ceglastymi kominami. Zamknął oczy i zatrzymał obraz wieży pod powiekami.

– Już mam – powiedział.

– Czy to zwierzę? – zapytał Daniel.

– Nie.

– Czy to jest spadająca gwiazda? – zapytał znowu Daniel.

– To nie jest też spadająca gwiazda.

Kiedy Daniel zadawał te dwa pytania po raz dziesiąty, Abby odłożyła gazetę, spojrzała Chrisowi w oczy i postarała się odgadnąć.

– Co zbudowano na Wystawę Światową z okazji setnej rocznicy ataku na Bastylie? – zapytała.

Wcześniej tego wieczoru włączyli czarno-biały telewizor, stojący w szafce ich hotelowego pokoju,

i natrafili na orędzie do narodu wygłaszane przez generała de Gaulle'a. Bohater wojenny albo, jak nazywali go studenci, „gówno w łóżku”, miał pewną propozycję, zaplanował, jak zakończyć ten konflikt. W mundurze i kepi wyglądał optymistycznie i zwycięsko, a choć Christopher wyczuwał, że prezydent był zmartwiony, sprawiał wrażenie pewnego siebie. Francuska tradycja narodowa zatriumfuje. Nawet jeżeli prezydent uzna strajk za legalny, nawet jeśli apel o większy udział w rządzie był racjonalny, i tak jedynym sposobem na uspokojenie sytuacji jest referendum. De Gaulle przyrzekł, że jeśli lud odrzuci jego mandat, on ustąpi z urzędu. Mimo że szedł na ustępstwa, wyglądał na człowieka z kręgosłupem, siła jego pewnej siebie mocnej osobowości była widoczna nawet na migoczącym obrazie widocznym na ekranie telewizora.

– W przemyśle, rolnictwie, na uczelniach, wszędzie wzrośnie rola francuskich obywateli – przemawiał de Gaulle.

– Czy to zwierzę? – spytał Daniel. Zamierzał dalej grać w zgadywanki, ale Christopher nie chciał myśleć o zwierzętach. Myślał natomiast o wycinku mapy Paryża, który pokazał mu Gerrard, o planie ulic, na którym każda dzielnica była oddzieloną od pozostałych wyspą. Myślał o tym, że każda z nich reprezentowała inną ideę, na coś innego kładła nacisk, każda miała za sobą inny kawałek historii, i żałował, że nie ma już tej mapy i nie może odnaleźć na niej Rue de Four, żeby

sprawdzić, jakie zajmuje miejsce w tym równaniu. Zastanawiał się, kto przywróci równowagę i jedność temu miastu – de Gaulle czy studenci.

– Czy to jest spadająca gwiazda?

– Nie – odpowiedział Chris.

– Czy to jest spadająca gwiazda? – pytał Daniel.

Abby wykorzystała chwilę roztargnienia i zaczęła sprzątać ze stołu. Zaniosła dzbanek do herbaty i kubki do umywalki w łazience i zalała je wodą. Zostawiła je tam, w zlewie w łazience, żeby się odmoczyły, kiedy ona poszuka płynu do naczyń.

– Czy to niedźwiedź? – zapytał Daniel.

Abby pokiwała głową, słysząc to pytanie, które najwyraźniej uznała za prawidłowe.

– Czy to niedźwiedź, Christopher?

Trzymali go w piwnicy od czasu, kiedy wrócił z nimi z paryskiego zoo. Christopher początkowo martwił się, że zwierzę zdewastuje hotelowy skład win, niezłych i całkiem przeciętnych, ale po trzech dniach zaczął przejmować się czymś innym: że spokojne i ułożone zwierzę oszaleje w zamknięciu i samotności. Zostawiali mu światło w korytarzu przy piwnicy, ale komórka i tak była ciemna i wilgotna. Nawet gdyby Daniel i Abby nie nalegali, i tak chodziliby doglądać zwierzęcia. Czuł się odpowiedzialny za czarnego niedźwiedzia, nawet jeśli wmuszono mu go w prezencie.

Dozorca powiedział im, że niedźwiedź ma na imię

William.

William wyszedł z odległego lewego kąta, stanął na środku pomieszczenia w kręgu rzucanym przez światło lampy i dotknął sufitu. Przeciągnął się i zaryczał głośno. Christopher podszedł do niego i przypiął do czerwonej skórzanej obroży łańcuch, który miał służyć jako smycz, a potem otworzył dłoń. Nakarmił Williama daktylem z wyprostowanej ręki, niedźwiedź chwycił jedzenie delikatnie, językiem, nie używając zębów.

Daniel otworzył zielony, metalowy kanister z zoo, przewrócił go, wysypując pokarm na brudną podłogę piwnicy. Miś zjadł suszone czerwone i niebieskie jagody wymieszane z rybnym białkiem prosto z posadzki. Zlizał przy tym z podłogi cały brud, odsłaniając językiem biały kamień. Potem wrócił do swojego kąta i zajął się lizaniem własnych łap.

– Czy to jest zwierzę? – zapytał Daniel. Jego wysoki głos odbił się echem od kamieni.

Mimo późnej pory Christopher zabrał niedźwiedzia na spacer wzdłuż Rue de Four. Daniel najpierw wyszedł razem z nim, głaskał zwierzaka po głowie i karmił go jagodami i orzechami z miseczki Tupperware. Chłopiec odsuwał się jednak od misia i przymykał oczy, kiedy zaczynało się parskanie i posapywanie, choć uśmiechał się przez cały czas. Christopher odesłał go z powrotem do hotelu. Na ulicach było zbyt niebezpiecznie.

Zabrał niedźwiedzia na spacer aż za barykady. Na

Boulevard Saint-Germain, gdzie studenci rzucali kamieniami wyrwanymi z bruku, a policjanci odbezpieczali granaty z gazem łzawiącym, miś wzbudził sensację. Zarówno studenci, jak i policjanci odwracali się, kiedy mijała ich ta dziwna para, a gdy Christopher minął barykadę i biuro American Express, zorientował się, że recytuje wiersze swego ojca, najpierw po cichu, mówiąc do siebie, w końcu głośno: *Im bardziej idzie on, Bim-bom, Im bardziej idzie on, Bim-bom, Tym bardziej idzie on, Bim-bom, A idzie aż się kurzy. I nie wie człek ni ptak, Bim-bom, Dlaczego urósł tak, I kiedy urósł, jak On stał się taki duży.* Christopher przekręcał słowa.

25.

Tego wieczoru studenci słuchali wystąpienia prezydenta de Gaulle'a przez tranzystory i słyszeli słabość kryjącą się w każdym słowie. Wystarczyło teraz tylko pokręcić gałką, żeby przerwać tę próbę ugłaskania ich. Nawet nie próbowali znaleźć innej stacji, inne francuskie stacje nie nadawały – rząd zamknął je na czas strajku generalnego – zadowalali się jakąś pozycją pośrednią, milczeniem odbiornika.

Natalie jadła obiad w wąskim przejściu między dwoma budynkami Akademii Sztuk Pięknych, siedząc przy drewnianym stole pełnym puszek, plastikowych torebek i szklanych słoików, przyciśniętych do jednej z ceglanych ścian. Siedzący przed nią chłopak w skórzanej marynarce przygotowywał sobie kanapkę, przełamując czerstwą bagietkę, smarując jej wnętrze musztardą i wpychając do środka plasterki twardego sera. Łyknął trochę z manierki, a potem przesunął się na ławce, żeby zrobić jej miejsce. Podał jej też menażkę. Kiedy zajrzała do naczynia, zobaczyła okruszki chleba pływające na powierzchni i poczuła mdłości. Zamknęła jednak oczy i popiła. Nietrudno było wyobrazić sobie, że leżący na stole ser był z kamienia, że wszystko było podrabiane, ale jednak odłamała kromkę chleba,

włożyła do środka ser i porcję musztardy i ugryzła. Musiała jeszcze raz popić z menażki, żeby się nie zakrztusić, zanim zrobiła miejsce na ławce następnemu w kolejce.

Gerrard zamknął oczy i szedł ulicą, wyciągając przed siebie ręce. Przesuwał się wzdłuż muru, macając kamienie, żeby utrzymać właściwy kierunek.

Potrzebował snu, potrzebne mu były normalne sny. Potrzebował fizycznie. Z zamkniętymi oczyma szedł w dół ulicy. Opuścił podniesioną rękę i pozwolił sobie iść na ślepo. Kiedy po pewnym czasie znów otworzył oczy, okazało się, że znalazł się w samym środku bitwy. Otworzył oczy, żeby zobaczyć pojemniki z gazem łzawiącym i kamienie latające w powietrzu dookoła niego. Wsunął lewą dłoń do kieszeni tweedowej marynarki, a prawą osłonił oczy, by chronić twarz przed rozbłyskami wybuchających granatów. Zatkał szczelnie nos w obawie przed gazem i ruszył w kierunku kordonu policji.

Policjanci wyglądali jak wycinanki z gazety naturalnej wielkości, więc Gerrard zapragnął przełożyć rękę przez papierową ścianę. Użyłby nożyczek, żeby móc starannie, wzdłuż zaznaczonych kresek, wyciąć i usunąć maski gazowe i hełmy. Jeżeli je wytnie i odsłoni tych gazetowych policjantów, z pewnością dotrze do światła, kryjącego się po drugiej stronie.

Zatrzymał się jednak, kiedy poczuł na plecach czyjaś

dłoń. Uratowała go Natalie. Oślepią gazem, kaszłąc i krztusząc się, wyciągnęła rękę, chwyciła go za kołnierz marynarki i upadła. Odwrócił się i zobaczył, jak przewraca się na kolana. Kiedy pomógł jej wstać, a potem objął ją ramieniem i ruszyli razem z powrotem w stronę barykady, poczuł w sobie niepokonaną moc, jego sen spłynął w dół, po nogach, i wsiąknął w ziemię.

Nie mieli jednak czasu na rozmowę, bo kordon rozłamał się i kilku policjantów ruszyło w ich stronę. Policyjne pałki trzymali wzniesione nad głowami, a maski przeciwgazowe nasunęli na oczy i usta.

– Zabiją nas – powiedziała Natalie.

– Owszem – potwierdził Gerrard.

Zanim jednak zdołali ich dopaść, runął na nich grad kamieni. Policjanci zatrzymali się na moment. Jeden z nich usiadł na ziemi, około jednej trzeciej drogi od barykady, zdjął hełm i dotknął swego nosa. Zakaszłał i splunął krwią.

Już za osłoną barykady Natalie zapytała Gerrarda, czy zamierzał dać się zabić. Bo jeśli miał taki właśnie zamiar, to szkoda, że jej nie uprzedził, oszczędziłaby sobie zbędnego wysiłku.

– Ta cała teoria snów to historyjka ukrywająca twoją potrzebę autodestrukcji – powiedziała.

Granat z gazem wybuchł bardzo blisko nich, odczuli to natychmiast. Ukłucia ciepła przerwały ich rozmowę, a kiedy powietrze wokół znów stało się przezroczyste,

odkryli, że wybuch odebrał komuś życie. Tuż koło nich leżał trup. Był to znajomy Gerrarda.

Rodzice Raula wyparli się syna, kiedy zobaczyli go w telewizji, ciskającego kawałkami bruku. Teraz w jego klatce piersiowej tkwił odłamek granatu. Krew martwego chłopca sączyła się na kamienie ulicy. Jego oczy znieruchomiały i nie drgnęły nawet, kiedy Natalie przesunęła dłonią nad jego powiekami. Wszystkie szeptane pogłoski potwierdziły się. Studenci byli śmiertelni i mogli zostać zabici.

Rzeczywiście, od pierwszych zamieszek 3 maja wielu ludzi gdzieś po zniknęło, setki rozpląnęły się w powietrzu bez wieści i nigdy więcej nikt o nich nie słyszał. Niektórzy, jak Raul, zostali zabici tylko dlatego, że znaleźli się w złym momencie w niewłaściwym miejscu, innych zabito z zimną krwią, jeszcze inni przypadli bez śladu, a niektórzy mieli po prostu dość i wyjechali na wakacje do Szwajcarii albo Norwegii.

Krew była prawdziwa. Państwo zabije ich, jeśli tylko zdoła. Natalie i Gerrard widząc to, postanowili opuścić barykadę, zrezygnować z bezpiecznego posterunku.

– To nie w porządku – powiedział Gerrard.

– On nie żyje? – zapytała Natalie.

– Raul. Ten zabity chłopak miał na imię Raul – powiedział Gerrard.

Kiedy Natalie zaczynała być z Gerrardem, martwiła się

tym, co jest racjonalne, a co nie. Ale teraz, tu, na Paryskiej Giełdzie Wymiany, nie obchodziło jej to wcale. Fakt, że jeszcze żyła, był oparciem, jakie posiadała.

Przedyskutowali to na Île de la Cité otaczającej katedrę Notre Dame. Wszystko, czego potrzebowali, to butelki od wina wypełnione benzyną, a benzynę można było zdobyć bez trudu na ulicy, spuszczać ją z baków samochodów zaparkowanych przy Boulevard Saint-Michel.

Jeśli zaś chodzi o butelki po winie, trzydzieścioro czy czterdzieścioro studentów, panów w sportowych marynarkach poplamionych gazem łzawiącym i pań w ubraniach brudnych od błota, zastanawiało się, czy powinni okraść jakąś restaurację, czy po prostu poprosić o puste butelki. Zanim decyzja zdążyła zapaść, z Café Charbon wyłoniło się dwóch mężczyzn, dobrze po trzydziestce, toczących przed sobą wózek pełen częściowo tylko opróżnionych butelek pinot noir, pinot grigio i szampana.

Marnotrawienie dobrego francuskiego wina nie byłoby czynem patriotycznym, więc nim przeprawili się na drugi brzeg Sekwany, cała grupa zdążyła się upić. Natalie i Gerrard znaleźli pełną, zakorkowaną butelkę, podważyli korek scyzorykiem, a gdy stanęli na Boulevard de Sébastopol w głowie Natalie wirowało.

To miał być czysty akt destrukcji, chcieli oczyścić pole, zrobić coś zupełnie nowego, choć Natalie

wiedziała, że pójdzie za tym coś więcej. Jakieś strzępki pamięci złożone z giełdy i koktajli Mołotowa.

Natalie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć pleców Gerrarda i dodać mu otuchy, ale natrafiła na powietrze. On już zaczął. Cisnął pierwszą butelkę wina wypełnioną benzyną w drzwi budynku paryskiej giełdy. Koktajl Mołotowa wybuchł, zapłonął ogień między klasycznymi kolumnami. Pozostali studenci, niektórzy ze styliskami od siekier, inni z łomami, wspinali się na zachodnie schody. Rozbijali wysokie okna, wrzucali przez nie butelki od szampana i patrzyli, jak ogień ogarnia luksusowe dywany i draperie.

Natalie spojrzała pod nogi i zobaczyła, że stoi na grząskim mule, ale nie przestraszyła się. Ziemia pod jej stopami była miękka, plastyczna, ale dość mocna, żeby ją utrzymać.

26.

Chłopiec karmił niedźwiedzia długą drewnianą łyżką, a Abby czesała zwierzę szczotką do włosów, która należała niegdyś do jej matki. Było to świętokradztwo dokonane na rodzinnym dziedzictwie i Chris krzywił się zawsze, kiedy szczotka zagłębiała się w gęstwinie misiowego futra.

– Chcesz niedługo wracać do księgarni, prawda? – spytała Abby.

– Jasne – odrzekł Chris.

– Będziemy musieli złożyć jeszcze jedno zamówienie na atlas grzybów – powiedziała ona.

Niedźwiedź był bez przerwy głodny i choć Christopher miał jeszcze wypełniony do połowy zbiornik z misiowym pożywieniem, wiedział już, że nie wytrwają długo w obecnych warunkach.

Wyciągnął rękę i zabrał Abby szczotkę. Jak to się stało, że monotony bieg jego życia wydaje się tak odległy? Księgarnia, salon, telewizor, herbata dobrego gatunku zawsze pod ręką – chciał wszystko to odzyskać.

Poklepał miśka po grzbiecie i patrzył, jak oblizuje pysk i czyści go, używając własnych łap. Chris wyczyścił szczotkę z sierści.

Abby opuściła ręce wzdłuż tułowia. Podniosła do ust

filiżankę i odstawiła ją, nie umoczywszy nawet ust w herbacie.

– Christopher – zaczęła. Wzięła męża za rękę, siłą wyjęła mu z dłoni szczotkę do włosów i położyła ją na stole. To była solidna, dębowa rzecz, z wyrzeźbionym na powierzchni herbem jej rodziny. – Christopher. Ja nie chcę wracać.

Christopher zapytał, jak długo, jej zdaniem, będą mogli mieszkać w hotelowym pokoju. I jak długo będzie chciała wykradać jedzenie? I jak długo mają opiekować się tym absurdalnym niedźwiedziem i patrzeć na głodujące zwierzę? I jak długo będą mieli ochotę narażać się na ryzyko poważnego pobicia?

– Jakie my mamy tu życie, Abby? Jak długo ono może potrwać?

– Widziałam wczoraj Francuzkę, która całowała swojego rzeźnika – powiedziała Abby. – Weszłam do sklepu i zastałam ich w namiętych objęciach, wciśniętych w gablotę sklepową.

– No cóż, Francuzi już tacy są, prawda?

Tym, co szczególnie cenił w swoim codziennym życiu, była rutyna, powtarzalność, która oznaczała, że nie musi nieustannie podejmować decyzji. To niezaangażowanie dawało mu wolność.

To dlatego zawrócił z drogi Natalie, przyjaciółkę Gerrarda, wtedy, gdy próbowała go uwieść. Była cudowną, młodą, budzącą pożądanie kobietą, ale była w tym taka francuska. Odrzucił jej zaloty instynktownie,

wcale nie dlatego, że czuł się zobowiązany dochować wierności Abby, lecz dlatego, że zgoda na romans oznaczałaby rezygnację z wolności, jaką dawały mu jego własne przyzwyczajenia, nawyki, które pozwalały mu przetrwać. Nawykowe spacerowanie, nawykowe prowadzenie księgarni, nawykowe kochanie żony – tego właśnie potrzebował.

Niedźwiedź wydał piskliwy dźwięk, ni to ziewnięcie, ni to skowyt. Daniel wciąż karmił go miodem, topiąc i wyciągając drewnianą chochlę w wielkiej puszczy pełnej słodkiego syropu.

– Francuski rzeźnik – powiedział Daniel.

27.

– Czy ty myślisz, że ja rzeczywiście jestem Krzysiem?
– zapytał Chris.

– Niezupełnie – odpowiedział Gerrard. – Ale może mógłbyś stać się zupełnie nowym Krzysiem.

Był 27 maja, a oni mieli pewne kłopoty, by namówić Williama, żeby zechciał zejść w dół, do metra. Christopher, stojąc na szczycie schodów, wyraźnie bawił się tą sytuacją, a Gerrard rozważał, jak ją logistycznie rozwiązać. Miś usadowił się na trzecim stopniu i zajął się oblizywaniem własnych łap, zupełnie nieczuły na poszarpywanie łańcucha wokół karku czy ponaglenia Gerrarda. Gerrard kląskał językiem, śpiewał *Frère Jacques*, kukał i klął, ale zwierzę nie reagowało w żaden sposób. Dopiero kiedy Gerrard obwiązał łańcuch wokół poręczy schodów, konstruuując dźwignię, by pociągnąć z większą siłą, niedźwiedź zwrócił na niego uwagę. Ryknął obrażonym tonem i trzepnął łapą powietrze.

Krzyś jęknął mimowolnie, a Gerrard przez dłuższą chwilę bał się wejść na schody, żeby zająć się misiem.

Plotka głosiła, że de Gaulle opuścił Francję. Niektórzy twierdzili, że zanim zniknął, powiedział swoim ludziom, że gra skończona i spodziewa się, że w ciągu kilku dni władzę przejmą komuniści, ale szerzyła się też

pogłoska, że wyjechał do Niemiec, by omówić sytuację z generałem Massu i umocnić lojalność stacjonujących tam francuskich wojsk. Wcześniej tego dnia związek CGT ogłosił, że rządzący zgodzili się spełnić żądania robotników. Pierre Mendès-France odczytał listę ustępstw, stojąc na trybunie ustawionej za rzędem dźwigów. Robotnicy mieli dostać spore podwyżki, dłuższe urlopy, a także mieć możliwość skrócenia godzin pracy. To jednak nie wystarczyło i robotnicy krzykami zmusili go do zejścia z mównicy. Hasło na budynku fabryki Renault głosiło: *Gouvernement populaire!*

Na stadionie Charlety miała się odbyć masówka, stawiająca sobie dokładnie taki cel: uchwalenie ludowego rządu. Wszyscy zgadzali się z tym, że strajk doszedł do punktu zwrotnego. Oni trzej, Gerrard, Christopher i miś, zmierzali właśnie na stadion, żeby interweniować. Gerrard czuł, że nadszedł dobry moment, by Christopher wyszedł przed szereg, by ich poprowadził, bo jeśli istniał czas właściwy na wynalezienie nowej gry, był to właśnie ten czas.

– Nigdy w życiu nie wsadzimy go do metra. Jest za wielki – powiedział Christopher.

Gerrard musiał przyznać mu rację, ale spacer z Rue de Four na stadion też nie zapowiadał się przyjemnie, zwłaszcza od kiedy niedźwiedź odmówił marszu po linii prostej.

To było zbyt wiele dla Williama, prawdziwego

czarnego niedźwiedzia, który miał własne zwyczaje i własną historię. Pewien młody Francuz studiujący weterynarię w Toronto kupił go od myśliwego, który zastrzelił matkę Williama. Miś stał się nieoficjalną maskotką całego pułku. A jednak, choć dorastał jako oswojony niedźwiadek, był dzikim zwierzęciem. Nie można było przewidzieć, co zrobi. William nie był niedźwiedziem chętnym do współpracy. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że obycie z ludźmi stało się przyczyną jego nieposłuszeństwa.

– Jest głodny – powiedział Christopher.

Zwierzak opierał przednie łapy o szybę wystawową baru przy sklepie spożywczym. Sklep był zamknięty, ale w jego głębi dostrzegli właściciela, łysego mężczyznę, który skulił się pod ladą i przesuwał się w stronę zaplecza, zerkając na ich misia.

Christopher knykciami wystukał na szkle jakąś rytmiczną melodyjkę, raz, drugi i kolejny, aż wreszcie sklepikarz podszedł do zamkniętych drzwi i skulił się w ich pobliżu.

– Niedźwiedź jest głodny – powiedział Chris. – Ma pan może jakąś rybę? – spytał.

– Ja nie rozumiem – odpowiedział właściciel sklepu.

Gerrard przycisnął twarz do szyby, rozpląszczył nos na szkle, prezentując mężczyźnie minę prosiaka. Odezwał się po angielsku:

– Niedźwiedź jest groźny i włamie się do środka, żeby zdobyć jedzenie, jeśli zaraz nie dostanie ryby.

Właściciel sklepu skapitulował. Gerrard roześmiał się, ale zaraz skrzywił, kiedy ich pieśczocho położył mu łapę na ramieniu i zaczął wylizywać woszczynę z jego ucha. Zwierzakowi cuchnęło z pyska.

Sklepikarz wrócił do okna wystawowego ze stosem mrożonych ryb: halibutów i pstrągów oraz krewetek – zawiniętych w pergamin i związanych brązowym sznurkiem. Otworzył nogą drzwi i rzucił ciężką, zamarzną paczkę na chodnik.

– Bardzo proszę, monsieur. Przyniosłem ryby! – Łysy mężczyzna znów przepadł wewnątrz sklepu, a po chwili wysunął głowę spod wagi. William zasiadł nad zawiniątkiem, otworzył je zębami, a potem parsknął i sapnął, póki cała jego zawartość nie zniknęła za jego ostrymi, białymi kłami.

Szli w dół Boulevard Saint-Michel, pozwalając prowadzić się ciepłym promieniom słońca, póki nie zniknęło na zachodzie. Gdy dotarli do okupowanego stadionu Charlety, niebo było już ciemnopomarańczowe.

Na stadionie zebrało się pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy wcale nie czekali na zawody lekkoatletyczne, nie przyszli tu jako widzowie. Wyczuwało się panujące między nimi napięcie. Wszyscy – stenotypistki w błękitnych sweterkach, studenci uniwersytetu w marynarkach i krawatach, długowłosi młodzi robotnicy w dżinsach – czekali, by się czegoś dowiedzieć, ale niedźwiedź znowu zgłodniał i nie

pozwał Gerrardowi zaprowadzić się na scenę.

– W co ja się wpakowałem? – zapytał Chris na widok tego tłumu.

Jakaś dziewczyna w mini i brązowej skórzanej kurteczce biegała przed trybunami wokół stadionu, wymachując nad głową czerwono-czarną flagą. Przebiegała kolejne okrążenia, jakby dokonywała ceremonii otwarcia jakichś anarchistycznych igrzysk olimpijskich, a za nią, na płycie stadionu, wylegiwały się tysiące studentów. Leżeli na plecach na murawie, palili papierosy, czytali gazety i słuchali. Stojącemu na scenie mówcy szło całkiem nieźle, większość z pięćdziesięciu tysięcy słuchała w zachwycie, choć znalazło się kilku takich, którzy odwrócili się i patrzyli na Christophera i jego niedźwiedzia, jeszcze zanim William wydobył z siebie głośny ryk.

Gerrard zapytał, czy Krzyś będzie mógł przemówić, i czekali za sceną na swoją kolejkę. Za moment mieli ich zapowiedzieć, Christopher wyciągnął rękę, zanurzył palce w niedźwiedzim futrze i wstrzymał oddech, kiedy William w odpowiedzi zaczął go obwąchiwać.

Gerrard podszedł do mikrofonu.

– Historia wybrała właśnie nas – powiedział. – Zdanie to brzmi, za przeproszeniem, jak slogan wyjęty z mowy jakiegoś polityka, ale ja rozumiem je całkowicie dosłownie. Historia nas wybrała. Nie ta wielka historia królów, wojen i dat z podręczników, ale ta sekretna historia każdego z nas. Dzieje naszego dzieciństwa,

dzieciństwa naszych dziadków – to one nas wybrały. Historia nas wybrała, byśmy wzięli udział w tworzeniu wspomnień z tego, co dzieje się teraz.

Gerrard przedstawił Chrisa, kilkoro studentów chyba rozpoznało jego nazwisko. Wykrzykiwali coś po angielsku, pytali o Kubusia i Prosiaczka, a kiedy Chris z Williamem podszedł to mikrofonu, zapanowała cisza. Chris się trząsł, a kiedy czarny niedźwiedź pochylił się i trącił go mokrym nosem, roześmiał się, własny głos zabrzmiał mu w uszach jak jakiś obcy dźwięk, ale mimo wszystko starał się, jak mógł.

– Zanim mój ojciec stworzył historię o Kubusiu Puchatku i opisał w nim postać imieniem Krzyś, pisywał dla pisma satyrycznego „Punch” – powiedział Christopher. – Ojciec był dumny z tekstów, które dla nich pisał. I nie bez powodu, w „Punchu” było wiele rzeczy godnych podziwu, był prowadzony bardzo profesjonalnie, ale tym, co najciekawsze z dzisiejszej perspektywy, co być może i dla was okaże się ważne, to fakt, że Punch – ale nie tytuł magazynu, tylko czterystuletnia lalka, która stała się maskotką czasopisma – i Kubuś Puchatek to jedno i to samo.

Tłum na Charlety nie był jednorodną masą widzów, dzielił się na frakcje, obozy i kliki. Panował tu ciągły ruch, ludzie przemieszczali się w różne miejsca, odwracali w wielu kierunkach. Chris nie potrafił powiedzieć, czy go w ogóle słuchają.

– Kukielka Puncha z przedstawienia o Punchu i Judy

jest lalką z burleski. Zrzuca ze schodów własne dzieci, bije żonę, bije nawet policjanta. Punch udaje, że jest tak głupi i tak prosty, że nie rozumie tego, co robi, i w ten sposób zawsze dostaje to, czego chce.

Christopher wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Williama, ale miś odwrócił głowę.

– Punch jest taki sam jak Kubuś. Jak to możliwe? To zabawki, wytwory fantazji, obie są narcyzami, które zawsze dostają to, czego chcą – mówił Chris. – Jedyne różnica polega na tym, że Puchatek jest niewinny, a Punch winny. Puchatek jest autentyczny, a Punch podrabiany. Puchatek naprawdę nie wie, co robi. Punch wie to dokładnie.

– Mój ojciec zarobił fortunę, pisząc książki dla dzieci. Odniósł sukces w „Punchu”, ale wymyślił opowieść o Puchatku. I teraz wszyscy powinniście zapytać siebie, dlaczego to zrobił. To pytanie jest istotne nie tylko dla mnie. Książka zdobyła niesłychaną popularność na całym globie. Tylko dlaczego?

– Prawda jest taka, że mój ojciec niespecjalnie szanował dzieci. Uważał je za czarujące istoty, posiadające ten sam wdzięk, jaki mają kocięta czy szczeniaki, urocze, ale zupełnie dla niego nieciekawe. Ściśle mówiąc, nie widział w dzieciach niczego dobrego. Taki, na przykład, Kubuś Puchatek jest miłutki, ale wcale nie kieruje się szlachetnymi pobudkami. Tym, co czyni Kubusia godnym podziwu, jest fakt, że powody jego postępowania są całkowicie nieodgadnione.

Puchatek nie jest mistrzem w odkrywaniu własnych dróg. Nie jest też bystry ani kompetentny i na tym polega jego sekretna siła i wdzięk.

– W taki sposób, w jaki mój ojciec myślał o Kubusiu, de Gaulle myśl o was. Mit waszej niewinności wam służy, a de Gaulle uważa, że dotąd po prostu sprzyjało wam szczęście. Jesteście jak dzieci, więc jak one naiwni. Zbyt wielu z was myśli dokładnie tak jak i on.

– W jednej z przygód Kubusia Puchatka, napisanych przez mojego ojca, tej o ekspedycji, ja organizuję wyprawę w poszukiwaniu drewnianka – może dla rozrywki rodem z „Puncha”. W tej historyjce ogłaszam, że ów patyk to Biegun Północny. Zbieram wokół siebie wszystkich moich wymyślonych przyjaciół, zabawki i maskotki i razem wyruszamy na wyprawę przez Stumilowy Las. Ale Puchatek robi się głodny. Zastanawia się, kiedy zrobimy przerwę na małe-co-nieco. Wpada w krzak jałowca. I co jeszcze się tam dzieje? Wiele rzeczy, choć głównie drobnych i mało przyjemnych. Na przykład Prosiaczek postanawia zastawić pułapkę na Słonie. Kłapouchy narzeka, że nie ma niczego do jedzenia, no i, oczywiście, ważne jest to, że kangurze Maleństwo wpadło do strumyka i niemal się utopiło.

– W tej opowieści to właśnie ta ostatnia, pechowa przygoda staje się inspiracją dla Kubusia. Puchatkowi udaje się odnaleźć Biegun Północny dokładnie wtedy, kiedy jest im najbardziej potrzebny, przerzucił go nad

wodą w taki sposób, by kangurzątko wpłynęło prosto na patyk i uratowało się, wychodząc po nim jak po mostku. Kubuś Puchatek odnajduje Biegun Północny, ale nie ma pojęcia, czym jest to, co odnalazł.

– W taki właśnie sposób ludzie de Gaulle’a odczytują waszą historię. Oni sądzą, że swoją siłę odkryliście właśnie tak. Myślą, że stało się to przypadkiem. Że trafiliście na coś, co było przydatne w danej chwili, przypadkiem była to siła i władza, ale wy jesteście głupiutcy i tacy niezdarni, że nie będziecie w stanie jej utrzymać przy sobie zbyt długo.

– Posłuchajcie mnie. Ja nie jestem Krzysiem z bajki dla dzieci. Jestem Christopherem Milne’em, weteranem wojny, w której walczyłem przeciwko faszyzmowi i nazistom. A ten niedźwiedź nie jest Kubusiem Puchatkiem z książeczek mojego ojca. Ten Kubuś ma kły i pazury.

– Punch i Puchatek zostali wymyśleni. Jeden i drugi to swego rodzaju marionetki, a marionetka może poruszać własnymi sznurkami tylko w jeden sposób: stając się tak sprytna i bezwzględna, jak być powinna.

– Paryż to Stumilowy Las – powiedział Chris. – A my musimy odkryć Biegun Północny.

Kiedy zszedł ze sceny, tłum rozstępował się szybko, by utworować mu drogę. Ruszył do wyjścia, a ludzie szli za nim.

Gerrard go dogonił, ale nie miał właściwie nic rozsądnego do powiedzenia. Nie mógł mu pomóc. To

sam Chris musiał zdecydować, dokąd pójdzie, i zdecydował. Odwrócił się do ludzi idących za nim.

– Idziemy poszukać Bieguna Północnego – powiedział.

Kiedy Christopher zszedł ze sceny w grząski muł, studenci rozstąpili się przed nim. Chciał znów poczuć twardy grunt pod nogami, więc prowadził Williama między rzędami, a tłum ustępował mu z drogi. Kilkoro studentów musiało znać angielski, kilkoro musiało znać książki jego ojca, bo ludzie dołączali do niego i szli za nim, on ich prowadził.

Christopher wyprowadził wyprawę poza stadion Charlety.

Gerrard początkowo poczuł się zdezorientowany i cieszył się, że Chris stanął na czele pochodu, ale już po chwili pożałował tego, bo Chris w którymś momencie źle skręcił i, nie rozpoznając się w przestrzeni, musiał zgubić szlak w czasie, bo po bardzo krótkiej chwili, choć nie szli po okolicach Boulevard Jourdan, znaleźli się w Jardin du Luxembourg.

Niedźwiedź pociągnął ich w stronę uli, stojących za białym ostro zakończonym płotem. Najpierw zatrzymał się przy wejściu, przy kutej żelaznej furtce. Stanął na tylnych łapach i wydał z siebie ryk, który przeszedł w ziewnięcie. Christopher nawet nie próbował nad nim zapanować, pozwolił, by William ciągnął go za sobą, i w ten sposób cała reszta podążała za nim. Dwustu

studentów i robotników szło śladem Chrisa, ciągniętego przez niedźwiedzia po szerokiej mulistej alejce między starannie przystrzyżonymi trawnikami, wokół Fontanny Obserwatorium, w stronę pawilonu tkwiącego za wysokimi zaroślami miejskiego parku.

Ule, ręcznie wyciosane z barwionego dębowego drewna i bogato ozdobione, stały bezwolnie, kiedy miś rozwaliał je kolejno, jeden po drugim. Ziemia usłana była zielonymi daszkami z miedzi, okrywającymi wnętrza uli, a William tylko oblizywał sobie łapy. Pożerał pszczeli wosk i miód, ignorując wirujące wokół niego pszczoły, ale jedna z nich usiadła na kołnierzyku Gerrarda, powędrowała ku odsłoniętej szyi, z przodu, nad kołnierzykiem, a pod jabłkiem Adama, i wbiła mu żądło.

Christopher ciągnął za łańcuch, a Gerrard starał się mu pomóc. Obaj ciągnęli z całych sił, twarz i kark Gerrarda zaczęły zalewać się potem. Student machnął ramionami, wyprężył do tyłu i upadł na trawę.

Kilku innych chłopaków pomogło im odciągnąć Williama od miodu, w końcu udało się go stamtąd wyprowadzić na grząską ścieżkę i skierować w inną stronę.

– Chris, ludzie się skarżą, że nie ostrzegłeś ich przed pszczołami – powiedział Gerrard.

– Powiedz im – odrzekł Christopher – powiedz, że ich przepraszam. To najwyraźniej był niewłaściwy gatunek pszczoł.

Gerrard przetłumaczył ludziom jego słowa.

W końcu William doprowadził ich pod wieżę Eiffla. Gerrard spacerował pod jej konstrukcją i zadzierając głowę gapił się na ażurową budowlę, żelazne belki i kwadratowe podesty.

– Powinienem być odgadnąć – powiedział Christopher.

– Co masz na myśli? – zapytał Gerrard.

– To jest Biegun Północny. To dość oczywiste, nie uważasz? – spytał Chris.

Gerrard znów zadarł głowę, żeby spojrzeć na metalowe dźwigary i śruby. Wieża Eiffla była swego rodzaju zegarem. Zegarem, który nie tylko mierzy czas, ale i go emituje. Emituje sygnały państwowych stacji radiowych i telewizyjnych, tworząc czas. Gdybyś był Francuzem, mógłbyś nastawić się na wieżę Eiffla, nastawić na ORTF, żeby wiedzieć, co, jak się jest Francuzem, to oznacza.

Christopher zapytał, czy ktoś ma przy sobie papier plakatowy i może farbę w sprayu i natychmiast otoczył go wielobarwny krąg możliwości.

„Biegun Północny. Odkryty przez tysiące ludzi z pomocą jednego niedźwiedzia” – wypisał czarną farbą na kawałku sklejki. Potem usiadł na murku i zagwizdał na Williama. Pochylił się do przodu i wyszeptał do ucha zwierzęcia coś, co zrozumiał także Gerrard.

– Jesteś równy gość – powiedział Christopher,

przesuwając dłoń pomiędzy futrzanymi uszami Williama.

Gerrard usiadł obok i wyciągnął rękę, ale William się odsunął. Gerrard wstał i zrobił krok w jego kierunku, a niedźwiedź wspiął się na tylne łapy i wyszczerzył na niego zęby.

– Wiesz, jak się robi test na rzeczywistość? – zapytał Gerrard.

– A co to takiego?

Gerrard wyjaśnił Chrisowi, że powinien spojrzeć na swój zegarek i sprawdzić, czy wskazówki obracają się jak zwykle, w prawo. Powiedział też, że powinien sięgnąć po jakąś gazetę albo po książkę i zobaczyć, czy to, co czyta, ma jakikolwiek sens.

Stojąc tak pod anteną telewizyjną, pod potworem, ogromnym kominem zwanym wieżą Eiffla, Gerrard zrozumiał, że wpadł w zasadzkę. Myślał, że Christopher poskłada wszystkie fragmenty układanki, a tymczasem wszystko było jeszcze bardziej pokawałkowane. Chciał zdekomponować Krzysia i zaangażować go do zdekomponowania miasta, ale kiedy zaroilo się wokół nich od studentów, a niektórzy trzymali jeszcze ułamki bruku, Gerrardowi przyszło do głowy, że zdołał jedynie zdekomponować samego siebie.

Kilkoro studentów miało ze sobą instrumenty – bongosy, trąbki i coś, co brzmiało jak ukulele – wygrywali na nich *Marsylianę*, znacznie przyspieszając jej tempo. Wyśpiewywali słowa pieśni dracznie,

akcentując poprzekręcane słowa: *Się zbrójdzie, bracia, dziś! Zewrzyjcie szyki wraz! W marszowy trans! By chodnik krwią napoić, przyszedł czas!*

Poprzestawiali wszystko, zdekonstruowali bieg historii i stali teraz na Bieguńcu Północnym, badając pustkę.

Gerrard odwrócił się od ukulele i bębenków, od wielkiego czarnego niedźwiedzia i szumu fontann Champ de Mars. Wszystko to się zatrzymało. Chwila zamarła, a potem zniknął zapach asfaltu i wilgoci, wyparowała woń miasta, a wraz z nią przepadło poczucie istnienia realnej przestrzeni. Zapanował spokój. Zniknęło Pole Marsowe, wyparowała Sekwana, a świat stał się płaski, szary, jednostajny. Pod fundamentem wieży ziemia była gliną, a może mułem. Christopher, Gerrard i pozostali studenci stali jeszcze na betonowej podstawie konstrukcji, żelazne dźwigary krzyżowały się ponad ich głowami, ale cała reszta budynków na świecie zniknęła.

Gerrard myślał, że kraina snu leży gdzieś poza granicami historii, poza królestwem przyczyny i skutku, że to odwieczna przestrzeń ukryta za zmienną przestrzenią codziennego życia, ale ten sen był po prostu emitowany z wieży. I wcale nie był wieczny, tylko w istocie okazał się tak samo zmienny jak codzienność, z której wszyscy chcą się przebudzić. Na wieży Eiffla świeciło się czarne światło i to ono utrzymywało wszystkich w stanie uśpienia, ale Krzysiewi i studentom

w końcu udało się je zgasić.

Podszedł do nich Daniel Cohn-Bendit. Szedł powoli i zadrżał, mijając Williama. Trzymał w dłoniach elektryczny megafon, który wręczył Christopherowi.

– Chcielibyśmy, żebyś nam wytłumaczył, co się dzieje – powiedział do Christophera. Ten w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

Gerrard opuścił się na kolana i podparł rękami. Ziemia była cała z szarej gliny, za to wzeszedł już księżyc i lampy na wieży świeciły się, zasilane nieznanym źródłem energii elektrycznej. Chris wziął do ręki megafon.

Gerrard popatrzył na tłum. Potem spojrział na gwiazdy nad ich głowami. Niebo było tylko dekoracją.

Krzyś odetchnął, gwiżdżąc cichutko.

– Oto Biegun Północny – ogłosił. – A ja zamierzam wydać tu przyjęcie – zawahał się. – Będzie to specjalne przyjęcie, uroczystość na cześć tego, co zrobiliście, kiedy zrobiliście to, co zrobiliście, zajmując fabryki, i to, co zrobiliście, kiedy zrobiliście to, co zrobiliście, odzyskując własne życie.

Chris wyłączył przycisk megafonu i odwrócił się, spoglądając na Gerrarda.

– Tak może być? – zapytał.

Gerrard nie odpowiedział, bo akurat w tym momencie wypatrzył w tłumie Natalie. Najpierw nie był pewny, czy to ona; właściwie nie był pewny, czy widzi kogokolwiek. Christopher właśnie wzywał ochotników,

którzy byliby chętni, aby zwiedzić wieżę w poszukiwaniu przedmiotów potrzebnych do urządzenia podwieczorku, Natalie wyszła przed tłum.

– Gdzie ono się podziało? – zapytała ich.

– Gdzie co się podziało? – zapytał ją Christopher.

– Miasto – odrzekła Natalie.

Po powrocie do hotelu Abby otworzyła okno w ich apartamencie, odsunęła jego lewą część, a potem usiadła na mahoniowym stole, by podziwiać widok ulicznych lamp i światła błyszczącego w mokrych kostkach bruku. Obraz miasta odbijał się w witrażach, spękanyymi fragmentami pojawiającymi na szkle pomiędzy mosiężnymi obramowaniami.

Daniel bliski był zaadoptowania bagietki w roli swej nowej ulubionej zabawki, wędrował z nią z pokoju do pokoju, opowiadając bułce bajkę o wielkim czarnym niedźwiedziu i ludziach zwanych Woodentopami, którzy zamieszkują wnętrze telewizora. Tego ranka chłopcu wypadł prawy górny siekacz, ale nawet nie wspomniał o zębowej wróżce. Wyglądało na to, że nie potrzebował takiego pocieszenia. Utrata mlecznego zęba była dotąd traumatycznym przeżyciem, które doprowadzało Daniela do typowego napadu agresji, tym razem została uczczona wyrecytowaniem kilku linijek z czołówki Woodentopów i zaraz zapomniana. Fantazja zwana Paryżem okazała się dla chłopca błogosławieństwem. Uśmiech nie zniknął z jego dziecięcej twarzy.

– Mama, kiedy tata wraca? – zapytał Daniel.

– Nie mówił, synku.

– Bo myślałem, że mi przeczyta bajkę, może jakąś dziadka, a może jakąś Francuza. Bajkę – powiedział Daniel.

– Ja ci przeczytam, kochanie. Właściwie to trzeba cię już zaciągnąć do wanny. Zbliża się pora spania.

Daniel odłożył swoją bułę na stół, pomaszerował do łazienki i odkręcił kran. Była pewna, że czuje się w Paryżu znacznie lepiej, niż kiedykolwiek czuł się w Dartmouth. Nikt się tego nie spodziewał, był przecież dzieckiem, które potrzebowało rutyny, ścisłego przestrzegania rytmu stałych obyczajów i nawyków. W rzeczywistości te wszystkie osobliwości, które pojawiły się w ich życiu razem z przyjściem syna na świat, a spośród których rytuały odprawiane przez Daniela zdawały się najbardziej absorbować Christophera, nie mówiąc o innych niepokojach, jakie skumulowały się w tej paryskiej wycieczce, złagodniały w nowo nabytej chłopięcej koherencji.

– Daniel? Jesteś już w wannie? – spytała przez zamknięte drzwi.

Abby wstała z za ciemnego drewnianego stołu i poszła zrobić herbatę. Dość marna francuska mieszanka, którą znalazła, składała się z liści assam, drobnych płatków kwiatów i lawendy, ale pachniała całkiem przyjemnie. Jednak kiedy rozległ się odgłos elektrycznego czajnika i Abby zalała wodą susz, odkryła w swojej filiżance

napój, który wyglądał jak błoto. Chciała więc sprawdzić, co u syna, nie dlatego, że coś usłyszała, nie dlatego, że potrzebował pomocy, ale dlatego, że to ona go potrzebowała, chciała być pewna, że jest.

– Myślę, że ja nie jestem tym Danielem – odpowiedział jej przez drzwi.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała. Postawiła filiżankę na stole przy oknie i przyłożyła ucho do drzwi łazienki. Kiedy się od nich odsunęła, zobaczyła, że na prawym policzku, od ucha do podbródka, ma plamę z błota w kształcie półksiężyca. Błoto musiało się jakoś nanieść, ale gdy obejrzała dokładnie drzwi, wydawały się jej zupełnie czyste. Wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć, natrafiła na framugę i jej palce zanurzyły się w czymś, co wyglądało jak lite drewno czy mocna płyta.

– Mi się wydaje, że ja jestem nie tym Danielem Milne. Że może być jeszcze jeden taki sam, co nie?

– Daniel? – Znów przyłożyła ucho do drzwi, nie zwracając uwagi na ten niewidzialny brud, i – nasłuchując, co robi jej syn – spojrzała w stronę okna. Zniknęły światła ulicznych lamp. Z miejsca, w którym stała Paryż wyglądał tak, jakby ogarnęły go ciemności.

Daniel pchnął drzwi łazienki, które otwierały się do sypialni, i niemal przewrócił Abby, wyszedł stamtąd w całkiem mokrej piżamie, woda kapała z jego włosów. Zapomniał, że powinien wytrzeć się ręcznikiem, woda spływała z niego i wsiąkała w drewnianą podłogę.

– A gdybym był kimś innym, innym Danielem, skąd byś się o tym dowiedziała? – zapytał.

Wyciągnęła rękę za jego plecami i wyjęła z za drzwi łazienki ręcznik, który, choć starannie złożony, był pokryty błotem.

– Danielu, powinieneś teraz dać mi rączkę – powiedziała Abby.

– A czemu?

– Po prostu chwyć mnie za rękę – powiedziała. Ale kiedy Daniel, może ten właściwy, a może zupełnie niewłaściwy, wyciągnął rękę, by chwycić jej dłoń, światło w pokoju zamrugało i znaleźli się w całkowitych ciemnościach. Abby wyciągnęła ramiona w stronę syna i natrafiła na muł.

Gdziekolwiek umieściła dłoń, czuła pod palcami grząskie błoto i nawet ono wydawało się niematerialne. Spróbowała raz jeszcze, klęcząc w ciemności, ale znalazła tylko mokre błoto, łatwo przesączającą się maź, zostawiającą brudne ślady pod paznokciami. Nie była ona bardziej materialna niż to błoto, w które zapadała się dotąd, ale jednak istniała jakaś różnica.

– Czy to inne błoto? – spytał Daniel.

Był gdzieś w pobliżu, lecz w mroku Abby bała się nazywać rzeczy po imieniu. Nie była nawet pewna, czy są jeszcze w ich hotelowym pokoju.

Bo w rzeczywistości wcale już w nim nie byli. Stali na skraju. Na skraju czegoś, co jeszcze nie zdołało się do końca określić, ale Abby widziała, gdzie kończy się

krajobraz i zaczyna horyzont. Jej oczy przywykły do ciemności, a może też pojawiła się odrobina światła. Nie na niebie, ale gdzieś za jej plecami, bo to, co miała przed sobą, mogło być ekranem albo matową farbą. Tyle że na ekranie, zamiast zachodu słońca na francuskiej promenadzie wyświetlała się tylko jasnobrązowa płaszczyzna.

– Daniel? – zawołała i odkryła, że chłopiec stoi tuż przy niej. Wziął ją za rękę i odwrócili się razem, żeby zobaczyć, skąd bierze się światło.

Wieża Eiffla była jak latarnia morska. Abby, Daniel i wszyscy pozostali – rzeźnik i jego ukochana, policjanci w kepi, Raul i dziewczęta z Nanterre, tysiące anonimowych osób – tłoczyli się na skraju świata. Wszyscy mieli wzrok zwrócony w kierunku centrum, odwrócili się w stronę wieży Eiffla i wszyscy mieli nadzieję, że przetrwają.

Ażurowa koronka wieży Eiffla rzucała cień na stopnie tuż przed Natalie, ale kiedy dziewczyna rozejrzała się dookoła, nie odnalazła źródła światła, nie miała pojęcia, skąd ono dochodzi. Paryż okryła smolista czerń, świat zniknął jak zmazany gumką.

Wciąż miała ze sobą swoją książkę, ale marną stanowiło to teraz pociechę, bo nie była zupełnie pewna, gdzie kończy się powieść, a zaczyna ona sama. Wydawało się jej, że może to ona sama została zdekomponowana, że jest cytatem albo postacią

z jakiegoś innego utworu. Była kimś zdekomponowanym. Zgłosiła się na ochotnika do przeszukania wieży Eiffla. Oczekiwano od niej, że przyniesie jakieś wino, pomoże przy znoszeniu krzeseł i okrągłych bankietowych stołów, ale jak tylko zaczęli wspinać się po schodach, odłączyła się od reszty. Miała nadzieję, że kiedy wejdzie na samą górę, zobaczy coś więcej, znajdzie coś, co ciągle tam tkwiło, gdzieś w prawdziwej części miasta.

Kiedy była małą dziewczynką, lunatykowała. Gdy miała pięć lat, powracał do niej jeden i ten sam sen: śniła o tym, że odwiedza ją któraś z wielkich gwiazd znanych z radia. Przyszli do niej z wizytą Edith Piaf, Léo Ferré oraz Maurice Chevalier. Śniło się jej, że czekają na nią przed ciężkimi, zielonymi drzwiami do jej mieszkania, a ona sprowadza na dół swój trójkołowy rowerek Peugeot, żeby zawieźć ich wąskimi ulicami tam, gdzie są piosenki. Natalie budziła się i wiele razy okazywało się, że ciągnie swój rowerek na trzech kołach. Brzęczący dźwięk rowerka sprowadzanego w dół po spiralnych schodach budził ją, zanim zeszła na parter, a jeśli nie ją, to wyrывał ze snu jej rodziców.

Natalie była lunaticzką, ale tylko raz wyszła przez frontowe drzwi na brukowaną ulicę. Rodzice zastali ją siedzącą na rowerku. Nóżki trzymała na pedałach, ale nie poruszała nimi, śpiewała za to cichutko *Non, je ne regrette rien*, mijali ją mężczyźni i kobiety w eleganckich strojach, zupełnie nie zwracając na nią

uwagi. Omijali małą dziewczynkę, której obecności na ulicy nie dawało się niczym wytłumaczyć. Po tym zdarzeniu rodzice Natalie założyli łańcuch na drzwi wejściowe. Zamontowali go wysoko, żeby nie mogła dosięgnąć.

Natalie popatrzyła w dół, na schody i ażurową konstrukcję nośną, próbując sobie przypomnieć, jak to było, kiedy pamiętała swoje sny.

Miała może ze cztery lata, kiedy przyśniło jej się, że tata okazał się nakręcaną zabawką. Nie mogła mieć wtedy więcej niż cztery lata. Tata był kimś takim jak pomalowany kowboj stojący na komódce. Powiedział jej, że zbudowano go w Japonii i zazgrzytał cicho serią mechanicznych kliknięć, po których dodał, że to wszystko sen. Powiedział jej, że śpi i śni.

Teraz, kiedy wspinała się po wieży Eiffla na polecenie Krzysia, Natalie znów obejrzała się, żeby popatrzeć na Paryż, i zobaczyła, że widnokrąg jest pusty. Otworzyła książkę Saganki i przeczytała kilka ostatnich linijek:

Tylko o świcie, gdy leżę w łóżku i słyszę szum wozów sunących ulicami Paryża, zdradza mnie czasami moja pamięć: wraca lato i wszystkie wspomnienia. (...) Wtedy wzbiera we mnie to uczucie, które nazwałam smutkiem. Zamykam oczy i przywołuję je słowami: „Witaj, smutku!”.

Wszystko, co miała ze sobą, to wspomnienia

o nakręcanych zabawkach, wyprawach do wesołego miasteczka, gdzie mogła kręcić się na karuzeli i patrzeć na swoje odbicie w kręgu krzywych zwierciadeł, i o popularnych przebojach ze stacji ORTF. Pamiętała jeszcze ze sto innych snów, ale nie potrafiła sobie przypomnieć niczego rzeczywistego.

Dotarła do szczytu wieży i wciąż nie było niczego. Stała przy balustradzie i wpatrywała się w pustą ciemność.

Studenci z Nanterre i Sorbony znosili okrągłe stoliki z drugiego piętra, gdzie znajdowała się Café Brébant. Transportowali na dół karafki z winem, dzbanki do herbaty, słone przekąski, ciasta i ciasteczka. Krzyś usiadł przy stole, William stał nieopodal. Krzyś nalał sobie herbaty do filiżanki, a William otworzył pysk i jednym kłapnięciem pożarł rzuconą mu napoleonkę.

Guy Debord, Isadora Baris i Daniel Cohn-Bendit usiedli przy tym samym stole. Isadora nalewała czerwone wino, a Guy wyciągnął się na krześle i gapił na pusty okrąg wokół wieży. Cohn-Bendit wgryzł się w ciasto.

Tymczasem studenci wciąż znosili jedzenie z wieży. Opróżnili restaurację na najwyższym piętrze, wynieśli z niej też ozdoby i ustawili je w błocie. Studenci i robotnicy obsiedli dookoła okrągłe stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami, pili szampana prosto z butelki, jedli kawior i konfitury palcami, prosto

z puszek i słoików.

– Dawno, dawno temu, na samym początku, na świecie nie było ani ludzi, ani drzew, ani roślin – mówiła Isadora, zwracając się do Guya i wznosząc toast kieliszkiem. – Nic nie było.

Krzyś odstawił swoją filiżankę herbaty i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Williama, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i odpiął mu łańcuch. William zerwał się i pobiegł przez błoto, przed siebie, jego łapy zostawiały ślady w miękkim mule. Krzyś nie potrafił określić, jak daleko znajduje się miś, bo nie miał żadnych punktów odniesienia, które mogłyby wskazać jakąkolwiek perspektywę. W końcu William zatrzymał się i zaczął czochrać się pyskiem po zadzie. Pochylił się, wylizał się między nogami, a potem popędził dalej.

Kiedy ojciec Krzysia napisał w 1938 roku swoją biografię, zatytułował ją *It's too late now* – „Teraz jest już za późno”. Książkę zaoferowano wydawcom jako literacką autobiografię. Słynny autor opowieści o Kubusiu Puchatku przyrzekł wydawcy, że opowie w niej, jak został pisarzem, ale książka wcale nie była o tym. Zamiast pisać o sławnych ludziach, którzy pomagali mu w drodze, zamiast raczyć czytelnika anegdotami o szaleństwach i ekscesach, jakie odbywały się na korytarzach redakcji „Puncha”, ojciec starał się przede wszystkim przypomnieć, jak to było, kiedy był młody.

Księżyc na Biegunie Północnym został namalowany

na niebie. Ani on, ani gwiazdy nie dawały żadnego światła, a jednak coś tu świeciło. Na skraju nieba Chris widział elektryczną jasność. Dlaczego ojciec napisał te książki o Kubusiu Puchatku? Dlaczego szanowany i szacowny A.A. Milne stworzył postać Krzysia w miejsce własnego prawdziwego syna? To była ucieczka przed dorosłością pięćdziesięcioletniego mężczyzny, sposób na powrót do źródeł własnego życia.

Może za dekoracją horyzontu stał jakiś reflektor? Może tam kryło się coś prawdziwego? Przecież to nie może być cały czas sen, prawda? Zastygnięty muł nie może ciągnąć się we wszystkie strony przez całą wieczność.

Zasada, którą ojciec Christophera głosił przez całe życie, choć nie wypowiedział jej głośno, brzmiała: Nigdy nie dorastaj. Ciesz się zwyczajnymi aspektami życia, pozostań niewinny, zostań tam, gdzie jesteś. Była to zasada nie do utrzymania, polecenie, którego nie wolno było wydać głośno, a przecież wydawane było bez przerwy.

Istniały dwa bieguny: biegun dzieciństwa i biegun dorosłości. Niewinności i zepsucia. Przez całe swoje życie Krzyś buntował się przeciwko ojcu, stając po stronie zepsutej dorosłości, odrzucając niewinność i radość, ale w gruncie rzeczy grał w tę samą grę, tyle że według odwróconych reguł.

Jego własny ojciec wiedział, że dziecko jest niewinne tylko o tyle, o ile jest zepsute. Jego ojciec przekonywał,

że dorosłość może być bardziej radosna niż dzieciństwo właśnie dlatego, że odrzuca tę zepsutą niewinność. Więc jak to się stało, że Christopher ciągle odwraca się od swojego fikcyjnego „ja”? Czy jego wysiłki, by stać się prawdziwym, rzeczywistym, dorosłym, nie oznaczają, że cały czas próbuje pozostać dzieckiem?

– Skończyło się wino – powiedział Guy. Przewrócił kieliszek do góry dnem, a maleńka kropelka wina, która została w środku, skapnęła na biały obrus.

Krzyś zrozumiał, że w Paryżu nie było niczego. Nie było tu niczego dla niego, postanowił zatem, że zabierze to nic ze sobą, kiedy wróci do swej dorosłości w Dartmouth.

Najbardziej dziwiło Gerrarda to, że nic go nie dziwiło. Od samego początku wiedział, co nastąpi. Ułożył ten sen, pomógł Krzysiu odkryć Biegun Północny, a teraz musiał zapytać samego siebie, czy to już wszystko. Gerrard zdekomponował Krzysia, Paryż, a wyglądało na to, że i całą resztę świata, ale tak naprawdę tylko wrócił do punktu, w którym wszystko to się zaczęło.

Guy Debord wstał, usiadł i powiedział:

– Dziękuję – co należało akurat powiedzieć, a potem znów zamknął oczy i potrząsając co jakiś czas głową, mówił: – Nie robię tego dobrze.

– Krzysiu – odezwał się Gerrard. – Wydaje mi się, że musimy kopać.

Krzyś, opierając brodę na dłoniach, wciąż patrzył na pusty świat. Odpowiedział wzruszeniem ramion i zastanawiał się, czy to, co robi, to nic, co lubił robić najbardziej, czy to jednak jakieś coś. Christopher powiedział, że choć jest to bardzo małe, właściwie tego nie ma, to z drugiej strony to jest coś. W rzeczywistości Christopher myślał, że ilekroć ktoś zaplanuje sobie nic, zawsze kończy się to czymś, ale że coś może być odrobinę przyjemniejsze, odrobinę bardziej podobne do nic, niż te wszystkie pozostałe nic, z którymi spotykał się dotąd.

Gerrard przewrócił stół. Najpierw powoli pociągnął obrus i z zadowoleniem obserwował, jak czerwone wino wylewa się na lnianą powierzchnię, zostawiając ciemne plamy. A gdy stół przewrócił się do góry nogami i kieliszki oraz ciastka wylądowały w błocie, poczuł się jeszcze lepiej. Wyłamał drewnianą stołową nogę i wyłobił nią w błocie prostą linię.

W opowieści o Kubusiu Puchatku najpierw Krzyś odkrywa Biegun Północny, później siada do stołu razem z Puchatkiem, aby uczcić odnalezienie Bieguna, i tym, co zaczyna się potem, jest właściwie zakończenie. Krzyś mówi Kubusiu, że kiedyś dorośnie i nie będzie już mógł nic nie robić i wtedy on (czyli Krzyś) będzie musiał robić coś, co oznacza, że Puchatek będzie musiał zrobić coś z niczym już bez Krzysia.

Ojciec Gerrarda czytał mu ten fragment o czymś i o tym, jak coś zmienia się w nic, i o tym, że Krzyś

dorośnie i będzie dorosły, i zapomni o niczym, i że dorośnie nawet miś, który będzie miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat, zanim zmieni się w stulatka. Ojciec Gerrarda czytał o tym synkowi, kiedy ten był jeszcze mały, a potem sam zamienił się w nic. Stał się niczym i właśnie dlatego Gerrard musiał kopać. Żeby odkryć to, co nie zmieniło się w nic, musiał przekopać się przez opowieść, w której tkwił, przejść za lub nad Krzysiem, wieżą Eiffla, strajkami z maja 1968, by odkryć pod nimi coś prawdziwego.

Więc wykopał dziurę.

Kopał

i

kopał

i

kopał

i

kopał

i

kopiąc śpiewał *Międzynarodówkę*:

*Bój to będzie ostatni,
Krwawy skończy się trud,
Gdy związek nasz bratni
Ogarnie ludzki ród.*

I kopał jeszcze trochę... I jeszcze troszeczkę... No i znów jeszcze troszeczkę, i nie minęło wiele czasu, aż

Gerrard usłyszał:

TRZASK!

Och, pomocy? – pomyślał. I wpadł w dziurę, którą sam wykopał.

Część trzecia

W której Daniel znajduje Gerrarda w korku,
Natalie przestaje czytać *Witaj, smutku*,
Gerrard usiłuje się obudzić, a Krzyś wymyśla nową grę.

Czerwiec 1968

28.

W dniu 28 maja Chris, razem z Abby i Danielem, szukał Gerrarda w Jardin des Plantes. Cień rzucany przez świetlik paryskiego zoo dzielił cementową podłogę głównego holu na identyczne kwadraty, przechodzenie od klatki do klatki oznaczało tym samym przekraczanie setek krzyżujących się linii i przestrzeni. Nie było śladu ani Gerrarda, ani znajomego dozorca, czekał za to na nich orangutan imieniem Louis. Tabliczka na klatce informowała zwiedzających, że Louis ma dwadzieścia siedem lat. Orangutan schodził w dół po potężnym, okorowanym pniu, który umieszczono w jego klatce. Znalazł spore kartonowe pudło zagrzebane w trocinach, poszedł z nim do wewnętrznego, lewego narożnika i założył sobie karton na głowę.

– Witaj, misiu – powiedział Daniel.

Christopher próbował się uśmiechnąć, ale czuł się bardziej zaniepokojony niż rozbawiony. Kiedy orangutan zniknął w pudle, zaprezentował im wszystkim zwierzęce stopy z chwytymi palcami. Chris podszedł do przodu, za łańcuch i postukał palcami w pręty klatki. Zawołał, próbując wywabić małpę z ukrycia, ale nie reagowała. W pawilonie małp Abby mocniej przycisnęła do siebie torebkę. Jej kasztanowe włosy,

zazwyczaj misternie ułożone, rozsypały się luźno wokół twarzy, a wargi zacisnęły w linię prostą. Przyglądała się wszystkiemu bardzo uważnie, ale nie reagowała na to, co widzi.

– Czuję się tak, jakby gdzieś tutaj był jakiś przesmyk – powiedziała Abby, kierując uwagę Daniela na widocznego wyżej małego orangutana, wspinającego się po linie przy łańcuchu okalającym świetlik. Młodsza małpa wyglądała na znacznie bardziej zadowoloną od tej starszej, ukrywającej się właśnie w kartonowym pudle.

– Mogę zadawać samej sobie pytania, na które nie da się odpowiedzieć, na przykład o to, jak będąc tam, gdzie byłam ostatnio, znalazłam się tutaj. Ile naprawdę pamiętam z tego wszystkiego, co doprowadziło mnie tutaj, do zoo? Wygląda na to, że istnieją takie momenty, w których ja pojawiaam się od czasu do czasu, ale większość tego, co się dzieje, rozgrywa się w ciemności.

– Może powinno wystarczyć ci to, że widzisz przesmyk, że potrafisz dostrzec, jak wiele rzeczy rozgrywa się w mroku? – spytał Christopher. – Może mogłabyś z tym żyć?

Abby wzięła go za rękę, ale nie odpowiedziała. Szukali potem Gerrarda na zewnątrz. Tamtego dnia, kiedy przyszedli tu razem z Gerrardem, było mnóstwo ludzi, ale tym razem nie widzieli nikogo. Byli tylko oni. Nie było nikogo, kogo można by zapytać o drogę, szli

więc dalej, choć niezdecydowanie, a potem zatrzymali się i rozejrzeli wokół.

Ściany pawilonu gadów zostały pomalowane na zielono, a ogrzewające lampy emitowały zielonkawe światło. W środku znaleźli jaszczurki, krokodyle, a nawet tarantule i takie tam. Christopher patrzył na salamandrę w blaszanym pojemniku na wodę, na brązowe kamyczki na dnie.

Zwierzę wystawiło język, a potem wygramoliło się z naczynia z wodą. Christopher zastukał w szybę i salamandra zerwała się i uciekła, by ukryć się w piasku.

Danielowi spodobał się hipopotam stojący za żelaznymi kratami na zewnętrznym wybiegu. Kiedy patrzył przez bramkę na szarego stwora, ten otworzył paszczę, żeby pokazać im różową otchłań. Przy wybiegu dla żyraf Abby przyglądała się zwierzętom, które akurat żuły i połykały liście. A pingwiny wydawały się jej zupełnie identyczne.

Gerrarda nie znaleźli, ale ich znajomy dozorca był przy słońiach. Trzymał na kolanach stopę jednego ze słońi i metrowym pilnikiem czyścił ją z martwego naskórka i przyschniętego błota. Christopher pomachał do okrągłego młodego człowieka, a potem zczekał, aż tamten skończy swoją robotę i podejdzie do prętów kraty.

– Widział pan tego chłopaka, z którym tu byłem

tamtego dnia? – spytał Chris.

– Powiedziałbym, że nie – odrzekł dozorca.

– Och, pewnie powinienem pana przeprosić – powiedział Chris.

– Za co, proszę pana?

– Za to, że zgubiłem nie tylko przyjaciela, ale i pańskiego niedźwiedzia. Zabrałem go na długi spacer i uciekł mi. Uciekł mi pod wieżą Eiffla.

Dozorca postukał pilnikiem dla słoni o pręty klatki i zagryzł dolną wargę. Kopnął puste pudełko w czerwono-białe paski, które jakiś nieświadomy opiekun zostawił wewnątrz klatki, próbując wyrzucić je przez otwór pomiędzy prętami, ale nie wcelował. Potem popatrzył na Christophera i uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku – powiedział dozorca. – Wiem, gdzie jest William.

Zaprowadził Chrisa do klatki z niedźwiedziem, mieszkającym obok gazeli i strusia. Nie było żadnych wątpliwości. Za prętami klatki widać było Williama.

– Gdzie pan go znalazł? – spytał Christopher.

– A, proszę pana, zastałem go dziś rano dokładnie w tym samym miejscu, w którym pan go teraz widzi. Kiedy przyszedłem do pracy, był już tutaj, w tej klatce. Domyślałem się, że za nią tęsknił. – Dozorca podszedł do klatki i wyciągnął w stronę Williama jabłko, pokazał mu owoc, a potem wrzucił mu prosto do pyska. Miś stał na tylnych łapach, wystawiając przednie przez pręty, oparł je na poprzecznej belce i czekał, z otwartą paszczą, na

następne jabłuszko.

– Możemy? – zapytał Christopher. Dozorca podał Danielowi kolejny owoc, chłopiec podszedł do Williama i rzucił mu jabłko. Niedźwiedź schrupał je dwoma kłapnięciami kłów i połknął. Abby pogłaskała go po głowie, podrapała za uchem i nareszcie się uśmiechnęła.

– Jesteś równy gość – powiedział Christopher.

Dozorca przyznał mu rację.

Był 30 maja, kiedy Natalie, szukając Gerrarda w Dzielnicy Łacińskiej, poszła na Champs-Élysées i zamiast chłopaka, odkryła koniec buntu i koniec maja. Druga połowa Francji (socjaliści, biznesmeni, urzędnicy i pravicowi studenci z Sorbony) maszerowali równymi rzędami, protestując przeciwko niej.

Na ulicach panowali zwolennicy de Gaulle'a, otaczały ją całe tysiące pięknych ludzi. Szli w pochodzie bogatych i wygodnie żyjących, żaden z nich się nie pocił. Rewolucja klas posiadających pachniała bardzo przyjemnie.

Śliczna, czarnowłosa studentka w sukience wzorowanej na malarstwie Mondriana, w niebieskie i białe kwadraty poprzedzielane idealnie prostymi czarnymi liniami, szła wśród setek innych pod francuską flagą. Niosła wysoko pierwszą stronę gazety „France Soir” i skandowała tytuł: *De Gaulle mówi: „Zostanę! Mam Pompidou”*.

Choć dotarła już do Arc de Triomphe, zobaczyła niekończące się rzędy zamożnego, ufryzowanego gniewu, szła jednak dalej, szła wbrew temu pochodowi, z nadzieją, że go jakoś powstrzyma. Szła naprzeciw powodzi idących w proteście, wciąż wierząc, że znajdzie tu Gerrarda albo przynajmniej znajdzie cokolwiek. Francja już nie spała, przebudziła się, a może szykowała do dalszego snu, ale Natalie szukała jakiegoś sposobu, żeby pozostać przytomną. Przerwała swój spacer, zatrzymała się pod morzem trójkolorowych flag. Mężczyźni w słonecznych okularach od Yves St. Laurenta i czystych wełnianych płaszczach wykrzykiwali, że pragną oczyścić fabryki z komunizmu i oddać ludziom wolność pracy. Jakaś starsza kobieta w czerwonej jedwabnej sukni, dokładnie takiej, w jaką Donald ubrał Natalie w noc barykad, przechodząc obok, położyła dłoń na dekolcie i w obronnym geście chwyciła swoje perły.

Natalie zatrzymała się i obróciła powolutku, ogarniając wzrokiem scenę rozgrywającą się na Place de l'Étoile. Rewolucja zmieniła bieg. Studenci i robotnicy chcieli politycznego wyzwolenia, stawiając własne żądania jako polityczne postulaty. Pragnęli przejąć władzę, tymczasem ich pragnienia oderwały się od polityki i wyzwoliły siłę, która odebrała im nawet ich własny protest.

4 czerwca Christopher holował swoją rodzinę przez

uliczny ruch, szukając wejścia do metra. Wracali do Anglii. Nie miał ochoty na oglądanie, jak Paryż na nowo się scala, ale nie mógł przebić się przez sznur samochodów. Daniel włókł się za nimi, podróżna torba, którą niósł, wciąż ześlizgiwała się z jego ramienia.

Paryż przeżywał prawdziwy najazd przeróżnych mini, pięciodrzwiowych sedanów i kombi. Samochody były kolorowe, lśniące karoserie migotały zielenią, czerwienią, żółcią, mknąc w górę i w dół Rue de Four, wzdłuż Boulevard Saint-Germain i Sekwany.

Robotnicy mieli swoje Wniebowstąpienie, ale teraz nastąpiły Zielone Świątki. Zstąpiła na ziemię rzeczywistość i natchnęła związki, żeby podjęły decyzję o powrocie personelu na stacje benzynowe, albo też – innymi słowy – skłoniły pracowników przemysłu olejowego do podjęcia pracy po to, by Francuzi mogli pojechać na swój długi weekend.

– Sztucznie aromatyzowane i nowe – powiedział Daniel. Włókł się po chodniku, ciągnąc za sobą smycz Williama. Tęsknił za misiem.

– Wybory. Rozwiązania. Wybory – powtarzał jak katarzynka.

– Możemy zostać o dzień dłużej – powiedziała Abby. – Może byśmy jeszcze poszukali? – zapytała.

Christopher podskakiwał, szukając już nie Gerrarda, ale przejścia. Zeszli nad rzekę, a ponieważ trafili nie tam, gdzie pójść chcieli, Christopher był wściekły, dopóki nie trafił na ślad. Jednak gdy znaleźli się przy

torach kolejowych, gdy Abby przystanęła, żeby wyciągnąć się na kamiennym murku oddzielającym rodzinę Milne od rzeki, Chris w końcu zauważył Gerrarda. Był na Pont des Arts, szedł od strony Luwru. Ubabrany błotem, potykał się o nawierzchnię mostu i zachowywał jak chory psychicznie wykołajeniec. Wyciągał rękę do mijających go ludzi, jakby próbował podać każdemu z nich coś, co trzymał w dłoni.

Czekali na niego na lewym nabrzeżu, stojąc tam i wpatrując się w czarne i żółte kamienie gmachu Institut de France. Mrużyli oczy, chroniąc je przed blaskiem słońca, a Chris poczuł skurcz żołądka, kiedy zobaczył, co przyniósł im Gerrard. Chłopak miał ze sobą jedną z pluszowych zabawek.

– Proszę, mam – powiedział Gerrard, kiedy do nich podszedł. Trzymał maskotkę Kłapouchego. – Przyniosłem ci go z powrotem.

Wyglądał przerażająco. Jego marynarka była podarta na plecach, był blady, a oczy miał przekrwione. Wciągnął powietrze i odetchnął głęboko.

– To jeden ze Słoni – powiedział, a potem zachwiał się i runął do przodu, aż Christopher musiał go podtrzymać.

Recepcjonista w hotelu, do którego wrócili, wyglądał na nieco zdziwionego, widząc znów Christophera i jego rodzinę. Gerrard usiadł na wyświechtanym ludwiku XIV i przymknął oczy.

Daniel podszedł do Gerrarda, położył rączkę na jego

ramieniu i wetknął kciuk w jego policzek. Pchał mocno, a gdy nic się nie działo, pochylił się i przyłożył ucho do ust mężczyzny.

– Sapie – powiedział Daniel. – On śpi.

Troje Milne'ów pracowało zgodnie nad podniesieniem Gerrarda, zarzuceniem go sobie na ramiona i wniesieniem do windy. Kiedy Daniel przycisnął guzik i dźwig ruszył, Gerrard drgnął i stanął na nogach, dźwigając ciężar własnego ciała, ale zaraz znów osunął się do tyłu. Uderzył głową o jedno z lusterek na ścianie windy. Szkło pękło. Abby i Christopher zareagowali zbyt wolno i ich ramiona tylko nieznacznie zamortyzowały upadek Gerrarda, który osunął się na podłogę windy i zaczął chrapać.

Okno nad łóżkiem było otwarte. Gerrard zrzucił pościel na podłogę, ale nawet pomimo niskiej temperatury było mu za gorąco i jego pot wsiąkał w materac. Leżał w łóżku państwa Milne i spał już szesnaście godzin.

Natalie stała tuż obok, patrzyła jak śpi, a potem rozpięła spodnie. Ściągnęła sweter przez głowę, zdjęła T-shirt i pozbierała rozrzuconą pościel. Położyła się przy nim na łóżku.

Leżąc na gołym materacu, przyglądając się pożółkłemu sufitowi, dziewiętnastowiecznym kinkietom i eleganckiej sztukaterii na ścianach, Natalie zrozumiała, że znalazła się w pustej przestrzeni, w jakimś przesmyku pomiędzy życiem, w którym się urodziła,

a możliwością. To hotelowe łóżko było otchłanią, miejscem zawieszenia pomiędzy tym, co prywatne, i tym, co publiczne. Nie tylko było bowiem zupełnie neutralne, ale służyło wręcz jako łącznik pomiędzy dwoma królestwami, tworzącymi podstawy ekonomicznego i materialnego bytu społeczeństwa, które próbowała odrzucić. Teraz, gdy tak leżała obok Gerrarda, czując podmuch powietrza owiewający jej nagie ciało, poczuła, że właśnie w tej chwili otwiera się przed nią przestrzeń. Była w łóżku. Miejscu przyjaznym i znanym. Łóżko służyło temu, żeby w nim spać, chorować i – teoretycznie – uprawiać seks. Natalie nigdy nie uprawiała seksu w łóżku, miała dziewiętnaście lat i zabroniono jej używać łóżka jako zwyczajnej przestrzeni do uprawiania miłości. Seks był dla niej czynnością wciśniętą w ciasne wnętrze samochodu, ukrytą za górką w Parc Montsouris albo – raz – w schowku na płaszcz.

Zdaniem Deborda prawdziwa rewolucja powinna być totalna. Jeśli jej celem było wyzwolenie, realizowanie pragnień, trzeba było na nowo zdefiniować przestrzeń ludzkiej codzienności. Natalie zastanawiała się, jak takie wyzwolone łóżko ze zdefiniowanym na nowo sprężynowym materacem mogłoby funkcjonować? I w jaką relację powinna wejść z wyzwolonym łóżkiem ona? I gdzie je znaleźć?

Natalie wyobrażała sobie, że taki wyzwolony materac będzie większy niż długi na metr dziewięćdziesiąt

prostokąt, na którym leżała teraz. Wolny sen angażowałby większą liczbę ludzi. Byłby publiczną formą spania. Wyobraziła sobie sporą salę z miękką wyściełaną podłogą. Wyzwolone łóżko wymagałoby ciągnących się na wiele metrów materacy. Robotnicy i studenci mogliby się na nich skulić wszyscy razem, w sali uniwersyteckiej albo w fabrycznej hali i śnić tam wspólne sny.

Kiedy zastanawiała się nad łóżkiem, w którym właśnie leżała, nad niewielkim materacem w hotelowym pokoju państwa Milne i próbowała przełożyć to swoje leżenie w łóżku na własne pragnienia, spostrzegła, że takie publiczne spanie powodowałoby sporo problemów. Pamięć o pościeli i błękitnej narzucie, o godzinach spędzanych na moszczeniu się na poduszce, o intymnych chwilach leniwego przechodzenia z gwarnej jawy w ciszę snu, nijak nie przystawała do wyimaginowanej przyjemności kolektywnego spania. Pościel, która była jej znana, służyła jako zasłona, kryjąca przed światłem i czasem. Sen był cichą, kojącą samotnością. Uwielbiała wspominać wyjątkowy, niepowtarzalny zapach swojej własnej poduszki.

Kiedy jako dzieciak chorowała – na przykład miała poważne przeziębienie, cieszyła ją perspektywa wyłączenia się. Zaleganie w wydzieliny w klatce piersiowej oznaczało, że będzie musiała się położyć na lewym boku, wychylić do połowy poza niewielki materacyk i wdychać ciepłą parę z nawilżacza. Ciepła

para na twarzy, wilgotna pościel, zaparowany pokój – wszystko to definiowało przestrzeń łóżka i przyjemność chorowania.

Jak miałyby wyzwolić łóżko? Natalie pamiętała dziwnych klaunów i karzełki w rogatych czapkach, zaludniających jej dziecięce sny. Próbowwała przypomnieć sobie przestrzeń, jaką zajmowały te wyśnione postaci. W jakich krajobrazach objawiały jej się te demoniczne skrzaty, które przemawiały do niej, kiedy miała sześć lat? Tam nie było żadnej scenografii, żadnego tła. Jej sny rozgrywały się w pustych przestrzeniach.

Gerrard spał, a ona nie mogła. Gerrard był całkowicie ubrany, pocił się w ubraniu, ona była całkowicie naga i marzła.

Drżała z zimna i zastanawiała się, jaką ma przed sobą przyszłość. Jaką przyszłość mogliby stworzyć, gdyby mogli zawisnąć w powietrzu i budować ją bez jakiegokolwiek oparcia? I kim teraz jest? Nie czuła się już studentką ani – choć właśnie leżała w łóżku ze swoim byłym kochankiem – nie wyobrażała sobie siebie w roli Cecylii. Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, że jest młodą mężatką. Siedziała przy stole nakrytym do śniadania, przy okrągłym blacie z formiki, wykończonym chromowanym brzegiem, i nalewała wyobrażone mleko do kubka z kawą, a potem podniosła go do ust, ale nie czuła żadnego smaku.

Natalie przewróciła się na lewy bok, żeby przyjrzeć

się Gerrardowi. Słoneczny kwadracik oświetlał jego usta i brodę. Nos rzucał cień. Patrząc na niego, pewna, że śpi, wzdrygnęła się ze strachu, kiedy zobaczyła, że oczy Gerrarda są otwarte.

Obudził się i patrzył na nią, ale nie miała pojęcia, co mówi jego spojrzenie.

– Która godzina? – zapytał.

– Druga po południu.

– Jest jeszcze maj?

– Czerwiec.

Gerrard znów zamknął oczy i wkrótce jego oddech się wyrównał, sen wrócił do niego. Natalie wzięła jego rękę w obie dłonie i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że jest chora, przeziębiona i śpi. Wyobraziła sobie, że znalazła naprawdę wyzwolone łóżko.

29. (Możliwość A)

Gerrard otworzył oczy i zobaczył, że stoi przy jakimś budynku administracyjnym, pod betonowym pasażem, który z jednej strony przylega do fabryki, a z drugiej do biur, łącząc je ze sobą. Na drzwiach wejściowych wisiał kolorowy plakat, reklama Renault Dauphine. Obrazek przedstawiał śnieżnobiałe auto, stojące nad brzegiem idealnie niebieskiego jeziora, oraz szczęśliwą rodzinę z wędkami w dłoniach. Członkowie rodziny widoczni byli po lewej stronie samochodu, zbyt daleko, by dostrzec ich twarze, ale Gerrard zakładał, że były uśmiechnięte. Blask słońca, zdrowie i białe felgi. Doskonałej harmonii oferowanej przez plakat przeczyły ponure mury fabryki, brudne okna, robotniczy bunt.

Spał i chciał się obudzić, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie położył się do łóżka. Gdzie zatem znajdzie się po przebudzeniu? Kim będzie?

W jego śnie był 7 czerwca 1968 roku i pracownicy różnych branż – robotnicy fabryczni, studenci, profesorowie, ekspedientki ze spożywczaaków, kierowcy taksówek, sprzedawcy, kelnerzy – zebrali się wokół fabryki Renault. Przestrzeń pomiędzy betonowym gmachem fabryki i mniejszym ceglanyim budynkiem biurowym była zatłoczona strajkującymi ludźmi.

Natalie zakryła reklamę Renault Dauphine ulotką wydrukowaną na żółtym papierze, prostym rysunkiem przedstawiającym zaciśniętą pięść wyłaniającą się z wnętrza fabrycznego komina.

„Walka trwa” – głosił napis.

Daniel Cohn-Bendit trzymał megafon i wrzeszczał do niego.

– Wasz związek, CGT, utrzymuje, że przychodząc tutaj, narażamy się na ryzyko policyjnego odwetu, ale przeciwnie niż wasz CGT nie przyszliśmy tu po to, żeby was prowadzić czy wydawać wam rozkazy. Robotnicy sami wiedzą, co muszą robić. My przynosimy wam wyrazy naszej solidarności.

Gerrard zastanawiał się, czy kiedykolwiek opuścił policyjne muzeum, czy może obudzi się w metrze. Zorientował się, że patrzy na żółtą, ceramiczną elewację Gare du Nord. Autobusy dowoziły robotników z Flins, studenci rozdawali im ulotki, po jednej dla każdego. Większość przyjmowała je z ochotą. Większość przyłączała się do demonstracji.

Robotnicy z fabryki Renault, w kombinezonach roboczych i okularach ochronnych, chwycili się pod ręce ze studentami i profesorami. Łańcuch ich połączonych ramion zablokował ulicę i zatrzymał autobusy dowożące łamistrajków. Tylko że tym razem przyjechali nimi nie tchórzliwi robotnicy, lecz żołnierze. Mężczyźni w autobusach byli uzbrojeni w pojemniki z gazem łzawiącym, plastikowe tarcze

i pałki. Wysiedli i sformowali szyki. Mieli też coś, co zdaniem Gerrarda mogło być terkoczącym karabinem maszynowym, ale kiedy skierowali lufy tych karabinów w tłum i nacisnęli spusty, z ulgą odkrył, że były to miotacze gazu. Policjanci wmaszerowali w tłum, zepchnęli robotników na rondo w Elizabethville, jakieś pół kilometra za fabryką. Jakiś przedstawiciel CGT stał na odkrytej przyczepie ciężarówki i namawiał robotników, żeby opuszczali zgromadzenie i wracali do pracy. CGT w pełni przestrzega prawa i pracuje nad tym, by wygrać nadchodzące wybory. Kontynuowanie tej awantury, mówił, zmniejsza szanse na zwycięstwo przy urnach wyborczych.

Gaz się rozprzestrzenił. Robotnicy założyli okulary. Oślepiiony Gerrard wyciągnął rękę.

– Natalie? – wrzasnął.

Objęła jego pas prawym ramieniem, odwrócił się, żeby sprawdzić, jak sobie radzi z gazem. Jedną dłonią zakryła usta i nos, drugą wczepiła się w jego pasek. Łzy ciekły jej po policzkach. Gerrard wskazał jej swoją dłoń, ale ona nie zrozumiała, więc pochylił się do niej i krzyknął.

– To nie jest naprawdę – wrzeszczał. Zaczął wyciągać z bocznej kieszeni ulotkę, żeby pokazać jej, że słowa się pozmieniały, że zniknął ich sens, ale przypomniał sobie, że wszystko to mu się śni i wcale jej tu nie ma.

Ruszył w stronę kordonu policjantów, przepychając się przez kłęby gazu. Zatrzymał się obok żołnierza

w czarnej masce przeciwwgazowej i upadł na kolana, żeby zobaczyć swoje odbicie w przezroczystej tarczy, trzymanej przez żołnierza. To wyobrażone odbicie nie było wcale jego, przedstawiało małego chłopca o dziewczęcej fryzurze. Chłopczyk miał na sobie zielone spodenki do kolan, marynarkę z dzianiny i skórzane sandałki.

Gdy Gerrard przyklęknął, żeby lepiej widzieć, żeby bliżej przyjrzeć się lustrzanemu odbiciu Krzysia, jego nogi zapadły się w ziemi. Gerrard odgarnął kilka garści mułu i wyprostował się. Uśmiechnął się do Natalie i opowiedział jej, co się stało.

– To tylko sen – powiedział.

Miał teraz sześć lat. Nie mógł się ruszać.

Gerrard otworzył oczy.

29. (Możliwość B)

7 lipca 1968 roku Natalie i Gerrard oglądali plakaty propagandowe rozwieszane na bramie Akademii Sztuk Pięknych. Natalie zachichotała, widząc plakat, którego autor umieścił głowę Pompidou na ciele kurczaka, a oniemiały Gerrard wpatrywał się w wizerunek policjanta w hełmie, trzymającego w ustach klucz nasadowy. Narysowany policjant przypominał mu czaszkę kościotrupa ze skrzyżowanymi piszczelami, jaką oznacza się trucizny, a pod jego obrzydliwą twarzą napisano tylko dwa słowa: „Renault Flins”.

– Co się dzieje w fabryce we Flins? – spytał Gerrard.

Natalie wyglądała na zmieszaną, kiedy zaczęła mu odpowiadać, ale w końcu wyjęła z papierowej torby gazetę, którą przypadkiem miała przy sobie. Z tyłu podeszło do nich kilku robotników w okularach, patrzyli dziewczynie przez ramię, kiedy czytała głośno:

– „Robotnicy sprowokowali policję i choć departament wydał oświadczenie, w którym wyraża żal w związku z tym, co się stało, i składa kondolencje rodzinom, żadnych przeprosin nie będzie” – czytała blondynka.

– Co to takiego? – spytał Gerrard. Wyrwał gazetę z rąk Natalie, ale zobaczył, że nie ma w niej tytułu

dotyczącego strajkujących robotników ani de Gaulle'a.

– „Studenci uniwersytetu kopulują w kabriolecie” – przeczytał. Pod tytułem widniał tekst opisujący szczegóły.

– Zaczekaj. – Natalie położyła dłonie na klatce piersiowej. Miała na sobie tę samą czerwoną sukienkę, którą nosiła podczas nocy barykad, odpięła ją, zsunęła z ramion i pozwoliła, by suknia opadła na ziemię. Pokazała plakaty, które miała ukryte pod ubraniem.

Policjant na jednym z nich miał na sobie hełm i gogle, więc jego twarz przypominała czaszkę. Klucz nastawny w jego ustach wyglądał jak skrzyżowane kości.

Według Freuda zawartość snów to nic innego jak stłumione pragnienia z naszego życia na jawie, jednak realne życie Gerrarda wydawało mu się tak odległe, że jego jedynym prawdziwym pragnieniem było przebudzenie.

Gaz łzawiący przedzierał się przez kute żelazne bramy Akademii Sztuk Pięknych. Plakaty na metalowych stelażach stały w płomieniach, papierowa pięść, fabryka, papierowe kepi strawił ogień. Z chmury dymu wyłonili się policjanci z plastikowymi tarczami i pałkami, Gerrard odwrócił się i zaczął biec.

Mrużąc oczy i upadając, znalazł się nagle obok ciężarówki stojącej przy fabryce Renault. Na otwartej przyczepie samochodu stał Daniel Cohn-Bendit, który jedną ręką trzymał plakat przedstawiający uśmiechniętą

rodzinę nad dzikim, niebieskim jeziorem, a w drugiej miał megafon. Cohn-Bendit badał elektryczną tubę, jakby nie bardzo był pewny, czym jest ten przedmiot, ale wyglądał za to bardzo sportowo w swojej różowej wiatrówce i zielonej bluzie od dresu. Pomachał Gerrardowi, a potem wskazał ręką na alejkę, na którą, jak było widać, skierował już kilkoro innych studentów.

– To jest wyjście – powiedział Cohn-Bendit. Podniósł megafon i zaczął przez niego liczyć. – *Uno, dos, tres* – powiedział.

I wtedy wszyscy się zerwali i pobiegli w stronę otwartych drzwi fabryki po zachodniej stronie budynku. Za betonowymi ścianami fabryka wyglądała ponuro i staro, jak coś, co długo stało pozostawione na deszczu i teraz zardzewiało. Choć jeszcze działała, fabryka była ruiną. Podłogi zostały zrobione z idealnie gładkiej gliny. Gerrard postawił pierwszy krok i jego stopa utknęła w podłożu. Postawił drugi i zorientował się, że ściany zostały zrobione z papieru. Fabryka była podrabiana.

Sny nie są tylko prostymi, nieświadomymi impulsami przyjmującymi postać obrazów. Powstają dzięki metonimicznemu łańcuchowi asocjacji. A z czym kojarzy się słowo fabryka? Z fabrykowaniem? Pracą? Siłą? Ojcem?

Gerrard rozejrzał się dookoła, szukając pomocy. Zawołał Natalie, zawołał Krzysia, a potem przyszło mu do głowy, żeby zawołać swoją matkę ze snu, ale

przypomniał sobie, że nie zna jej imienia.

Może zasnął pod wodą, pływając w basenie, a może zasnął na lekcji w liceum?

Gerrard podniósł lewą rękę, żeby popatrzeć na swoje kostki. Ale dłoń była przezroczysta. Widział przez nią ściany fabryki, części maszyn i silniki, które po drugiej stronie ciągnęły jego życie.

Gerrard popatrzył przez rękę, a potem, jeszcze raz, spróbował się obudzić. Otworzył oczy.

29. (Możliwość C)

Gerrard otworzył oczy i zobaczył przed sobą rury i kable, żarówki fluorescencyjne i okna w aluminiowych ramach tworzące wnętrze fabryki Renault. Leżał na podłodze hali fabrycznej, wstał zatem, otrzepał piach, który przyczepił się do jego tweedowej marynarki na zapiaszczonej podłodze, popatrzył najpierw w lewo, później w prawo, żeby zorientować się w kierunkach. Szukał drogi do wyjścia. Badał żółtą linię, która dzieliła halę na dwie części, i postanowił pójść tam, dokąd go ona poprowadzi. Słyszał nad głową dźwięk obracających się kół i powtarzający się elektryczny brzęczyk. Ktoś obsługiwał wózek widłowy, gdzieś tam w górze pracowali ludzie. Gerrard postanowił ich odszukać. Chciał ich znaleźć, zanim policja znajdzie jego.

Gerrard śnił, ale ten sen nie do niego należał. Wcześniej sądził, że wystarczy wiedzieć, że coś jest snem, że taka świadomość wystarczy, ale sen ma swoją strukturę, a czasem i senną policję.

Zauważył ich dopiero wtedy, kiedy dostał. Pierwszy cios zwałił go z nóg, upadł na plecy. Stało nad nim trzech policjantów, każdy miał ze dwa metry, wszyscy byli tak potężni, że poruszali się z wystudiowaną

niedbałością. Rozmawiali ze sobą mechanicznymi kliknięciami, a ich twarze pod goglami były zupełnie niewidoczne. Kiedy jeden z nich wyciągnął pałkę, dwóch następnych natychmiast poszło w jego ślady, wszyscy czubkiem pałki zatoczyli w powietrzu trzy identyczne koła, wszyscy uderzyli Gerrarda z jednakową siłą.

Najpierw bili go w głowę, potem obtłukli mu żebra, a potem – kiedy przewrócił się na brzuch i próbował przeczołgać się nieco dalej – złamali mu kręgosłup. Od tej chwili Gerrard przestał czuć ich ciosy. Widział, jak jeden z policjantów przydeptuje jego prawą dłoń i miażdży mu kości, ale ponieważ nic nie czuł, nie odczuwał też złości.

Zapomniał, że to mu się śni. Znów próbował się obrócić, żeby na nich spojrzeć i dać im znać, że nic nie czuje. Chciał podnieść rękę, żeby osłonić twarz przed ciosami, które wciąż na niego spadały, ale nie mógł nią ruszyć. Leżał na betonie, a sącząca się z niego krew zmieniała kolor żółtej linii na pomarańczowy. Na jego głowę spadł następny cios, a potem jeszcze następny. Gerrard zamknął oczy

To nie był już jego sen. Musiał się obudzić.

29. (Możliwość D)

Gerrard otworzył oczy i ocknął się, leżąc na brzuchu. Był na zewnątrz, gdzieś poza zabudowaniami fabryki. Leżąc na łące, widział źdźbła trawy wokół swojej głowy. Powędrował wzrokiem wzdłuż zielonych linii, aż zobaczył słońce, a wtedy opuścił wzrok i odczekał chwilę, aż oprzytomnieje. Podniósł się ciężko, żeby sprawdzić, jak bardzo jest obolały, czy może się zginać, ale okazało się, że tak, mógł. Nie było widać krwi ani żadnych innych śladów tego, co mu się przytrafiło w wyobraźni.

Usiadł na trawie i zamyślił się, nasłuchując głosów pozostałych studentów, robotników, którzy wciąż jeszcze strajkowali, ale zalany słonecznym blaskiem świat był spokojny i cichy. Dookoła nie było nikogo, otaczała go tylko wysoka zielona trawa, a gdzieś w oddali majaczyły ciemne okna zachodniej strony fabryki. Próbował przypomnieć sobie, jak wydostał się znowu na zewnątrz i kiedy zasnął na łące, ale poddał się szybko, kiedy przed oczyma stanęły mu obrazy tego, co mu się przytrafiło we śnie, w samym środku fabryki. Wszystko, co przyszło do niego we wspomnieniach, to płaska przestrzeń, na której rozgrywały się jego sny, miękka i plastyczna gleba jego snów. Podniósł się

i popatrzył na fabrykę, którą zasnuwały pióropusze dymów z gazów łzawiących. Usłyszał odgłos czyichś kroków na żwirze. Widok policjantów idących drogą sprawił, że zalała go fala paniki. Położył się znów, najpierw na plecach, a potem obrócił się na brzuch i zaczął czołgać. Zmierzał w stronę fabryki.

Gerrard pragnął się obudzić. Chciał przypomnieć sobie, kim jest, przenieść coś z przeszłości w przyszłość, żeby poprawić teraźniejszość, ale kiedy brnął do przodu, przez trawę, wstrzymał oddech i przekonał się, że właściwie wcale nie musi oddychać.

Zauważyli go policjanci. Jakiś tuzin mężczyzn w hełmach przedzierał się przez pole zboża wymachując pałkami. Szli w jego kierunku równym rzędem. Po każdym kroku następował krok następny w nieodwracalnym porządku łańcucha przyczyny i skutku.

Gerrard podniósł się i zaczął biec, mężczyźni za jego plecami wrzasnęli, wzywając go, by się zatrzymał. Cisnęli w jego stronę kolejne pociski z gazem, ale on bez najmniejszego trudu wstrzymywał oddech, dopóki nie dobiegł do drzwi fabryki.

– Chłopak jest tam – wrzasnął policjant.

Gerrard odwrócił się, żeby spojrzeć, skąd przybiegł, ocenić dystans pomiędzy sobą a nimi i uznał, że ciągle są dosyć daleko. Brnęli w szyku przez trawę, ale nie przybliżali się ani na jotę. Tymczasem on odwrócił się z powrotem ku wejściu do fabryki, ale bez pośpiechu.

Pojemnik z gazem eksplodował tuż przed nim, więc wstrzymał oddech. Bolały go tylko oczy, które trzymał szeroko otwarte, ale inaczej nie mógł. Starał się rozwierać powieki coraz szerzej i szerzej.

29. (Możliwość E)

Gerrard otworzył usta, posmakował mułu, a potem otworzył oczy. Policjanci wciąż znajdowali się z tyłu. Upadł, pośliznąwszy się na nadrzecznym mule.

Wstał i zaczął biec, ale wtedy znów się pośliznął, przewrócił w błoto i już go mieli.

Bili go pałkami. Bili metodycznie, jakby wbijali gwóźdź w ścianę.

Gerrard musiał się obudzić. Inaczej tamci go zabiją. Wstał, policjanci zmusili go, żeby przesunął się do przodu, wprost do wody.

Otworzył oczy w szarości Sekwany i przez ułamek sekundy mignął mu pod powiekami zarys okna. Otworzył oczy i zobaczył promienie słońca wpadające do zakurzonego pomieszczenia.

Leżał w łóżku z baldachimem w hotelowym pokoju przy Rue de Four, a tuż obok niego leżała Natalie. Oboje leżeli na materacu, nie przykryci, a Natalie była naga i drżała z zimna.

Gerrard zapytał ją, która godzina, ale zanim mu odpowiedziała, musiał zaczerpnąć powietrza. Otworzył usta, żeby je wpuścić, i poczuł smak wody z rzeki.

29. (Możliwość F)

Gerrard otworzył oczy. Znalazł się pod wodą. Trzymano go pod powierzchnią wody. Widział falujące nad sobą twarze policjantów. Przytrzymywali go rękami i pałkami, żeby nie wypłynął, a on walczył, żeby się wydostać. Kopał, bił, gryzł. I wtedy, zanim zdołał znów się obudzić, nim po raz kolejny otworzył oczy, woda zalała mu usta. Czuł, jak opuszcza go wola walki i wsącza się w niego zimny strumień.

Gerrard utonął.

30.

W dniu 13 czerwca ogłoszono, że wszystkie stowarzyszenia studenckie, jakie zawiązały się podczas strajku generalnego, zostały uznane za nielegalne, a następnie aresztowano setki studentów i młodych robotników. Nie było jednak wśród nich Natalie. Ona spędzała ten dzień w Café Charbon, czytając raz, drugi i znów artykuł na pierwszej stronie „L’Humanité”. Było jej niedobrze. Bo choć cały czas próbowała tej sztuczki ze słowami, ich sens pozostawał niezmienny.

Dwa dni wcześniej była na swojej ostatniej demonstracji, tym razem zwołanej przez Les Détournés w proteście przeciw zdarzeniu określonemu hasłem „Nie żyje nasz towarzysz”. Po utonięciu Gerrarda, po niepowodzeniu demonstracji we Flins, Les Détournés uczynili z chłopaka męczennika.

„Towarzyszu Hand: od dziś Twoje imię na zawsze połączyło się z ludową rewolucją, z naszą wiosną ludów!” Ich ulotka apelowała o jednoczenie sił, o podjęcie walki i kontynuowanie strajku, ale Natalie nie mogła już tak dalej. Nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić, nie miała pojęcia, czego chce. Przesiedziała całe godziny w Café Charbon, sącząc najpierw kawę, a później dzin. Miała na sobie jedną z wełnianych

spódniczek Abby Milne i za dużą szyfonową bluzkę, która sprawiała, że czuła się malutka. Zastanawiała się nawet, czy nie wrócić do Nanterre, gdzie miała własne ciuchy, albo pojechać prosto do mieszkania rodziców w Suresnes, ale nie wiedziała, dokąd mogłaby pojechać stamtąd. A poza tym miała wątpliwości, czy jej codzienne sukienki i błękitne dzinsy pasują do niej lepiej niż ubrania Abby Milne. Sądziła raczej, że już nigdy w niczym nie poczuje się dobrze ubrana.

Guy Debord i Isadora Baris siedzieli przy sąsiednim stoliku i grali w grę, którą wymyślili, przesuając flagi, zamczyska i mnóstwo drobnych kwadratów po drewnianej tablicy. Wydawali się groteskowi, przypominali Natalie parę zepsutych dzieciaków. Układali strategie i bawili się swoimi zabaweczkami wtedy, kiedy powinni płakać albo chociaż się upić.

– Nie jestem jedyną, która kogoś straciła – odezwała się Natalie, zwracając się do Guya. Przysunęła się blisko niego i szeptała mu do ucha, patrząc na Isadorę. Musnęła policzkiem jego policzek, a potem powtórzyła raz jeszcze: – Są nas setki. Setki tych, które straciły kochanków podczas rewolucji.

Isadora przyglądała się Natalie, mierzyła się z nią wzrokiem, ale nie powiedziała ani słowa. Przesunęła jedną ze swoich flag, a Guy się zemścił. Oboje grali dalej w swoją grę.

Kilka drinków później, kiedy była już pewna, że się upiła, Natalie wyszła na ulicę mokrą od siąpiącej

mżawki. Podobał się jej zapach Paryża. Stała na wąskim krawężniku przy Rue Descartes, oparta o czerwony okrągły znak drogowy z białą poprzeczką. Oznaczał zakaz wstępu.

Mimo wszystko poszła dalej. Szła wzdłuż cementowego murku, ciągnącego się na prawym nabrzeżu Sekwany, choć tylko od czasu do czasu zatrzymywała się, żeby spojrzeć na szarą wodę, tylko od czasu do czasu pozwalając sobie zastanowić się, jak to jest, kiedy się tam utknie, kiedy się tonie, zatapia w mule.

Powstania, sny i romanse tego lata miała już za sobą, choć ciągle jeszcze był czerwiec. Miała dziewiętnaście lat i poczucie, że jej życiowa szansa przeminęła. Nie miała do czego wracać, nie było też kierunku, w którym mogłaby postawić kolejny krok.

Po drugiej stronie Pont Marie miejski robotnik skrobał mury pod mostem, próbując usunąć graffiti, a razem z nim pamięć o maju, ale to, co zostawało, było dla Natalie dość wyraźne, by mogła przeczytać przesłanie.

– „Raczej życie” – odczytała. Powtórzyła to raz i drugi, cichutko, nad Sekwaną i czekała, aż urośnie w niej coś, czemu będzie mogła nadać imię.

– Raczej życie – powiedziała.

31.

We własnym domu Christopher poczuł się jak turysta. Zamiast stanąć na swoim miejscu przy kasie, wędrował między półkami książek i przyglądał się tytułom widniejącym na grzbietach okładek. Zauważył, że wszystkie książki w dziale ogrodniczym mają zielone okładki, a książki historyczne są brązowe. Książki w jego księgarni były zakodowane za pomocą kolorów. Christopher wyciągał książki z półek: J.D. Salinger, Jackie Collins i A.A. Milne. Przetawił je do działu ogrodniczego, żeby stworzyć pionowy, czerwono-brązowy szlaczek w samym środku szeregu zielonych grzbietów.

Wyjął swoje kartonowe pudło z osobliwościami ze schowka w sypialni i zaczął je przeglądać. Nie był pewny, czy chce wyjąć stamtąd pomarańczowy plakat i pluszowego kota, czy też może woli schować Kłapouchego, którego przywiózł ze sobą, oraz zielony plakat ze stadem owiec i hasłem *Retour a la Normale* w pudle pełnym pozostałych dziwactw.

Później, podczas lunchu, Daniel odmówił jedzenia i na talerzu ułożył ser i krakersy tak, że tworzyły linię prostą. Christopher jadł plasterki jabłka i tosty

z dżemem, które naprędce sobie przygotował. Zrobił też filiżankę herbaty ze śmietanką, a Abby podgrzała dla siebie owsiankę z mlekiem i miodem. Nie rozmawiali ze sobą, po prostu jedli, stukali naczyniami i myśleli. Christopherowi przyszło do głowy, że maleńka przestrzeń ich kuchni wydaje się jakaś nieprawdziwa i że oni wszyscy z wielkim trudem przechodzą przez to, co wcześniej tworzyło ich codzienne życie. Kuchenny stół wyłożony linoleum, drewniane okiennice, a nawet promienie słoneczne wpadające przez okno – wszystko to wydawało się nieco nieprawdziwe.

– Ucieknijmy dziś ze sklepu – zaproponował Chris. – Najlepsza rozrywka pojawia się wtedy, kiedy nic się nie dzieje.

W porcie zaokrętowali się na prom i popłynęli do Dartmouth Castle. Christopher z przyjemnością wdychał zapach wody, sprawiał mu przyjemność wiatr smagający powierzchnię rzeki. Był naprawdę zadowolony, choć inni turyści musieli przytrzymywać słoneczne kapelusze i przymykać oczy. Kobiety naprzeciwko niego były kodowane kolorami, jak książki. Jedna miała na sobie czerwoną sukienkę z dzianiny, następna żółte spodnie, a dziewczynka, która była z nimi, ubrała się w niebieskie dżinsy i sweterek w romby. Wiele z nich schowało się pod pokładem na krańcu łodzi, ale Christopher i jego rodzina siedzieli nieruchomo jak posągi z szeroko otwartymi oczami. Czerwone, żółte i błękitne domki wzniesione z holenderskiej cegły

wydawały się odpływać w dal razem z zielonymi wzgórzami i drzewami pomiędzy nimi, ale to przecież prom przesunął się w przód, coraz dalej i dalej od portu.

Abby mówiła coś na wietrze, Christopher musiał przysunąć się do niej i osłonić dłonią ucho, żeby cokolwiek usłyszeć.

– ...źle zrozumiał to hasło – powiedziała.

– Jakie hasło?

– „Pod brukiem jest piach”.

Kiedy studenci podważali i wrywali kostki brukowe z paryskich ulic, znajdowali pod spodem piasek, a z ich hasła wynikało, że wolność leży w zasięgu ręki. Wszystko, co było potrzebne studentom, aby się wyzwolić, sprowadzało się wspólnego, spontanicznego wysiłku na ulicach. Wystarczyło, żeby usunęli bruk.

– Bo w wielu z nich po prostu buzują hormony. Chcieli plaży. Chcieli wakacji nad morzem i Brigitte Bardot w bikini. Chcieli zrobić rewolucję opartą na wolności i przyjemności – mówiła Abby. – Ale było coś jeszcze. To hasło można zupełnie inaczej zinterpretować. Bo można inaczej rozumieć słowo „piach”.

– Tak.

– Christopher, piach na wojnie oznacza jedno. Ten spod bruku nie jest znakiem plaży Bardotki, ale końca, rozsypania się w proch.

Kiedy dopłynęli do zamku, Daniel i Abby musieli pójść do toalety. Christopher czekał na nich pod sklepem

z pamiątkami i skracał sobie czas oglądaniem przewodnika, który dostali, kupując bilety.

Kościół Saint Petrox został zbudowany w roku 1170, dwa wieki przed twierdzą, którą wzniesiono z inicjatywy burmistrza Hawleya, kiedy to świątynię włączono do kompleksu obronnego. Sto lat później zagrożenie inwazją francuską wymogło dobudowanie wieży. Forteca została zbudowana z myślą o działach armatnich, toteż przewodnik podpowiadał, żeby zwrócić uwagę na „mordercze otwory”.

Christopher popatrzył na wieżę, naprawdę zrobiła na nim wrażenie. Budowla przetrwała, choć świat, którego miała bronić, przepadł. Minęły czasy królów i królowych, a wysokie, kamienne mury z krenelażami trwały. Ludzie, którzy zbudowali Dartmouth Castle, musieli być pewni, że mają prawo bronić swojego trybu życia.

Kiedy Daniel i Abby wrócili z toalety, Chris zaproponował, żeby poszli od razu do głównych zabudowań, obejmujących zarówno kościół Saint Petrox, jak i wieżę strzelniczą.

Złote inkrustacje na suficie świątyni odbijały światło we wnętrzu tak, że nawet blade marmurowe kolumny miały pomarańczowy odcień.

Daniel pamiętał o tym, żeby mówić cichutko, patrzył w górę na wielki witraż za ołtarzem. Szkło dawało kościołowi bezpieczeństwo i chroniło przed chłodem zimnego nieba.

– A co z parasolką? – Daniel powtarzał tekst z telewizji. – Co z Woodentopami?

Kiedy przeszli przez pierwsze ciężkie odrzwia, Daniel odetchnął głośno i pobiegł do odległego narożnika po lewej stronie obszernej komnaty. Biegł z wyciągniętą ręką tak, żeby czuć pod palcami strukturę surowego muru. Zanim dobiegł do armaty, jego lewa dłoń stała się okropnie brudna.

– To strasznie głośny daje hałas – powiedział.

Po raz pierwszy w życiu spędzili tak cały dzień.

Christopher mógł wrócić do księgarni i mógł wrócić do swoich starych nawyków, ale zdecydował, że nie wróci. I że będzie się trzymał dokonywania wyborów. Że będzie musiał wybierać każdego dnia. W pewnym sensie porzucił powierzchowną naturę dawnej codzienności.

Kiedy wracali tego wieczora do Księgarni Portowej, Chris znalazł przy promenadzie biało-czerwoną puszkę po coli i zatrzymał się, żeby ją podnieść. Wziął do ręki puszkę w czworokątne wzory i zastanawiał się, co chce z nią zrobić, tymczasem żona i syn czekali, aż wyjmie klucz i otworzy im drzwi.

– Poczekajcie chwilę – powiedział Christopher.

– O co chodzi?

– Chciałbym czegoś spróbować.

– Czego?

– Chciałbym zagrać w Misie-patysie.

Christopher znalazł jakieś śmieci, których mogli użyć

w zastępstwie. Dał Abby czerwoną słomkę, a Daniel dostał biało-zielony kubek z powlekanego papieru. Potem całą trójką wrócili do portu, tam, gdzie znajdował się pomost z cedrowego drewna, przeznaczony do cumowania żaglówek. Zatrzymali się przy plastikowych pływakach przytwierdzonych do cedrowych desek pomostu, wszyscy troje uklękli, podpierając się rękami tak, żeby umieścić te rzeczy w wodzie w jednym miejscu, aby nurt rzeki mógł przenieść śmieci na drugą stronę.

Christopher, Abby i Daniel wykrzyknęli chórem:

– Do biegu, gotowi, start! – i wrzucili do rzeki Dart puszkę po coli, słomkę i papierowy kubeczek. Obserwowali, jak komplet śmieci wpływa pod deski pomostu, a potem przeszli na drugą stronę i czekali.

Daniel zaczął mrużyć cichutko:

– Do biegu, gotowi, start! – powtarzał. – Do biegu, gotowi, start!

Po przeciwnej stronie pomostu stało pięć zacumowanych żaglówek, wszystkie miały białe żagle, ale łódki były zakodowane kolorami, tak jak książki w księgarni, jak turystki na promie. Christopher obserwował miejsce, w którym powinny wypłynąć ich Misie-patysie, i zastanawiał się, który wygra, ale minuty mijały i żaden z odpadków nie zamierzał się objawić na nowo.

– Cóż, nie udało się – powiedział Christopher. – Ale nie możemy zostawić tych śmieci pod pomostem.

– Nie? – zapytała Abby.

Christopher położył się na cedrowych deskach, wychylił nad wodę i wsunął rękę w pustą przestrzeń. Abby usiadła mu na nogach, a Chris zgiął się w pół, wsunął dłoń pod pomost i macał rzeczne algi, które zarastały plastikowe pływaki. Sięgał głęboko w nadziei, że na coś natrafi, może chociaż słomka utknęła gdzieś pod ciemną wodą, ale palce nie natrafiły ani na plastik, ani na puszkę, za to dotknęły czegoś, co przypominało futro.

Chris chwycił garść czegoś, co wyglądało jak futro jego żółtego misia. Wyjmował to z wody, wołając do Abby, żeby trzymała go za pasek i ciągnęła. Potem wyprostował się i, wciąż leżąc na deskach pomostu, przewrócił się na plecy i usiadł.

– Zobaczcie, co tam pod spodem było – powiedział Christopher.

– Stary, głupi miś – powiedziała Abby.

– Stary, głupi miś – powtórzył jak echo Daniel.

Chris podniósł pluszaka, obejrzał pękatego miśka ze wszystkich stron i podał go Danielowi.

– Uważaj – powiedział – jest nasiąknięty wodą i bardzo delikatny. Uważaj na niego.

Daniel chwycił pluszową zabawkę Christophera i uśmiechnął się. Tam, nad rzeką Dart, po zgubieniu puszki po coli, którą zastąpił jego stary pluszowy miś, kiedy wiedział już, że codzienność w Devon może być nieprzewidywalna, Krzyś patrzył na swojego synka

bawiącego się z mokrym Kubusiem Puchatkiem i zastanawiał się, kiedy studenci z Paryża i właściciele sklepów z Dartmouth, albo może dzieci ich dzieci, znowu postanowią wyruszyć na poszukiwanie Bieguna Północnego.

O autorze



Douglas Lain jest z wykształcenia filozofem. Ostatnią dekadę spędził pisząc surrealistyczne opowiadania dla magazynów science fiction. W swoim dorobku ma zbiór opowiadań oraz literaturę faktu o urban foraging – miejskim plądrowaniu. Od 2009 roku jest producentem cotygodniowego podcastu *Diet Soap*, w którym przedstawiane są wywiady z filozofami, mistykami, ekonomistami oraz pisarzami.

Mieszka w Portland w Oregonie wraz z żoną i dziećmi. Oraz kurczakami.

Spis treści

Podziękowania

CZĘŚĆ PIERWSZA: 1959-1965

1.

2.

3.

4.

5.

6.

CZĘŚĆ DRUGA: 1967-27 maja 1968

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

CZĘŚĆ TRZECIA: Czerwiec 1968

28.

29. (Możliwość A)

29. (Możliwość B)

29. (Możliwość C)

29. (Możliwość D)

29. (Możliwość E)

29. (Możliwość F)

30.

31.

O autorze

Zapraszamy do dobrej lektury

ZAPROSZENIE DO DOBREJ LEKTURY

Dmitrij Bykow

UNIEWINNIENIE

Związek Radziecki, koniec lat 40. ubiegłego wieku. Ofiary Wielkiej Czystki, skazańcy, którzy od lat uznawani są za zmarłych, znów pojawiają się w życiu swoich bliskich. Spotkania zawsze są przelotne, a dziwne zachowanie i przerażający wygląd byłych więźniów sprawiają, że świadkowie starają się jak najszybciej o nich zapomnieć.

Po latach, gdy Związek Radziecki upada, wnuk jednego z represjonowanych podejmuje własne śledztwo, starając się wyjaśnić tajemnicę zagadkowych powrotów. Trop prowadzi go do pilnie strzeżonego obozu, gdzie trafili najwytrwalsi „ulubieńcy” Wodza, którzy mimo tortur nigdy nie przyznali się do winy. Poszukiwanie

ukrytego „drugiego dna Imperium” obraca się w odrealnioną wędrówkę po obłąkanych syberyjskich wioskach, w których rzeczywistość miesza się z koszmarem, a przeszłość – z teraźniejszością.

Wciągająca jest ta wizja. I mocna, jak sam Bykow, kipiący energią, genialny poeta, płodny niesamowicie pisarz, wszędzie obecny publicysta, opozycjonista, satyryk

Wacław Radziwinowicz

DMITRIJ
BYKOW

UNIEWIENNIENIE



1

Docenta Moskiewskiej Akademii Rolniczej Iwana Antonowicza Skałdina wzięli w grudniu trzydziestego ósmego roku w związku ze słynną „sprawą Michajłowa”. Sam Michajłow zdążył umrzeć tydzień wcześniej, zanim zaczęto aresztować całą jego szkołę. Życie – a raczej śmierć – ocalił mu właśnie Skałdin: olbrzymiego wzrostu, silny, rzadko kiedy mający w jakichkolwiek kwestiach wątpliwości, przyszedł do swego mentora i zastał go w strasznym stanie. Rodzina, nie śmiejąc mu się sprzeciwić, kryła się po kątach: starzec był groźny. Lekarz z pogotowia nalegał na hospitalizację, ale siedemdziesięcioletni akademik go przepędził. Nie chciał nawet słyszeć o szpitalu. Jego ojciec, dziad, pradziad – wszyscy zmarli w domu, nie zniżając się do tego, by oszukiwać los. Skałdin, niewiele myśląc, wezwał karetkę pogotowia, wziął szamoczącego się słabo profesora na ręce (gdyby nie szacunek dla założyciela szkoły, w ogóle przerzuciłby go sobie przez ramię) i zaniósł do ambulansu. Pod koniec starzec, poddawszy się cudzej i życzliwej woli, poczuł nawet ulgę i uwierzył, że się jakoś wymiga spod łopaty. Ale lekarze pogotowia nie

wiedzieli, gdzie jest lecznica Akademii Nauk, i zawieźli pacjenta tam, gdzie było najbliżej. Skałdin dzwonił do osobistego lekarza profesora, kiedy chorego przenoszono z karetki na korytarz, z korytarza z powrotem do karetki, i zanim dowieziono do separatki, przewiał go lodowaty listopadowy wiatr i dwa dni później pod wieczór Michajłow po krótkiej agonii zmarł. Jego córka przeklinała Skałdina, krzycząc, że w domu, we własnych czterech ścianach, pewnie by przeżył, że nie przetrzymał wstrząsu – i sam Skałdin robił sobie gorzkie wyrzuty, chociaż na uroczystości żałobnej w Akademii właśnie jego nazwano kontynuatorem dzieła Michajłowa. Ale „dzieło Michajłowa” stało się już „sprawą Michajłowa” i w pierwszych dniach grudnia po niego przyszli. Zapuchnięta od płaczu żona i śmiertelnie wystraszona córka wyjaśniły przybyłym, że Michajłowa już wzięli, i cała trójka – jeden rutynowo uprzejmy, dwaj pyskaci – wyniosła się szybko, jakby z pewnym rozczarowaniem, a może i w strachu. Po raz pierwszy na ich oczach niekontrolowana siła wmieszała się tak wyraźnie w los ofiary.

A Skałdina wzięli piątego grudnia, w dniu nowej konstytucji, jako że teraz NKWD nie miało ani świąt, ani wolnych dni. Nie wystraszył się i ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że go wypuszczą. Tak jak Michajłow, pozostawiał na wolności żonę i córkę, i podczas rewizji uspokajał je, jak mógł. W to, że jego sprawa się

wyjaśni, wierzył, dopóki jeszcze trzeźwo myślał, ponieważ jako dowody winy przedstawiano mu nader dziwne rzeczy i śledczy bardzo słabo orientował się w tym, nad czym pracowano w Akademii. Podczas rewizji znaleziono u niego nasiona doświadczałne i uznano je za dowód kradzieży własności państwowej. Kiedy zaś Skałdin, nie przestając się szeroko uśmiechać, powiedział śledczemu, że pracował również w domu, badając i hodując próbki, że tak robili wszyscy, by móc na rocznicę konstytucji zameldować o nowym gatunku, śledczy uznał, że docent brał nasiona po to, by je przekazać agentom obcych państw. Skałdin roześmiał się wesoło i powiedział, że nigdy na oczy nie widział żadnego agenta, prace są dopiero w stadium końcowym i zapiąć je na ostatni guzik mógł tylko Michajłow, a po Michajłowie tylko on. Śledczy doszedł do wniosku, że Skałdin wie coś o zagranicy, wpadł we wściekłość i po raz pierwszy wyrznął go pięścią w zęby.

Iwana Antonowicza nikt nigdy nie bił, chyba że w dzieciństwie, kiedy sam bił się bardzo często. Z racji swej atletycznej budowy, a zwłaszcza dobrodusznego charakteru, wrogów nie miał i był wobec innych tak życzliwy i bezpośredni, że nie dorobił się nawet zawistników. Wierzył, że trzodzi się dla dobra ojczyzny, że nie ma na świecie wspanialszego kraju i że tutaj znęcać się nad ludźmi nie będzie nikt i nigdy. Pogłoski o tym, co robiono z kolegami i sąsiadami, którzy nagle zniknęli, uważał za wyssane z palca. Nie sposób było

zachwiać Iwana Antonowicza w jego wierze. Śledczy nie spotkał jeszcze kogoś takiego, toteż zupełnie się nie spodziewał, że Skałdin w odpowiedzi rzuci się na niego i zacznie go okładać ze wszystkich swoich chłopskich sił. Wprawdzie chłopem był tylko jego dziad, a ojciec już wyszedł na ludzi i wykształcił się na agronoma, jednak siłę i upór mieli we krwi, i za to właśnie Michajłow, sam z rodu nadwołżańskich chłopów, szczególnie Skałdina wyróżniał.

Za coś takiego Iwana Antonowicza od razu by zabito, ale był potrzebny w wielkim rolniczym procesie, na którym wyjaśniono by wszystkie nieurodzaje i głód, poczynając niemal od dwudziestego drugiego roku. Były już podobne procesy, ale teraz planowano główny spektakl, toteż liczył się każdy specjalista ze znanym nazwiskiem. Śledczy zdążył nacisnąć guzik. Od tego przesłuchania Skałdina trzymali w kajdankach, nie pozwalali mu spać, wsadzali do klatki z gwoździemi i w ogóle poddawali tak ciężkim torturom, że sami się dziwili, jakim cudem jeszcze się trzyma. Trzymał go przy życiu jego chłopski charakter, dobroduszość i szczerą wiarą w to, że wszystko się wyjaśni. Dopóki nie złamano mu prawej ręki, pisał sążniste listy, w których przystępnie i rzetelnie przedstawiał istotę przeprowadzanych z Michajłowem doświadczeń. W wyniku potwornego nieporozumienia cenny pracownik został wykluczony z ważnych badań i cała praca mogła teraz – nie, nie pójść na marne, nie ma

ludzi niezastąpionych, i do tych samych rezultatów z pewnością dotrą również inni, ale nastąpi to później, a przecież liczy się każdy dzień. Ich pszenica rokowała ojczyźnie plony co najmniej półtora raza większe, przy czym była przystosowana do surowych warunków klimatycznych rosyjskiej północy – jego listy przypominały popularne broszury, były równie jasne i optymistyczne, i śledczy czytał je z zainteresowaniem, nie przestając się wszakże zdumiewać: co jest, czyż on naprawdę niczego nie rozumiał? Śledczy także nie rozumiał najważniejszego, nie domyślał się celu, a zresztą zabronił sobie o nim myśleć, ale pewne szczegóły generalnego planu już pojął – i przede wszystkim uświadomił sobie (choć nie od razu), że jeśli ktoś do nich trafił, to już nie ma odwrotu. A Skałdin wciąż nie rozumiał, i to właśnie dawało mu siły do pisania listów, które strasznie drażniły śledczego. Tylko dlatego złamano mu prawą rękę. Zazwyczaj prawą rękę oszczędzano, by aresztowany miał się przynajmniej czym podpisać, ale Skałdin za bardzo działał na nerwy organom śledczym swoim życzliwym nastawieniem i uporem, by wszystko wyjaśnić. Nie jest mimożąd, w razie czego nabazgrze podpis lewą ręką. Nikt nie wymaga pięknej kaligrafii.

A jednak nawet potem, ze złamaną ręką i odbitymi nerkami, nie chciał współpracować, to jest oskarżać samego siebie. I kiedy zagrozili, że aresztują jego żonę, znowu nic nie rozumiał, ponieważ żona miała

dwadzieścia dwa lata, a córka o dwadzieścia lat mniej, i nie wyobrażał sobie, że w jego kraju mogą być stosowane tak faszystowskie metody śledcze. Z tym, że coś takiego wyprawiają z nim samym, jakoś się pogodził – być może ktoś wprowadził władze w błąd. Ale on był zdrowym trzydziestoletnim mężczyzną, a z kobietami, nawet będąc w błędzie, tak postępować nie wolno. W jego kraju nie było ludzi, którzy mogliby robić coś takiego kobietom. I roześmiał się.

Śmiał się także wtedy, kiedy dano mu do przeczytania zeznania jego najbliższego przyjaciela, również ucznia Michajłowa (w ich grupie nie było zawiści, starych i młodych łączyło posłannictwo, i wszyscy uznawali Skałdina za pierwszego między równymi). Pokazali mu również owego przyjaciela. Miał krwawy siniec na pół twarzy i ledwie dosłyszalnie powtórzył, że Skałdin w rozmowach wiecznie narzekał, że muszą pracować dla władzy radzieckiej, a w takich na przykład Niemczech ich pracę oceniono by całkiem inaczej. I Skałdin się śmiał, i śmiał się później, kiedy znów nie dawali mu spać, i po tygodniu śledczy zrozumiał, że więzień będzie się śmiał już zawsze. Zapomniał własnego nazwiska, zapomniał wszystko. Śledczy wiedział z doświadczenia, że tacy bardzo długo są nieugięci, a potem w jednej chwili się załamują, ale wtedy nie ma już z nich żadnego pożytku. O tym, żeby Skałdin wziął udział w procesie, nie było nawet mowy. Można było spróbować przyprowadzić do niego żonę –

a nuż idiota się ocknie, przestraszy – ale na to nie otrzymano sankcji, i w ogóle zainteresowanie „sprawą Michajłowa” od kwietnia jakoś ucichło. Takie rzeczy były nieprzewidywalne. Uwagę skupiono na wojskowych, i agronomowie poszli w kąt – po obróbce postawiono ich przed trybunałem bez publicznego procesu.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, żonę Skałdina, Marinę, najprawdopodobniej rzeczywiście by aresztowano, tym bardziej, że jej pochodzenie było dwuznaczne, inteligenckie – była córką nauczyciela gimnazjalnego, którego wzięto jako zakładnika po zabójstwie Urickiego^[1] w osiemnastym roku i po dwóch tygodniach rozstrzelano. Miała wtedy dwa i pół roku i niczego nie pamiętała, ale na zawsze przesiąknęła panującą od tej pory w domu atmosferą beznadziei. Dlatego również aresztowania męża Marina spodziewała się od samego początku, jeszcze kiedy w jej biurze (pisała na maszynie na tej samej uczelni i tam zakochał się w niej Skałdin) aresztowano starszą maszynistkę. Była to oschła, surowa kobieta, która zawsze strofowała dziewczęta, kiedy te w pogoni za normą robiły zbyt szerokie marginesy albo zbyt wcześnie wykręcały z maszyny kartkę, na której z powodzeniem starczyłoby miejsca jeszcze na dwie linijki, a przecież w kraju do tej pory brakowało dobrego papieru (Marinie z powodu jej sumienności

dostawało się za co innego: zapisywała kartkę do samego brzeżku). Marina знаła ten typ kobiet – nie mogły być zamieszane w nic nielegalnego. Przebąkiwano, że starsza maszynistka przekazywała wrogom jakieś dane, do których miała dostęp w pracy, i dziewczęta szeptały, że dobrze tak tej żoźie, ale Marina pamiętała, jak szefowa zwolniła ją do domu, kiedy w drugim miesiącu ciąży zrobiło jej się słabo, i jak szanowała Skałdina, a przede wszystkim – nawet na torturach nigdy i niczego nie przekazałaby wrogom. I od momentu aresztowania Natalii Siemionowny niczego dobrego już się nie spodziewała.

Nawiasem mówiąc, wtedy też się okazało, że „stara” wcale nie jest stara, że ma czterdzieści osiem lat i że mieszka z nią siostrzeniec, syn zmarłej na raka siostry. Siostrzeniec miał szesnaście lat, ciotka nigdy nie przyprowadzała go do biura i nie zająknęła się o nim ani słowem, najwyraźniej nie chcąc zdradzać szczegółów swego życia prywatnego przed podwładnymi, i objawił się dopiero miesiąc po jej aresztowaniu. Było to w trzydziestym siódmym, kiedy kilka osób nagle wypuścili, a kobieta, która siedziała z nią w jednej celi, wyszła na wolność i na prośbę Natalii Siemionowny tego siostrzeńca odszukała. Przekazała mu, że jego ciotkę fałszywie obmówiono, że jeśli wstawią się za nią koledzy, to może ją wypuszczą, i że wszystko to jest tylko strasliwym nieporozumieniem. Siostrzeniec był kulawy w wyniku

urazu porodowego: siostra Natalii Siemionowny była działaczką partyjną, wiecznie w rozjazdach, często nie dojadła, i dlatego poród był trudny. Poza tym chłopiec w wyniku szoku wywołanego aresztowaniem ciotki nabawił się tiku nerwowego: od czasu do czasu wykrzywił twarz, jakby usiłując z niej strząsnąć wyraz błagalnego uniżenia, z którym przyszedł się wstawić za ciotką. Przyszedł do biura maszynistek, próbował dotrzeć do jakichś zwierzchników i przekonywał wszystkich, że powinni pójść do śledczego, a wtedy Natalię Siemionownę wypuszczą, trzeba się tylko postarać, żeby ich wysłuchano. Domagał się, żeby koledzy potwierdzili jej niewinność, przecież wszyscy dobrze ją znali, i wszyscy w odpowiedzi kiwali głowami, a maszynistki poczęstowały go nawet słodką herbatą (nowa starsza maszynistka Kławdia Stiepanowna była dobra, nie to, co tamta zołza), i wszyscy obiecywali, że pójdą, porozmawiają, ale oczywiście nikt nie poszedł. Marina przez jakiś czas robiła sobie wyrzuty, ale od samego początku wiedziała, że nie ma co nigdzie chodzić, bo decyzja zapadła i nie można zastąpić ofiary kimś innym, takie jest prawo. Natalia Siemionowna miała jakieś cechy, z powodu których należało wziąć właśnie ją, nadawała się na pożywkę tego systemu. Niemniej Marina serdecznie rozmawiała z chłopcem, który chyba jej nie słuchał, i opowiedziała mu o swej małej córce, jakby podświadomie się usprawiedliwiając, dlaczego nigdzie nie pójdzie

(choć natychmiast ugryzła się w język, bo nieładnie było opowiadać o swej rodzinie biednemu kuternodze, który nie miał nikogo), i nawet dała mu swój telefon – gdyby czegoś potrzebował, i podetknęła trochę pieniędzy. Pieniądze wziął, strasznie się czerwieniąc, z drgającą twarzą – widać było z nim bardzo źle – ale ani razu nie zadzwonił. Marina nigdy się nie dowiedziała, co się stało z Natalią Siemionową, a chłopiec też nigdy się już nie pojawił.

Marina nie wiedziała i nikt nie wiedział, że szesnastoletni kulawy chłopiec rzeczywiście próbował się dostać na rozmowę do śledczego, ponieważ jego koleżanka z klasy, najładniejsza dziewczyna w szkole, Wika Sułtanowa, taką audiencję wywalczyła, podobno poszła do samego narkoma[2]. Narkom jej wysłuchał, też poczęstował herbatą i skierował do swego zastępcy, a zastępca zażądał akt i wkrótce jej ojciec – dyrektor fabryki mebli – znalazł się na wolności. Co prawda, do fabryki nie wrócił, tylko wyjechał do rodziców do Briańska i wywiózł tam całą rodzinę. Nikt w szkole nie zobaczył więcej Wiki Sułtanowej, ale uczniowie często opowiadali o jej wyczynie, mówili nawet, że zastępca komisarza pogłodził ją po głowie i powiedział, że gdyby wszyscy mieli takie córki, mniej byłoby pomyłek sądowych, z powodu których wrogowie oczerniają organa ścigania. Chłopiec zaczął więc zabiegać, żeby dopuszczono go do śledczego – ale był sam i oczywiście niczego nie osiągnął. Wystawał

w kolejkach, brano od niego paczki, ale niczego nie mówiono. W kolejce też nikt go nie lubił, bo drgała mu twarz i strachliwie zezował.

Rzucił szkołę: nie miał pieniędzy ani nikogo bliskiego. Zatrudnił się jako tragarz w tej samej fabryce mebli, której dyrektor wyjechał do Briańska. Przyjęto go do pracy, chociaż z uwagi na wiek nie miał do tego żadnego prawa. Wtedy zrozumiał, że jedynym sposobem, by pomóc ciotce, jest znaleźć się blisko niej, to jest zostać aresztowanym jako jej współnik i otworzyć śledczym oczy; poszedł do głównego pokoju przyjąć na Łubiance i oznajmił, że był współnikiem ciotki. Wtedy go wreszcie zamknęli, ale Marina nic o tym nie wiedziała.

Nie wiedziała również, dlaczego wszystkich aresztują, czuła jednak, że tak trzeba, że wypływa to organicznie z samego porządku rzeczy. Bądź co bądź, była córką nauczyciela literatury i chociaż zupełnie go nie pamiętała, miała wrodzone poczucie harmonijnej jednolitości świata, jego podporządkowania kanonom sztuki. I świat, w którym żyła ze Skałdinem, w którym mąż woził ją łódką po rzece Moskwie, częstował czekoladą i opowiadał o wielkich planach przeobrażenia gleby, ukazywał również odwrotną stronę medalu, straszną czarną piwnicę, do której od czasu do czasu wedle przypadkowego, ale bezbłędnego wyboru wpychano wszystkich tych, którzy dopiero co radowali się życiem, a teraz zostali na wieki odrzuceni. Wybór nie

miął żadnego rozsądnego uzasadnienia, ale miał wskaźnik ilościowy, nieunikniony procent, uwarunkowany nie statystyką, ale harmonią, jak na przykład ciepłe albo zimne kolory – i pozwalający utrzymywać całą resztę w stanie wciąż narastającej gorączkowej radości. I żywość barw, i nawet powtarzające się dwa razy z rzędu rekordowo upalne lato, kiedy w Moskwie topił się asfalt, brały się z istnienia owej odwrotnej strony, o której nikt niczego konkretnego nie wiedział, ale Marina się domyślała. I dlatego było dla niej jasne, że Skałdina zabiorą – ich życie było zbyt piękne, by mogło się skończyć inaczej. Teraz przyszła jej kolej, jako że odpłata czekała wszystkich szczęśliwych; martwiła się tylko o dziecko, ale miała starą matkę, która mieszkała oddzielnie, i po aresztowaniu Skałdina Marina poprosiła ją, by przyjechała. Była przekonana, że starej kobiety nikt nie aresztuje. Komu potrzebna dobra, płaczliwa i śmiertelnie wystraszona staruszka? Brali silnych, pięknych, jak Skałdin, albo upartych i surowych, jak Natalia Siemionowna, albo młodych i takich, którzy się domyślali, jak ona sama.

Ale nie wzięli jej. Nastąpiła, jak to się wówczas często zdarzało, nieoczekiwana zmiana wiatru i zamiast na „sprawę Michajłowa” wszystkie siły rzucono na kolejny spiszek wojskowy. Oczywiście nikt ani myślał wypuszczać Skałdina – półżywego, siwego i nieprzystającego się śmiać nawet w więziennym

szpitalu. Ale Marina była uratowana: w lipcu trzydziestego dziewiątego po prostu nie przyjęto od niej kolejnej paczki. Zresztą na nic innego nie liczyła. Pochowała Skałdina tego samego dnia, kiedy schodził po schodach ich domu na Arbacie (mieszkali w komunalnym mieszkaniu na pierwszym piętrze) i obejrzał się kilka razy, żeby się do niej uśmiechnąć.

Nie wyrzucono jej z pracy – Skałdina wszyscy lubili, poza tym był największą nadzieją Michajłowa, a Michajłow był koryfeuszem, i wiele osób wierzyło, że sprawa się wyjaśni. Odeszła sama, a po znajomości, z pomocą profesora nefrologa zatrudniła się jako sekretarka u znanego pisarza Sawina, który pisał dla pionierów o zdobyczach nauki. Pewnego razu przepisywała jego artykuł o Michajłowie dla „Pionierskiej Prawdy”, w którym autor nazywał Michajłowa luminarzem rodzimej nauki, człowiekiem kryształowej prawości, przedstawicielem czołowej grupy przedrewolucyjnej inteligencji, który jako jeden z pierwszych zrozumiał i zaakceptował władzę radziecką. Okazało się, że jego książka o przebudowie gleb podobała się Leninowi – wspomniał o tym Boncz-Brujewicz. Przepisując artykuł, Marina gorączkowo szukała wzmianek o uczniach, ale uczniów jakby nigdy nie było – na Michajłowie nauka agronomiczna się kończyła i dalej miały ją w swych twórczych dążeniach rozwijać masy. Marina chciała wyjaśnić Sawinowi, że Michajłow miał ucznia, i gdyby wtedy jeszcze jej nie

powiedziano, że w sprawie męża wszystko skończone i nie ma nadziei, z pewnością próbowałaby zabiegać, coś zrobić, mimo że zdawała sobie sprawę z beznadziejności takich prób. Sawin miał znajomości na samej górze, zapraszano go na całe dni na jakieś daczce, skąd wracał pijany w trupa – Marina wtedy natychmiast wychodziła, rzucając niedokończoną robotę. Ale żadne zabiegi nie miały już sensu, a przede wszystkim Marina zdawała sobie sprawę, że męża aresztowano nie za przynależność do grupy Michajłowa i Michajłowa aresztowano by nie za jego eksperymenty. Obaj, silni, pogodni i uparci, byli wzorcowymi ukochanymi dziećmi tego nowego życia i zgodnie z jego niesformułowanymi, ale naturalnymi regułami powinni byli je sobą okupić czy, mówiąc ściślej, użyźnić. Gdyby nie byli krwią z krwi i kością z kości tego życia, nic by im nie zagrażało. Było to równie naturalne jak fakt, że nie żyjemy się kamieniami, tylko substancjami organicznymi, z których zresztą sami jesteśmy zbudowani. Tylko że Michajłow zdążył umrzeć, a martwi nie nadają się na pokarm, gdyż przestają być żywą materią, stając się kamieniem, glebą, wodą.

Gdy wybuchła wojna, Sawin zostawił Marinę, nie zatroszczył się ani o nią, ani o jej córkę, ani o matkę. Sama musiała załatwiać ewakuację, ale w Akademii ją pamiętano i załatwiono jej miejsca w pociągu. Do czterdziestego czwartego roku mieszkała w Taszkencie,

a potem wróciła na Arbat. Jej matka zmarła w Taszkencie – nie zniosła podróży, głodu i upałów. Marina jak gdyby skamieniała i nie płakała, kiedy chowano matkę. Było jej tylko smutno, że grzebią ją w obcej, suchej ziemi, w której pewnie źle jest ciału zbudowanemu z innej substancji. Tutejsi ludzie są twardzi i żyłaści, a matka była ciężka, nalana i płacziwa.

Marinie pozostała na świecie tylko Katia, niepodobna ani do niej, ani do Skałdina, ale dobra i bystra – tylko cichutka, jakby już od urodzenia wiedziała, że nie ma jej kto bronić. Dopiero w Taszkencie Marina uświadomiła sobie nagle, że i ona, i Katia straciły ojców w tym samym wieku i że może się to stać ich rodzinną klątwą, ale i o tym pomyślała mimochodem, nie pozwalając sobie rozwijać tej myśli. W czterdziestym piątym roku Katia poszła do pierwszej klasy i potem od razu przeskoczyła do trzeciej, jako że była w odpowiednim wieku i uczyła się na same piątki. Marina nie wróciła na posadę u Sawina, chociaż wiedziała, że jest cały i zdrowy – wojnę przesiedział na Uralu, skąd pisał do „Pionierskiej Prawdy” o małych bohaterach tyłów. Teraz pracowała w dziale kadr zakładów imienia Stalina. Z jej urody pozostało niewiele: skuliła się, wyschła, zmalala i prawie nie czytała ani książek, ani gazet. Kiedy godzinami siedziała w ich malutkim pokoju, patrząc w okno, Katia, podnosząc głowę znad zeszytu, bała się o cokolwiek zapytać, by nie zakłócić biegu jej myśli. Byłaby zdumiona, gdyby się

dowiedziała, że żadnych myśli nie było, że było tylko jakieś beznadziejne i pokorne oczekiwanie. Czasem jednak Marina w duchu rozmawiała z mężem, opowiadała mu, co robiła w ciągu dnia, czuła bowiem, że oprócz niej nie ma kto z nim rozmawiać. Jeśli Skałdin nawet gdzieś był, to tylko w niej, i stopniowo stał się w jej myślach jakimś wewnętrznym bytem, którego jedynym schronieniem była ona. Tkwił tam jak w kapsule, bo przecież taki wielki Skałdin nie mógł zniknąć całkowicie, to byłoby wbrew logice – i jeśli nawet jego ciało legło u podstaw tego barwnego, intensywnego świata, którego był naturalną częścią, to przecież w jego duszy istniało coś, co należało tylko do niej, i to coś nie mogło zniknąć, bo nikomu poza nią nie było potrzebne. Rozmawiała z mężem rzadko, wiedziała jednak, że jeśli nie będzie go wspominać, on się obrazi i może umrzeć – że to tak, jakby nie karmić psa. Nie można powiedzieć, że te rozmowy jej ciążyły, ale przypominały o poprzednim życiu, w którym jeszcze żyła, a nie dożywała, i dlatego Marina nie chciała się zbyt często rozdrażniać. Nauczyła się rozmawiać z mężem bardzo skrycie, niczym się nie zdradzając. Mieli specjalny język kodów, już nawet nie pamiętała, skąd się wzięły poszczególne pojęcia, ale wystarczała drobna aluzja i mąż w lot ją rozumiał. Domagał się jednak szczegółów, było mu nudno w jej zagubionej, zawsze półsennej głowie, gdzie od dawna nie było myśli, tylko oczekiwanie i zjawy – jego, mamy, Natalii

Siemionowny, gdzieś tam kryli się i dobrzy Uzbegy, i kulawy chłopiec, ale bardzo wielu wywiało. Zbyt wielu osób nie mogło tam być – żeby utrzymać przy życiu taką kapsułę, potrzeba sił, a Marina już ich nie miała. Domem zajmowała się córka, która już we wczesnym dzieciństwie nauczyła się świetnie myć podłogę, gotować, cicho czytać w kąciuku, nie zwracając matce głowy. Wszystko robiła wspaniale i cicho i bała się tylko, że matka kiedyś zachoruje. Ale Marina nie mogła sobie na to pozwolić, a dziewczynka jakimś szóstym zmysłem to wyczuwała.

Raz, piątego września czterdziestego ósmego roku, kiedy dwunastoletnia Katia odrabiała lekcje, nagle zawołano ją do telefonu. Przestraszyła się – pomyślała, że to coś z mamą. Ostatnio była bardzo blada i Katia najbardziej bała się tego, że matka upadnie na ulicy i nie będzie umiała powiedzieć, gdzie mieszka. Nie mówiła Marinie o tych obawach, nie chcąc jej denerwować, ale po nocach często wyobrażała sobie zbiegowisko na ulicy, lekarza, milicjanta – i bladą, wychodzącą z omdlenia matkę, która nie potrafi wymówić ich adresu. Ale nie była to matka ani nikt z jej pracy, tylko nieznamy, silny męski głos.

– To ty, Śnieżko? Jest mama?

– Nie ma – odpowiedziała Katia i już miała zapytać, kto dzwoni i co przekazać, kiedy nagle zrozumiała, że wie, kto to. Mama rzadko opowiadała jej o ojcu, więc Katia wiedziała tylko, że zginął na froncie, a przedtem

dwa lata był poza domem, wykonując jakieś specjalne zadanie. To ojciec nazywał ją Śnieżką, bo była jaśniutka, a oni z mamą ciemnowłosi. Skałdin rzeczywiście żartował, że córka nie wdała się ani w matkę, ani w ojca, ale nie dodawał nic o tajemniczym przystojniaku, bo nie chciał dokuczać Marinie. Sama Marina nigdy tak córki nie nazywała, ale w rzadkich opowieściach o ojcu zawsze wspominała o „Śnieżce”. I właściwie nic więcej po nim nie pozostało: był celuloidowy piesek-zabawka, ale Katia zgubiła go w piaskownicy, kiedy miała trzy lata. Mama wtedy bardzo się na nią gniewała.

Katia nigdy nie zakładała, że ojciec przepadł na zawsze, i dotychczas myślała, że jego misja się przeciąga i że tata otacza niewidzialną troską całe ich ciche życie; gdyby Marina dowiedziała się o tych fantazjach, zdumiałaby się, jak są podobne z jej dawnymi myślami o tym, że Skałdin zapłacił za ich życie, albowiem bóstwo, które je chroniło, należało karmić, a ono nie żywiło się byle kim.

– Katiu – powiedział wesoło głos. – Powiedz mamie, że będę na nią czekać dziś o ósmej koło Poczty Głównej. Przyjechałem na krótko, muszę tu jeszcze coś załatwić, a potem do was wpadnę. Ale najpierw muszę się z nią koniecznie zobaczyć. Muszę jej coś oddać. Rozumiesz? I pamiętaj: o ósmej koło Poczty Głównej. Gdzie ona teraz pracuje?

– W zakładach imienia Stalina – odrzekła Katia zdyszczanym głosem. Nie mogła zaprosić ojca do domu,

bo najwyraźniej wciąż jeszcze wykonywał zadanie. Ale dlaczego, przeprowadzając taką ważną misję, nie wie, dokąd przeniosła się mama? – Mogę dać jej telefon, można zadzwonić i ją poproszą... – Starannie unikała zwrotu „ty” lub „tata”.

– Nie, dzwonię od przyjaciela i nie chcę mu robić kłopotu – powiedział wesoły głos. – Sama do niej zadzwoń, albo może lepiej nie zawracać jej głowy. Przecież przyjdzie o szóstej, prawda?

– Tak, zazwyczaj przychodzi o szóstej. – Katia się ucieszyła, że ojciec wie przynajmniej, o której mama wraca z pracy.

– No, więc wtedy jej powiesz. Niedługo się zobaczymy, Śnieżko. Bądź zdrowa. – I ojciec odłożył słuchawkę.

Katia długo jeszcze stała w przedpokoju przy telefonie i bojąc się, i mając nadzieję, że ojciec jeszcze zadzwoni. Obok przeszła, szurając kapciami, sąsiadka – staruszka, która wprowadziła się niedawno na miejsce dawnego sąsiada – czasem zapraszała Katię do swego pokoju, żeby dziewczynka pooglądała sobie obrazy, albo na herbatę podaną w starych cieniutkich filiżankach, tak zwanych kuzniecowskich. Niepojęte, jak to się stało, że ocalały w czasie wojny w pustym domu. Pewnie staruszka ukryła je gdzieś jak skarb, a potem wyjęła.

– Mama dzwoniła? – spytała sąsiadka.

– Nie – odrzekła dziewczynka, ale nic nie powiedziała o ojcu. Ojciec był na misji, teraz trwał jej najbardziej

odpowiedzialny, ostatni etap, i skoro nawet nie może przyjść do domu – to znaczy, że na razie nie wolno o nim mówić. – To koleżanka, pytała o lekcje.

– Bardzo dużo wam zadają – uzalała się staruszka. – Nam chyba tyle nie zadawali. – I wzdychając, poszła do kuchni.

Katia wróciła do pokoju, ale nie potrafiła się wziąć do lekcji. Wiedziała, że teraz ich życie się zmieni, ale nie wyobrażała sobie, w jaki sposób. Uznała, że dzwonić do matki do pracy nie powinna – ktoś mógłby usłyszeć, a w ogóle mama i tak zdąży na pocztę, jeśli przyjdzie do domu tak jak zawsze. Jeśli jednak zostanie dłużej w pracy – to co innego.

Katia próbowała wrócić do lekcji, ale nauka jej nie szła, daty z okresu Wielkiej Smuty nie wchodziły jej do głowy, wciąż pozostawały mgliste^[3]. W pewnym momencie wydało się jej nagle, że ojciec już tu jest, stoi za drzwiami, tylko z jakiegoś powodu nie może wejść. Z mocno bijącym sercem podeszła do drzwi, postąpiła przy nich chwilę, ale nie odważyła się otworzyć.

[1] Moisiej Uricki (1872–1918) – rewolucjonista rosyjski, jeden z organizatorów przewrotu w 1917 roku, szef pietrogradzkiej Czeka. Zabity przez eserowca Leonida Kannegisera. Jego śmierć, równoległa do zamachu na Lenina, stała się pretekstem do rozpoczęcia przez bolszewików „czerwonego terroru” (przyp. tłum.).

[2] *Narodnyj komissar* – komisarz ludowy (przyp. tłum.).

[3] W orygl. gra słów: *smuta* (ros.) – zamęt, *smutnyj* – mglisty,

niewyraźny (przyp. tłum.).